

WYBÓR POEZIJ



EX*LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ

I MIEJSKIEJ

BIBLIOTEKI

PUBLICZNEJ

IM. EMANUELA SMOŁKI

W OPOLU

WYBÓR POEZYJ

TEOFILA LENARTOWICZA.



MIKOŁÓW, G. Ś.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI.

884-1



326



4018 S

ZBIORY SŁĄSKIE

Akc U Nr 243 / 70 / S

TEOFIL LENARTOWICZ.

Przyszedł na świat 27 lutego 1822 r. w Warszawie — ale wychował się na wsi. Był synem oficera wojsk Kościuszkowskich — ale spędził młodość w niedostatku. „Lata moje od dzieciństwa do 13 roku, pisał później sam o sobie, przeszły mi na wsi wpośród nędzy, i to są lata mojego przygotowania się na poetę. W polu u pastuchów bydła uczyłem się estetyki polskiej, u profesorów, z którymi razem w dolkach kartofle piekłem”.

Nauk szkolnych pobierał niewiele, bo nie było na to środków. Już od roku 1837 pracował w biurze adwokackiem i miał powodzenie w sądownictwie, skoro w roku 1842 został sekretarzem senatu a w roku 1848 jeszcze wyższy urząd osiągnął. Te zajęcia nie zaspokoiły jednak potrzeb jego serca. Przede wszystkim starał się na własną rękę uzupełnić braki wykształcenia szkolnego. Przyłączył się też do grona młodych ludzi, zowiących się „Cyganerją warszawską”, którzy się z zapalem oddawali pracom literackim. Należał do nich też m. i. Ignacy Komorowski, muzyk artysta, który tworzył melodje do niektórych wierszy Lenartowicza.

Wiersze te znajdowały od samego początku dużo uznania, ponieważ odznaczały się tym nastrojem ludowym, który tak pociąga i chwytą za serce. Że w swych poezjach uderzył w strunę ludową, na to złożyły się różne powody. Wyrósł i wychował się na wsi, pokochał wieś, jej mieszkańców i jej urok sielski. Zamiłowanie to spotęgowało się jeszcze w otoczeniu „Cyganerji”, zwalczającej etykietę miejską i przepojonej miłością ludu. Należał też do Stowarzyszenia Ludu polskiego, założonego przez Konarskiego, które postawiło sobie za zadanie znieść pańszczyznę i wyzwolić lud z zależności gospodarczej od panów.

Przyszedł rok 1848, znany w dziejach jako „wiosna ludów”, rok ogólnego ruchu przeciw samowładzy królów i książ-

żął. Oczywiście brał Lenartowicz w tym ruchu żywy udział, a chcąc uniknąć grożącego mu za to aresztowania, przekradł się w sierpniu przez granicę i dostał się do Wielkopolski. Od tej pory zaczyna się tulaczka poety, która miała trwać aż do końca jego długiego życia. Narazie podróżował pieszo po kraju w towarzystwie Oskara Kolberga, zbierając pieśni ludowe; przy tej sposobności stykał się z ludem najbliżej.

W tymże roku znalazł się Lenartowicz w Krakowie, gdzie prowadził ruchliwą agitację patryjotyczną i wygłosił uroczystą mowę w 28 rocznicę wzniesienia mogiły Kościuszki.

Z Krakowa wrócił przez Wrocław w Poznańskie, gdzie go ogarnął w nadzwyczajny sposób urok wsi wielkopolskiej. „Kmieć polski i historia jego rodu, historia kmieciopolska oszołomiły mi serce i głowę tak, że wobec współziomków nie mogłem słów odnaleźć do zwyczajnego użytku i byłem jak upojony miodem dawnych wieków, szczęśliwy jak nigdy potem”. Oto jego własne wyznanie.

Tu zawarł Lenartowicz znajomość z zasłużonym około szkolnictwa polskiego Ewarystem Estkowskim, który wówczas wydawał nader cenne czasopismo „Szkółkę dla dzieci”; w niem umieszczał nasz poeta różne swoje utwory. Tu w gościnnym domu szlacheckiego hr. Seweryna Mielżyńskiego w Miłosławiu poznał też przyszłą swoją małżonkę, pannę Zofję Szymanowską, artystkę malarzkę, przyrodną siostrę żony Mickiewicza.

Niestety nie było mu danem gościć długo na ziemi wielkopolskiej. Musiał ją opuścić na rozkaz rządu pruskiego jako politycznie podejrzany obcokrajowiec. Udał się tedy do Brukseli, skąd w roku 1851 przedostał się do Paryża, gdzie się poznał z Mickiewiczem i z Zaleskimi, pod których wpływem spotęgowały się jego uczucia religijne. Stąd wydał w Poznaniu zbiór swoich piosnek pod tytułem „Lirenka”. Zbiorek ten zjednał mu odrazu i na zawsze uznanie i sławę. Około roku 1854—1857 prawie zapomniano o wszystkich innych poetach — pisze „Tygodnik ilustrowany” z r. 1861 — przenosząc nad nimi Lenartowicza, i sam Mickiewicz w swojej pomnikowej wielkości jakby się usunął na stronę i spokojny o swą przyszłość, słuchał, jak Lenartowicza nazywano pierwszym poetą. W rzeczy samej na polu pieśni ludowej był on sobie mistrzem i nie ustępował w tej dziedzinie poezji nikomu, na-

wet Mickiewiczowi, który mu zresztą dał niejako święcenie na pisarza ludowego: „Pisz dla ludu, ty masz powołanie, kolego” — temi słowami żegnał Mickiewicz młodego poetę, złożwszy serdeczny pocałunek na jego czole”.

Od roku 1856 bawi Lenartowicz w Rzymie i próbuje tu pod wpływem otoczenia i zabytków starożytnych innych rodzajów poezji. Wszelako nie miały one tego powodzenia, co jego poezje ludowe. Dlatego wraca do dawniejszych przedmiotów i nastrojów i tworzy „Bitwę Raclawicką”, jedną z najpiękniejszych pereł naszej literatury. W Rzymie poślubił poeta pannę Szymanowską; niedługo jednak miał się cieszyć szczęściem małżeńskim, żona bowiem zapadła po śmierci jedynego syna na chorobę piersiową i zmarła 1870 r. w Miłosławiu. Osierociały i owdowiały Lenartowicz, niedomagający zresztą sam na zdrowiu spędził resztę życia swego w samotności we Florencji, gdzie się zajmował także sztuką rzeźbiarską, ceniony i na tem polu nie tylko przez swoich rodaków lecz także przez Włochów. Wiele rzeźb jego znajduje się w kraju, inne pozostały we Włoszech, a między nimi wspinały kielich darowany w roku 1877 przez pielgrzymkę polską papieżowi Piusowi IX.

W roku 1875 bawił Lenartowicz w Krakowie, gdzie go uczczono obchodem jubileuszowym, w którym wszystkie warstwy brały szczerzy udział. Były to ostatnie chwile promienne w jego długiem, ciężkiem życiu. Umarł prawie nagle dnia 3 lutego roku 1893 we Florencji, a ostatnie słowa jego były: „Ojczyzno, bracia, już was nie zobaczę”. Do trumny dębowej włożono garść ziemi ojczystej a na piersi położono medalik Matki Boskiej z herbami Królestwa i Litwy. Zwłoki jego przewieziono do Krakowa i złożono uroczystie w grobach zasłużonych na Skalce.

Spuścizna literacka, w szczególności poetycka Lenartowicza jest bardzo bogata; wszelako nie wszystko, co napisał, posiada jednakową wartość. „Poezja jego — pisze Kallenbach — jest jasna, przejrzysta i czysta, niepokalanie czysta. Słuch miał czujny, ziemi rodzinnej się radził... Pobyt długoletni we Włoszech był i korzystny i ujemny. Rozszerzył widnokręgi duchowe Lenartowicza, pogłębił myśli jego, ale to długie oddalenie zahamowało w nim poniekąd naturalny rozwój jego sił, czerpiących swe soki na rodzinnej ziemi...

Co z ludu wyszło, nie starzeje się nigdy i wróci śmiało, jak do siebie, jak pod wiejską strzechę". Najlepsze są te utwory jego, które mają za przedmiot wieś polską, jej mieszkańców, ich wierzenia i zwyczaje i upodobania. One mu zjednały sławę i miano „Lirnika mazowieckiego”.

Jako człowiek odznaczał się Lenartowicz niezwykłą prawością i pogodą umysłu, choć życie miał ciężkie. „Życie moje upływa spokojnie — pisze w roku 1870 — Widzę jak codziennie słońce wschodzi i myślę, że szczęście prawdziwe nie z tej strony grobu się znajduje”. Nigdy nie zabiegał o laski możnych, nie przyjmował też żadnych orderów ani innych odznaczeń. Ubóstwo znosił z godnością; w sądach o ludziach był wstrzeźnliwy a natomiast przyjmował z szczerą radością każdy objaw dobroci serca ludzkiego. Pracowitość nieustrudzona i głęboka religijność były źródłami, z których płynęła jego pogoda umysłu i szlachetność charakteru.

Nie wątpimy, że rok jubileuszowy urodzin „Lirnika mazowieckiego” da społeczeństwu naszemu sposobność poznać go bliżej i serdecznie pokochać. Wart on tego jako człowiek i poeta. Żeby się do tego w jakiej mierze przyczynić, wydajemy w niniejszym zbiorku wybór najcelniejszych jego utworów. Z rozmysłem nie wydajemy odrazu kompletu jego poezji, aby uprzystępnąć szerokiemu ogółowi zaznajomienie się z tem, co stworzył najlepszego. A nie wątpimy, że szerokie warstwy zasmakowawszy w jego poezji, zapragną poznać wszystko, co „Lirnik mazowiecki” napisał. I spełni się, co przepowiedział o nim Gustaw Zieliński w roku 1875:

Później czy wcześniej
Lud rozmiluje się w Twojej pieśni,
Na ścieżaj chatę dla niej otworzy,
Ze czcią ją przyjmie, bo w niej Duch Boży.
A gdy plon zbierze, jak skrzętny żeniec,
Z kwiatów swej niwy uwije wieniec,
Który na twojem szlachetnem czole
W promienną zmieni się — aureolę.

WYBÓR POEZYJ.

O PIEŚNIACH GMINNYCH.

Kto chce śpiewać, niech wam śpiewa!
Mnie się oko łzą zalewa;
Ja niemogę, choć się kuszę,
Boby przyszło wydać duszę.
Cóż to mówić przyjaciele,
Kiedy mówić jest tak wiele?
Śpiewać dla was rzecz nielada!
Kto jedwabne słówka składa,
Kto nie dzieli z wami doli,
Nie zaśpiewa sercu k'woli.
Toż cobym miał suszyć głowę
Na piosenki wiejskie nowe.
Przynoszę wam pieśni stare,
Ale takie rzeźkie, jare,
Że słuchając, jak we wiosnie,
Dusza, gdyby ziele, rośnie.
I świat jej się w oczach złoci,
Aż się cała rozochoci,
Rozraduje tak dalece,
Że łza przyschnie na powiece,
Serce żywo zakolata,
I duch jakby ptaszek lata,
I człek mówi sam do siebie:
Jeszcze Pan Bóg jest na niebie.
Na tę ranę, co krwią spływa,
Pieśń się leje jak oliwa.
Świeża, jak ta ziemia z rana,
We łzach rosy wykąpana,
Idzie z serca, jakby z raju,
Na wędrowkę po swym kraju.
Dziewczę poda ją dziewczęciu,
Pachołatko pachołęciu.

Ledwie wyszła na świat białą,
Jużci znana o trzy mile,
Jutro robi drugie tyle.
Czy ją ciche wiatry zwiały
I, na podziw temu światu,
Rozproszyły, jak pył z kwiatu,
Z ust dziewczyny, jak świt rany
W głuchem polu zaśpiewanej?
Jak obiega? jakim prawem?
Czy jak płasze ponad stawem,
Czy jak obłok nad doliną,
Czy jak głosy, co gdzieś giną?
Niewiadomo, — dosyć na tem,
Że obiega całym światem.
Dzisiaj ledwie brzękła w polu,
Jutro już ci na Podolu;
Obleciawszy całym krajem,
Już się wdzięczy nad Dunajem,
W mazowieckim klaszcze lesie,
Po karpackich górach pnie się,
Nie uważa, Boże, na nic,
Dla niej jednej niema granic,
Ni świadectwa skąd się bierze;
Progu przed nią nie ustrzeże, —
Co najdalszej dojdzie braci,
I rogatki nie opłaci.

W wieczór smutna, rzeźwa z rana,
Rzechy można: skowronczana,
Bo się śpiewa w letniej ciszy,
A skowronek towarzyszy.
Do innego kędyś świata,
Zaśpiewana dusza lata.
I tak byłoby bez końca,
Aleć pieśń się trzyma słońca,
I gdy zniknie słońko Boże,
Piosnka w polu żyć nie może.
Na pagórkach, na wód fali,
Jeszcze chwilkę się pożali,
Wreszcie rosą na smug spada
I kraj milczy, a wciąż gada.

Patrząc na jej koła, zwroty,
Na jej śmiechy i zaloty,
Rzekłbyś, w onej tam krainie
Mlckiem, miodem ziemia płynie...
A to ziemia obiecana,
Gdzie w krwi broczą po kolana.

Pieśni brzęczą w lewo, w prawo,
Lecz gdy oko w kraj się zwróci,
Ta wesołość więcej smuci,
Niżhyś ranę ujrzał krwawą.
Taka cisza o swej nędzy,
Że i grób odpowie prędzej.
A przecież tam krew się leje! —
I nie oddać, nie wymówić,
Żadnem słowem nie wystławić,
Jaka nam się krzywda dzieje! —
A może też pieśń ta długa
Na to się tam w polu rodzi,
Na co gwiazda z nieba mruga,
Na co anioł z nieba schodzi:
Żeby w ludzkie łzy, tęsknoty
Zapleść promień słońca złoty,
Gdzie się czoła we krwi nurzą,
Poprzewijać ciernie różą.
Gdzież bo pieśń ta nie przeciecze?
Z łańcuchem się u nóg wlecze,
Po sybirskich stąpa śniegach,
Po Kubaniu modrych brzegach.
Jak cień w kraju gdzieś dalekim,
Ciągnie się za polskim czlekiem.
Na te bole, na te smutki,
Rosną pieśni — niezabudki,
Rozbolałe serca pieszczą,
Nad bagnami się niebieszczą;
Coraz nowy kwiat wyskoczy,
Jak aniołów modre oczy.
Jak kiedy się słońce schowa,
Coraz gwiazda wschodzi nowa,
Tak po każdej łez powodzi,
Coraz nowa piosnka wschodzi.

I ot, skrzący świat bez końca,
 Niby łyż po stracie słońca;
 Ani zgadniesz, skąd przychodzi:
 Pan Bóg spojrzy, pieśń się rodzi.

.

Pieśni wiejskie: dziewcząt sprawa,
 To ich szczęście i zabawa.
 Różne dziwy plotą plotki,
 Kręcąc swoje kołowrotki.
 A na duszę pieśń dziewczęca,
 Jak nić złota się okręca
 Z krwi kochanków, z łez kochanek,
 Wiją sobie srebrny wianek,
 Okręcają nitką złotą,
 I cieszą się tą robotą.
 Nic przed światem się nie skryje,
 Ludzka krew o pomstę woła.
 Siejże rutkę, sadź liliję,
 Lilja zakryć nie podola.
 Na nic wszystko się nie przyda,
 Jeszcze prędzej lilja wyda.
 Wierzba wyda złość zbójczyni,
 Na weselu ją obwini.
 Będzie śmiać się z całej duszy,
 Będzie słodkie winko piła,
 Lecz fujarka śmiech zagłuszy:
 Starsza siostra mnie zabiła,
 I wyprawia dziś wesele,
 Młode družki siostrze służą,
 Smutku wiele, bardzo wiele,
 I łez dużo, bardzo dużo, —
 I pobledzi wszystkie lica,
 Aż się wyda tajemnica.
 A gdy całą rzecz dopowie,
 Włosy wzniosą się na głowie,
 Serce skrzepnie w każdej druchnie,
 I śmiech zgłuchnie, skrzypka zgłuchnie,
 I jak gdyby wśród cmentarza,
 I jak gdyby nie wesele,

Wciąż fujarka swe powtarza:
Smutku wiele, bardzo wiele...

To znów jak po dziecka zgonie,
Dzieciobójcze matki dłonie,
I koszula krwawa na niej,
Zapalają się w otchłani.
To jak w gaju gdzieś niewiada,
Kto nieszczęście kiedy wstrzyma?...
Wiatr poszumiał, drzewo pada,
Było dwoje i już niema.
Tyle szczęścia że we dwoje,
Że nikt po nich nie zaboli,
Pozalują się ich doli
Chyba tylko ciche źródło.
Na mogile konik siwy,
Konik siwy biało-grzywy
Puka, szuka pana swego,
Grzebie nóżką, żałuje go.
Na mogile panna szłocha,
Niema tego kogo kocha.
Wykopali skrytkę błogą,
Nie szeroką, a podłużną,
Mój koniku nie grzeb nogą,
A ty panno nie płacz próżno.

I tak w kolej aż do zorzy,
Póki oczu sen nie zmorzy,
Wciąż się pieśń przewija słodka,
Jak to kółko kołowrotka.
Wreszcie gdy już skończy swoje,
Gdy niejedno przeinaczy,
Kiedy też wycisnie źródło,
Niknie w głębi serc słuchaczy...
Tak w dziewczęce długie noce,
Pieśń z gwiazdami się migoce,
I porówno im rozdziela
To żałoby, to wesela.
Z szczęśliwymi tańczy, śpiewa,
Ze smutnymi się spodziewa,
A umarłym w głuchą ciszę
Rządek złotych liter pisze.

Co ja z niemi się naszłochał,
Co ja z niemi się nakochał...
Niech Bóg broni i zachowa,
Pełna tego była głowa...
Mokra rosa a ja bosa,
Przyśpiewuje mi z ukosa,
I wnet całe widać pole,
Kalinowe drzewa w dole,
Malinowe w podłuż krzaki,
Jakiż to kraj, Boże, jaki...
Mgła się równa pod lasami,
Słońce błyszczy nade mgłami,
Na dolinie srebrzy rosa:
Mokra rosa a ja bosa...
Ach czy mnie też Polska wróci,
Czy się serce rozesmuci?
Będę ja też wesół kiedy,
Bez kłopotów i bez biedy?
Gdyby można tego czaru,
Z nadwiślańskich niw obszaru...
Śpiewaj ludu polski złoty,
Wypowiadaj swe tęsknoty,
U orania, u zasiewu:
Poty serca póki śpiewu.
Jak się zrobisz cudzoziemcem,
Jak się zrobisz wrogim Niemcem,
W oczach będziesz miał wzrok wilczy,
Będziesz milczał, jak wilk milczy.
Będziesz hydził ojce starc,
Będziesz miał niemiecką wiarę,
A gdy krzykną w niebogłoty,
Nie poczujesz się do kosy.
Śpiewaj ludu polski złoty,
Wypowiadaj swe tęsknoty,
U orania, u zasiewu, —
Póty serca póki śpiewu.

DWA DĘBY.

Nad modrym stawem dwa dęby stały,
A bardzo dawne, po sto lat miały.

Raz przy miesiącu, nad cichą wodą,
Dąbek staruszek potrząsnął brodą,
I z drugim dębem rozmowę wiedzie:
— Co z ciebie będzie miły sąsiedzie? —
— Ze mnie kołyskę dla dziecka robią,
Sianem wyścielą, liściem ozdobią,
Będę kołysał małe dzieciątko,
Albo chłopaka, albo dziewczątko. —

— A ze mnie, — drugi dąbek odpowie, —
Żłobek dla koni robią majstrowie,
Nademną dużo zawieszą siana,
Przy mnie stać będzie konik ulana. —
A pierwszy na to: — Bądź sobie żłobem:
Ja będę dzidą z żelaznym dziobem. —
— Mój miły bracie, nie mów tak szumno!
Ty będziesz dzidą, ja będę trumną.
Pięć desek zbija na wieczne spanie:
Któż tedy z czełkiem dłużej zostanie? —
A pierwszy na to: — Bądź trumną sobie,
Ja będę czarnym krzyżem na grobie,
A na nim napis będzie wyryty:
„Tu leży wojak w bitwie zabity“.

COŚ TAM O KURPIACH.

Od Pułtuska do Myszynca
Jam dziadowskie przeszedł morze,
Kędy wicher kręci inlyńca,
A poszumia w ciemnym borze
Od Pułtuska do Myszynca.

Obleciałem kurpie Gocie.
Przy ogniskach z nimi gwarzył
I, jako ptak na przelocie,
Uzbierałem co Bóg zdarzył,
Obleciałem kurpie Gocie.

Narwi, Bugu płowe brzegi,
Co gdzieś giną w głębiach lasu;
Sosny, jakby na prześpiegi
Wysunięte z borów pasu,
Narwi, Bugu płowe brzegi.

I pobratał się uściskiem
Z narobioną Kurpia dłonią,
Pożalił się nad uciskiem,
Pocieszył się polską bronią,
Oj! pobratał się uściskiem.

I nadziei coś zachwycił,
Co prowadzi wprost do czynu;
I nie raz-em się rozświecił,
Jak czystego kruch bursztynu,
Gdym od ludu coś zachwycił.

Bo tam jeszcze wszystko w wiośnie
Żyje, rusza się, spodziewa,
I słucha, jak trawa rośnie,
Jak się w żyłach krew przelewa,
Bo tam jeszcze wszystko w wiośnie.

Bogu niechaj będzie chwała,
Że lud z ducha nic nie traci,
Ostrołęckie słyszy działa,
Na śmierć gotów dla swej maci,
Bogu niechaj będzie chwała.

Ilem razy młody rzeski,
Jak stajenne jakie żrebie,
Po tej Narwi, po niebieskiej,
Jak po drugim pływał niebie.
Taki młody, taki rzeski.

Ilem razy ogniem płonął,
Świadom, czego naród czeka,
A ilekroć we łzach tonał,
Na lecącą pieśń z daleka...
Ilem razy blednął, płonął.

Z nad kurpiowskiej to mnie strugi
Wierzby nasze, płaczki stare,
Po ojczyźnie na jęk długi,
Dały gałąź na fujarę,
Z nad kurpiowskiej gdzieś tam strugi.

O co spytasz, to ci powiem:
Do Pułtuska, do miasteczka,
Znajoma mi każda steczka,
Wszystko dysze silnem zdrowiem;
O co spytasz, to ci powiem.

Ja po karczmach z nimi hasał,
Żyłem z nimi jak dziś z tobą,
Z chłopakami nocną dołą
Po nad Narwią konie pasał.
Ja po karczmach z nimi hasał.

Wszystko jeszcze tam, jak dawniej:
Niespokojne Bugu łozę,
W ciemnych chatach ludzie jawni,
Pług, jak orał, ziemię orze.
Wszystko jeszcze tam, jak dawniej.

Młódź kurpiowska kipi siłą,
Za młodością starość wzdycha;
Tylko mogił coś przybyło,
Łza upada i zasycha,
I kraj żyje pełną siłą.

W dziuplach siedzą gwinty pewne
Z Moskalami na rozmowy,
A zakłète wciąż królewne,
Niepokoją ludzkie głowy;
Wciąż niepokój o królownę.

Rok do roku wieści biegą,
Ciemne jakieś przepowiednie;
Jak anioły we snach strzegą,
By nie upadł naród we dnie;
Rok do roku wieści biegą.

I lud żyje boskim cudem,
Jak po zimie, się odmładza,
W pokolenia się rozradza,
Zawsze Polsce wiernym ludem —
I lud żyje boskim cudem.

O! pamiętam Kurpiu bracie
Te niebieskie kmiece oczy,
Co spokojnie zwraca na cię,
Jako w jarzmie wół roboczy,
O! pamiętam kmiece oczy.

Starce, jakieś święte Marki,
A niewiasty, święte Anny;
Owe piersi, owe barki,
Pod trud zgięte nieustanny,
Jakieś prawe święte Marki.

Lecz w mamonę nie bogaci,
Bieda stoi tuż u proga,
Co ze świata, wszystko straci;
Lecz nie straci nic, co z Boga,
Mamoną się nie bogaci.

To też w każdej chwili może,
Kiedy Pan Bóg go powoła,
Odejść tak na sądy Boże,
Jak na odpust do kościoła,
W każdej chwili odejść może.

Piosnką leczy serca rany,
Piosnka ludu głos serdeczny;
Idzie żołnierz w Sybir gnany,
Jużci słyszysz brzęk skrzypeczny,
Piosnką leczy serca rany.

On tak wolny choć w niewoli,
Tak tam jakichś głosów słucha,
Że aż serce cię zaboli,
Jeśliś próżen w głębi ducha.
On tak wolny choć w niewoli.

Nie wyzywaj go na bitwę,
To dla niego święta praca;
Jak odmówi kmieć modlitwę,
Idź z nim razem, bo nie wraca,
Jak odmówi raz modlitwę.

Przecieciałem kurpie Gocie,
Przy ogniskach z nimi gwarzył,
A jako ptak na przelocie,
Uzbierałem co Bóg zdarzył;
Obleciałem kurpie Gocie.

I pamiętam każdą chatę,
Każdą karcznię, w której grają
I te sroki te srokate,
Co tam z płotów przefruwają;
Oj pamiętam każdą chatę.

I zórawie wodonośne,
Zorzę, co za lasem gasła
I te dziewcząt piosnki głośnie:
„W olszynie ja wołki pasła,
„W olszynie mnie nocka zaszła.“
Ależ, bracie, dosyć na tem,
Jedno słońce gwiazdy gasi, —
Gdzie się zwrócisz, pustym światem,
Niema ludzi, tylko nasi,
Gdzie się zwrócisz pustym światem.
A my biedni w życiu naszym,
Krzaki we mgle księżycowej,
We mgłach życia chyląc głowy,
Prostodusznych ludzi straszem,
Oj my biedni w życiu naszym.

My oryle przed podróżą,
Za splawami czekające,
Rychło ognie się zakurzą
I roztopi lody słońce,
My oryle przed podróżą.

Przyjacielu podaj rękę,
Kiedy zorza moja zgasła,
I zaśpiewaj, wiesz, piosenkę:
„W olszynie ja wołki pasła,
W olszynie mnie nocka zaszła“.

MAZUR ZA WOŁAMI.

Ptaszę śpiewa, bo ptaszę,
Bo ma w lesie swobodę;
Dziewczę śpiewa, bo nasze,
Bo wesole i młode,
Bo ma liczko, jak róża,
I nie mała nie duża.
I ja sobie zanucę,
I ja czasem wesolę;
Jeno woły zawrócę,
— Wołyż moje! hej woły! —
Albo ja to sierota?
Albo jaki nicpota?

Mam ja rolę i chatę,
I poszyte stodółki,
I bydełko rogate,
I dwa konie i pszczołki;
I kobietę Jagusię,
I dzieciątko malusie.

Pan Bóg łaskaw na człeka;
Grady biją z daleka,
U mnie zboże się kłosi,
Deszczyk przyjdzie, porosi,
Albo lunie jak z cewki,
Na ogrody, przysiewki.

Jak to woły się cieszą,
Kiedy jarzma nie czują,
A rogami się czeszą.
A patrzą się a żują;
Idzie słonko po niebie...
— A no! woły, od siebie! —

Jakoś ciężko plug chodzi,
Ale ziemia obrodzi.
Dla kaleki, żebraka
Daje ziemia nieboga,
Dla sieroty, dla ptaka,
Przyjaciela i wroga.
Byle posiać na dobie...
— A no! siwy, a k'sobie. —

Danaż moja! oj dana!
Ludzie idą do siana,
Brzęku, brzęku po stali,
A dalejże, a dalej!

Mają zboża Kujawy,
Mają łąki na paszę;
Ale gdzie im bór ómawy,
Takie lasy jak nasze?

Oj! Bachorza, Bachorza,
Same błota i trzciny,
I jeziora jak morza,
I doliny. doliny.
Gdzie się człowiek obróci,
Wszędzie serce zasmuci.

A to u nas inaczej,
Szumią gaje w równinie,
Ani świata zobaczy,
Jak stryj brodę rozwinie;
Jeno w górze u szczytu
Jasny kawał błękitu.

Raniusieńko, jak zorze,
Słyszać ptaków śpiewania,
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania,
Wiatr po liściach szeleści,
Coraz widniej, niebieściej.

Każde przy swej robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa a śpiewa,
Żołna lasy rozsiewa,
Przyśpiewują na głosy,
To wywilgi, to kosy,
I człek myśli, że w raju,
A on w kraju, oj w kraju...

Na zachodzie pogoda,
W jasnym niebie wesele,
Dał Bóg ludziom oj wiele,
Może jeszcze co doda.
Może zboża dorzuci,
Może... Polskę powróci.

Twardo panu kmieć służy
I biedyśmy zażyli:
Może życia przydłuży,
Może nieba przychyli,
I od grzechów rozgrzeszy,
I na dzieciach pocieszy.

Słonko schodzi po niebie,
— A no! woły od siebie. —
Już z południa daleko,
Ludzie z miasta się wleką,
Idzie baba wśród drogi,
Wiedzie krówkę za rogi.
Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki;
Grajek wziął się do smyka,

Spuścił nogi przez drabki:
Dylu, dylu od ucha,
Kto ma uszy, niech słucha.
Środkiem włódarz się toczy,
Nawdział czapkę na oczy,
Zajrzał w dzbanek, nie dużo,
A nogi mu nie służą.

Szumią lasy, hej lasy,
A w karczemce grzmiały basy,
Kiedy skakać, to skaczą,
A kiedy pić, to piją,
A jak płakać, to płaczą,
A jak bić się, to biją...
To już u nas tak idzie,
Na połówkę nic niema;
A pocierpieć jak przyjdzie,
To i to się wytrzyma.

Ot i dzwon już i dzwonek
Na wieśniaczym kościele.
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,
I za wszystko, co miłe,
I za wszystko, co boli;
W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli.

Już i zorza przygasa,
— A no woły! do lasa,
Na podwórko przed chatę,
Pod te sosny garbate. —

J A G O D A.

Po brzozowym cichym lesie
Dziewczę idzie, dzbanek niesie,
Niesie dzbanek z jagodami,
Z jagodami borówkami.
A dla Boga, co się dzieje?
Kto się śmieje? Las się śmieje —
Kłaniają się przed nią drzewa,
Ona śpiewa i las śpiewa.

Więc przystanie, dech zatrzyma,
Patrzy wkolo... i nic niema.

Dzięcioł, co ma dzióbek spory,
Przysiadłże się też do kory,
A wywilga coraz świeżnie;
Gęstwa, ledwie się przecisnie.
Z pod jałowcu zając skoczy
Z otwartemi śpiący oczy.

— Mój zając nie bójże się,
Ja borówki zbieram w lesie.
A toż ja ci nie przeszkodzę,
Że ze dzbankiem sobie chodzę.
Gdybyś był nie uciekł w chrusty,
Dałabym ci liść kapusty,
Jak królikom, kiedy z jamki
Wyjdą z rana stare samki,
A za niemi ich przychówek,
Powymyka się z kryjówek.
Stara matka uchem strząśnie
Przybliży się, liścia kąśnie,
I powoli się oswoją,
Że i Burka się nie boją.

Już powiadam, że uciecha.
Oj frunęło coś z orzecha,
Z czubka drzewa, co się chwieje,
Choć najmniejszy wiatr nie wieje.

Coś zalata, cości słyhać.
Że aż chce się piersiom dychać,
Nocą spadły świeże deszcze,
Bo się krople świecą jeszcze,
A na wrzosie, co mnie moczy,
Jak perelki stoją oczy.

Jagódeczka — pójdz do dzbana,
Moja, moja, dana, dana...

(Splewa)

Miała matka dwie sieroty
Chłopiec starszy siedmiolatek,
Jak aniołek jaki złoty
Co otwiera drzwi do chatek.
W koszulinie, zawsze bosy,
Przepasany wąską krajką,

Opalony, białe włosy;
Bóg wie, gdzieby szedł za bajką.

A dziewczyna, jakby fryga,
Nigdzie miejsca nie zagrzała,
O! śpiewała, o! biegala,
Tylko że się w oczach miga.

Dobrze tym, co mają matkę;
Miłe życie, czas wesoły,
Lecz gdy zajdzie wóz przed chatkę
Zaprężony w siwe woly,
I kościelny dziadek stary
Od dzwonnicy linkę chwyci:
Za cmentarzem dzionek szary,
Smutną zorzą się rozświeci.

I krzyżyków tyle, tyle,
Pokaże się z poza płoty,
I sieroty na mogile...
Były we wsi dwie sieroty...

.....
Jak zalata Boże ziółko...

— Gdzie tak spieszo pani pszczółko? —
Już za sosną, już za górką
Przyjdiesz do mnie na podwórko.
Jak mateńka miód wysyci,
To się przecież coś zachwyci.

Danaż moja, dana dana...
Gdybym była poszła z rana,
Kiedy świat był w cieniu grubym
To już byłby dzbanek z czubem.

Już południe, slychać dzwonki,
Stary pastusz spędza z łąki.
To Pawłowa — to Graniata,
Co kolatką tak kołata,
A to nasza krówka goni,
Co jej dzwonek cienko dzwoni.
I od gaja aż do gaja,
Rozlega się ryk buhaja.
Jak zobaczy cudze chłopię,
Zaraz staje, ziemię kopie,
A Burek go łap za nogę:
Nie przestępuj ludziom drogę.

Dobre psisko nie napada
 Na starego ze wsi dziada,
 Ale za to jak posłyszysz:
 Pójdź tu Burek, myszy, myszy!
 Toż pod siebie ziemię spycha,
 Kopie, kopie. potem kicha.
 Coraz dalej dzwonki dzwonią
 A brzęk leci równą błonią.

(Śpiewa).

Pożegnała siostra brata,
 Pożegnała temi słowy:
 „Kiedy idziesz za kraj świata,
 Mój braciszku bywaj zdrowy.
 Jak za siódmą będziesz rzeką,
 Jak ci zgłuchną wiejskie dzwony,
 Albo ja wiem jak daleko,
 Obejrzyj się w nasze strony,
 Gdzie nad chatą rozwaloną,
 Nad kominem het wysoko
 Takie nieba jasne łono,
 Jak nieboszczki matki oko.
 Nie oglądaj się na czleka,
 Ni na swoich, co już w grobie,
 Ale bracie wspomnij sobie,
 Że cię nasze niebo czeka.
 Rosną wierzby nad wodami,
 Nad zieloną pochyłością,
 Kto pożegnał się ze łzami,
 Ten powita się z radością.

Bywaj zdrowy! bywaj zdrowa!
 Smutno świeci zachód złoty,
 Długo żalść krótkie słowa:
 Żegnały się dwie sieroty.

.

Danaż moja. dana. dana...
 Jagódeczko pójdź do dzbana.
 Jakoś idzie mi powoli,
 A tu trzeba kupić soli.

Latoś było co nie miara;
Dziwiła się matka stara,
Ze jak tylko w gaik wpadnę,
Wnet borówki niosę ładne.
A ja wcale się nie siłę,
Wszędzie pełno, gdzie się schylę.
Rumienia się w koło przy mnie:
— Weźże i mnie, weźże i mnie,
I ja świeża i ja świeża, —
I już dzbanek po wybrzeża.
I mówiła mi jagodka:
— Zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja słodka. —
A ja kładę do kozubka:
— Tyś dla matki, moja lubka. —
Ja dziewczyna nie łakoma,
Dadzą mi, jak wrócę doma.
A dziś chodzę dzionek cały...
Czyby ptaki wydziobały?
— Oj wy ptaki nienasyte,
Widzę ja was, choć ukryte.
Dziwuje się, kręci główką:
Nie pocieszysz się borówką.
Otóż widzisz, że nie twoja,
Tylko Boska, potem moja.
Danaż moja, dana. dana,
Jagódeczko pójdź do dzbana. —

(Śpiewa).

Płyną wody za wodami,
I z gałązek liść oblata;
Sieroteńka za górami,
Przewędrował kraje świata.
A chociaż mu nie zbywało
Ani soli, ani chleba,
Ale wszystko to za mało.
Bo swojego nie miał nieba.
I napisał liścik drobny,
Złotoocznem piórkiem pawia,
Ale taki niepodobny,
Że, co słówko, to zakrwawia.
Niby nic mu nie potrzeba

Nad wodami, nad cudzemi,
Ale chciałby krzyнкę nieba,
I wietrzyka z swojej ziemi.

Wzięła siostra liść kaliny,
Napisala mało wiele:
— Tyś braciszek, ty jedyny,
Tyś mi anioł w ludzkim ciełe. —
I co przyszło jej do głowy,
Wypisała wszystko na nim.
Teraz wietrze cichem wianiem
Zanieś listek kalinowy...

.....

Przeleciałam kawał lasu,
Zarosila się do pasu,
Trzeba wracać. — Bywaj zdrowy
Mój gaiku brzezinyowy. —

Spieszysz dziewczę drogą z lasku,
Dobrze nogom w ciepłym piasku,
A wciąż jedną nutę nuci,
Czyż jej piosnka nie porzuci?
Nie porzuci, trudna rada,
Z wschodnim wiatrem na nią spada,
Między myśli jej się płacze:
— Skończ mnie, skończ mnie! — Nie, nie skończę.

(Śpiewa).

Miała matka dwie sieroty
Chłopiec starszy siedmiolatek

.....

— Cicho piosnko, dosyć psoty. —

.....

Najciekawszy był ostatek,
Coś o koniu, o szabelce,
Najpiękniejszy koniec dzieła.
Ja sam ciekaw byłem wielce,
Lecz dziewczyna się zawzięła
I ustami różanemi
Szeptala. jak woda zdroja
Cichy pacierz: Wola Twoja
Jako w niebie tak na ziemi.

DUCH SIEROTY.

Idzie sobie pacholę
Przez zagony, przez pole:
Wielki wicher, ulewa,
A to idzie a śpiewa.

Wyszedł z gaju gajowy,
I ozwie się w te słowy:
— Taka bieda na dworze,
A ty śpiewasz nieboże? —

— Oj długo ja płakała,
Gdy mnie nędza wygnała,
Gdy ja biedna sierota,
Drżąca stała u płota;
Aż raz w nocy niedzielnej
Przy dzwonnicy kościelnej
Mróz wszelakie czucie ściął,
I Pan Jezus duszę wziął:
Jedna zimna mogiła
Moją biedę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował,
On mnie płakał, żałował,
On mnie ubrał w sukienki
Do tej zimnej trumienki;
Teraz nic mi nie trzeba,
Idę sobie do nieba.

— O sieroto! o dziecię!
Nic ci nie żal na świecie? —

— Żal mi jeno tej łaki,
Gdzie fijołki i dzwonki;
Żal mi słońca w zachodzie,
Kiedy świeci na wodzie,
I fujarki wierzbowej
Z nad zielonej dąbrowy.

JAK TO NA MAZOWSZU.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żyłasty,
Kędy białą plótna wesole niewiasty;
Po łące stąpają bociany powolne,
W owsach jednostajnych brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekle pod błękitem suną;
Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wiosel na falach i śmiechy i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie we wrzosie,
I śpiewa milemu: „Pędź głosie po rosie” —
Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słyhać piosenkę daleko, daleko...
I gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna, za bydłem, za plugiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
Jakby jedna dusza była w całym kraju.
Oj! śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze —
I sosny roślejsze, i dziewczki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieję tak rażna dziewczucha,
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły, — oj tęskno mi do niej!...
Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj! Mazur ja Mazur, pomiędzy obcemi
Zmarnając ja młodość na nieswojej ziemi.



Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało,
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
Oj poczerwienione, jak oczy matczyne,
Co mnie błogosławiąc patrzyła w dolinę;
Wiatr szumiał po polu, a pszeniczne kłosy,
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy;
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną
Na gałęziach wrony krakały nademną;
Sierocemu sercu tak się wydawało,
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie, nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło;
Daremno po drodze patrzałem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali,
Nie było nikogo — i poszedłem dalej...
I dalej i dalej w świat szeroki długi —
Bywajcie mi zdrowe mazowieckie smugi!
Skrzypki, moje skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też Mazury chętnie posłuchajcie.
Dziś tulam się oto, i tęskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię i leż się napiję.
I tak schodzi zima i za zimą lato —
Boże dopuszczenie — chwała Mu i za to!
Zagrajcie skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
— Witajże mi, witaj, kraino kochana,
W boleści, w tęskności — oj dana! oj dana!

DZIEWCZYNA.

Oj wesolaż ja dziewczyna,
Wszystko mi się śmieje.
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje,
Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki,
Dla mnie daleś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki.
Bo i któżby myślał w świecie

Przy tym niepokoju
O powoju, co się plecie,
Po krzakach, przy zdroju?
I o lichej tej ptaszynie.
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie?
Już ja o tem myśleć muszę,
To mój kłopot cały,
Żeby w letnią skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały;
Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka;
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.
Za to od lilii, ruty
Kwiatki mam dla siebie,
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.
Od zdroju mam orzeźwienie,
Tę świeżość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie,
Jakby srebrna tkanka.
I tak dobrze, tak mi lekko
U matki jedynej,
Że i nie wiem, jak tam cieką
Lata, dnie, godziny.
Czasem tylko, gdy do chatki
Zła wieść zakolące,
To na łonie mojej matki
Żal nad ludźmi splaczę.
Bo chociaż ja tak wesola,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z siola,
I często samotna.
Lada co to mnie ucieszy,
Lada co zasmuci,
Czasem mała rzecz rozśmieszy,
Mała rzecz zakłóci.

Teraz to mniej śpiewam sobie,
Mniej skaczę, jak dziecię;
Od czasu, jak brat w grobie,
Smutniej mi na świecie

ZŁOTY KUBEK.

W szczerem polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liśćcami.

Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki malej.

Pan Bóg łaskaw na sierotę.
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:
— Złotniczeńku zrób mi kubek,
Tylko proszę, zrób mi ładnie.
Zamiast uszka ptasi dzióbek.
Moją matkę zrób mi na dnie,
A po brzegach na okolo
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci. —

— Ja ci zrobię ładny kubek,
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie;
A po brzegach na okolo
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło,
A pod spodem małe dzieci.

Ale czyjeż ręce czyje
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije,
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dlonie wziąć ośmieli,
W złotem denku przejrzyć lice?

— Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja i dziewice...
Złotniczeńku patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i anieli
I Maryja i dziewice.

WIOCHNA.

Już słoneczko powstało
I przegląda się w rzecce;
Oj na rosę, na białą,
Polecęz ja polecę!
Jak to z brzozy płaczącej
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącej
Zwieszają się i cieką.
Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki,
O mój Boże! mój Boże!...

Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się w kółko;
Ja nie jestem jaskółką
A potrafię tak samo.
Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniccę,
Niechno krówki wydoję,
Polecęz ja polecę!...

Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten śliczny świat stworzył,
Tak cudnie go ozdobił,
Tyle kwiecica rozmnożył. —

I że mnie dał braciszka,
Z którym co dzień się pieszczę...
Pójdę cicho, jak myszka,
Zajrzeć, czy też śpi jeszcze?
Śpi w kolebce — więc dalej
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy uczesać.

A robotaż to nudna
Te warkocze do ziemi,
Platanina, och, zmudna,
Tak tam bawić się z niemi...

Kiedy mówią o oczach,
W których ja nic nie widzę,
I o moich warkoczach,
To się tylko nawstydzę.
I skarżę się, mój Boże!
Że mam oczy uroczone...
Może prawda, — a może...
Ale cóż ja z tem pocznę?...

Mateńka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę:
Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę,
Niech ja na deszcz wyskoczę
A dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża...

Pająk przędzie, oj przędzie
Swoje szare włókienko;
I ja umię tak cienko,
I moje też tak będzie. —
Bo ja przecież coś umię:
Kądziel przędę i pielę,
I na książce rozumię,
I zaśpiewam w kościele.

Jakem raz na święcone
Ulepiła baranka,
Co miał wełnę kręcącą
I klęczące kolanka:
To się bardzo dziwiono,

Bo tak siedział jak żywy,
Jak baranek prawdziwy,
Z chorągiewką czerwoną.
Jak zrobiłam w Trzy Króle
Świątą Pannę i Syna,
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule,
I z liliją staruszką,
I z lirenką pastuszką.
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli
I za głowę się brali.
Matce wierzyć nie chcieli.

A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki,
Jak najpiękniej uplotę.
Kwiatki lubię ogniście,
Boże drzewko, lilije,
I to, co tak na liście
I na prątki się wije...

Oj nie dobra to córka,
Co się próżno zabawia;
Dalejże do podwórka,
Trzeba ciągnąć zórawia.
Oj! ta, da, da..... A cicho! —
Matka będzie się gniewać;
Podkusiło mnie lichy,
Chciałam sobie zaśpiewać...

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje,
Zajrzę w wody lusterko,
W nim ja druga się śmieje.

Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi,
To aż wzdryga się oko,
Aż mnie zimno przechodzi.
Nie spotka mnie nic złego
Choć nad studnią tak stoję;

Nie boję się niczego...
Oho prawda! nie boję?...
Naprzód straszą mnie baki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki,
I jałówka, co bodzie.
Potem boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzięczy
Pijąc wodę z potoku,
Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła, broń Boże,
Z ziemi unieść mnie może
Do białego miesiąca.
Wreszcie trwożą mnie grzmoty
I piorunów trzaskania,
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania:
Lecz w kościele nie czuję
Bynajmniej hojaźni,
Mnie tam radość przejmuję;
W sercu jeszcze mi raźniej.
Tak mi rzeźwo, wesoło,
Jak u matki w chałupie; —
Ludzie szepcą w okolo:
— Ot cieszy się, bo głupie... —
A co mi tam, niech sobie!...
Mnie ogarnia myśl błoga,
Co ja robię?... co robię?...
Raduję się do Boga
Kiedyć może skowronek
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy,
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłoni,
I spoglądać z radością.

U spowiedzi gdym była,
Książdz, co ludzi spowiada,

Mówił: gdybym zgrzeszyła,
Ze pokutę mi zada.
Więc umyślnie dla tego
Dziś zgrzeszyłam od rana:
Na stół miodu złotego
Usączyłam ze dzbana.
Niechże zada raz przecie,
Bobył sobie myślała,
Otóż żyłam na świecie,
A pokutym nie znała.

Jako ptaszek na roli,
Prześpiewałam dni płoche,
I nie znałam niedoli; —
Oj! znam-ci ją, znam trochę...
Trzy razym już płakała,
I serdecznie, mój Boże!
Raz gdy babka skonała
W tej tam ciemnej komorze;
A drugi raz, gdy w nocy
Ludzie po wsi biegali,
Krzycząc na gwałt pomocy,
Że kościółek się pali!
A trzeci raz, gdy w progi
Przyszedł dziadek pochyły,
Taki oto ubogi,
Ale dobry i miły.
I piosenka zabrzmiała
O Polaku w niewoli.
Wtedy bardzo płakała,
Bo mnie zaraz tu boli.
Całowałam go w rękę,
— Nie smućcie się dziadulu, —
A lzy z żalu i bólu
Upadły mu w lirenkę.

Z za mgły słońce powstało,
Wronka kracze na roli;
Nie wiem, co mi się stało:
Coś mnie smuci, coś boli...

To chce mi się zapłakać,
To mnie pusta myśl lechce,
Weselić się i skakać
I chciałabym i nie chcę...

WIECZNIE TO SAMO.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczobiocząc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się to niżej, to wyżej
Nad czystą jak kryształ rzeczulką,
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
I słonko przygrzewa w poranek.
Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci i cichszy, i cichszy
W zielonym gaiku przepadnie.
Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościółka,
Na ranne modlitwy zadzwoni;
A dzwonek zamilknie — to złota mi pszczołka,
Zabrzęczy na kwietnej, na błoni;
Ah! pszczołka przysiedzie na świeży sasanek —
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
A! Boże mój drogi — w wiosenny poranek.
Jak wszystko i świeższe i lepsze.

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączki rozpuka;
I słucham, jak w lesie pod sosny koroną
Kukułka wciąż kuka i kuka.
— Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?...
O ptasze ty moje! o ptasze ty wieszczu,
I kiedyż tam będzie ostatek?...

Już dziesięć, dwanaście i jeszcze wciąż dzwoni.
Za wiele ty moja ptaszyno...
— Nie bój się, nie wiele — w ojczystej ustroni
Twe lata, jak woda, przepłyną.

Bławatki, kąkole zbiegały od słońca,
Gdzieniegdzie się tylko niebieszcza;
A polne koniki we zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszcza.
Mała przepiórka już woła z pod prosa:
— Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć co żywiej,
Bo jeśli w pogodę nie spuści się kosa,
To potem się słota sprzeciwi.
— Bóg zapłać przepiórko! twój głosik kochany
Wesoło przypada mi w ucho;
Pójdź koso z komory, pójdź sierpie ze ściany.
Bo w chacie wieśniaka już krucho.
Pocieszcie się dzieci, chleb będzie chleb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar boży;
Matuchna upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy. —

Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
Chłopaki, dziewczęta jak róże;
O! chwalaż ci Boże za nowe, za latko,
— Hej! chłopcy, dziewczęta, a nuż. —
Brzęk brzęku, brzęk brzęku, pospiesznie a chyłkiem.
Śmiech słyhać, spłoszyli zająca...
I oto się białą nad rannym posiłkiem,
Pod gruszą co chroni od słońca.
A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe;
A w łąkach tak kwiecień, jak gdyby nasadził.
Czerwone, niebieskie i białe.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą.
Tak na nich i jablek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

Gdy spojrzę na dziadka, jak z niemi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednak,
To cichą modlitwą żrenica się łzawi.
— O! Boże daj starość mi taką. —

Na polu omglonem jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza w okolo, a gąsior gdzieś gęga
I ziemia już tylko a płoty;
Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydle się przemknie u rowu;
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni...
I spokój rozsiada się znowu.
Brat w małym ogródku motyką wciąż kopie,
Dziadulo, jak struże tak struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.
I jakoś nam błogo, choć chmurno na dworze,
Nam woda do chaty nie leci,
Człek żyje jak może, i robi co może,
Dla ojca, dla żony, dla dzieci.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili;
I niewiem, co miłsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?
Nad żonę, co w białej len przedzie świetlicy?
Nad ziemię, co zboże mi rodzi?
Nad gwiazdkę, co w czystej kapie się krynicy?
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi?
I niewiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?
I niewiem co szybsze nad myśl niezgonioną?
Nad serce pocziwe gorętsze?
Co jeszcze smutniejsze nad młodość straconą?

Nad pracę i miłość co świętsze?
 Nad krzywdę rodaka co bardziej porusza?
 Co lepiej nad kosę uzbraja?
 Co prędzej nad wiarę lzy z oczu osusza?
 Co więcej nad radość upaja?

Są różni na świecie, są tacy i tacy,
 Są dobrzy, niedobrzy — któż nie wie?
 Ja o tem nie myślę, co zbywa od pracy,
 To spędzam przy dzieciach, przy śpiewie,
 To z ojcem, to z dziadkiem, to z dziećmi się bawię;
 To niby na niczem, tak oto,
 Jak teraz gdy stojąc przy zżętej otawie ¹⁾,
 Patrzę się na zorzę, na złotą...

¹⁾ Otawa — potraw.

CHŁOPAK.

Śnieżyca zawiewa,
 W dali szumią drzewa,
 Nad białe zagony
 Podlatują wrony.
 Gdzie wierzby, gdzie chata,
 Drzwi stare skrzypnęły,
 Skrzypnęły, stanęły,
 I chłopak wylata:
 Rozpięta koszula,
 Po piersiach wiatr bula;
 Twarz zdrowa choć dymna
 Znać chłopskie to dziecię:
 Nie dmucha on w lecie,
 Nie chucha od zima.
 A oczy jak ciarki,
 A ręce jak raki,
 Na wrogów to karki,
 Wylągł się on taki.
 I czegoż, i za czem
 Śle okiem prostaczem.
 I kędyż wejście wciąż ciska?

Tam dalej; za krzyżem,
Nad starym żołnierzem
Ostrzony się bagniet polyska.
Tam dalej muzyka
Marsz dzielny wygrywa,
Aż duszę porywa,
Aż serce przenika.
I przeszli, zniknęli,
Śnieg gęsty popruseżył;
Choć przeszli, minęli,
Chłopak się nieruszył.
Na czole mu siadła
Chęć bójki zawzięta,
Po twarzy mu spadła
Kropelka zziębnięta.
Czy mróz ją wygonił
Wędrować po świecie?
Czy z biedy lzy ronił?
Wy może zgadniecie...
Jak zając spłoszony
W lesiste mknie strony,
Tak chyżo przez wzgórek
Poleciał Mazurek;
Poleciał do chatki
Wychwalać wojaki
I prosić u matki,
O karabin taki.

NAJPIĘKNIEJSZA.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy przy matki kolanie.
Wtórzy: Boże! o Boże! potem: Panie! o Panie!
Zmiłujże się nad krajem! zmiłujże się nad krajem!
We łzach cichej modlitwy wciąż przed tobą się kajem.
Najpiękniejsza dziewczyna, kiedy nikt jej nie widzi,
Kiedy płacze i skacze i tego się nie wstydzi.
Nie wie, czemu wesola, nie wie czemu i smutna,
Śmieszka, ptaszek, śpiewaczka, swawolnica okrutna.
Bez muzyki tańczy po murawie trawnika,
A na co jej muzyki? ona sama muzyka...

Dzieci za nią i przy niej, ho nic złego nie czyni,
Więc jak tylko wyleci, towarzyszą jej dzieci.
Skaczą polne koniki w bujnych trawach spłoszone,
W czyste wody przezrocza skaczą żabki zielone,
Wszystko pierzcha na strony przed dziewczyną wietrzną,
A słoneczko aż pali, tak całuje jej lico.

Przelecieli do sadu, jak gołębie na daszek:
Naprzód ona i dzieci, potem motyl i ptaszek.
Same kwiaty się mnożą, same wiśnie się rodzą,
Za nic Boże, z ogrodu piękną pannę wywodzą.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy ją jakiś żal bierze,
Zamyśli się, zawzdycha i zapłacze tak szczerze,
Nie za światem, nie za tym, ho jej dobrze u mamy,
Lecz że pierwszy raz widzi: że coś tęskno jej samej,
I choć mama kochana, ale otóż to ale...

Lepiej o tem nie myśleć, nie zajmować się wcale.
Zadzwonili z kościoła, ciszej w sercu panience,
Pochyliła swą główkę i złożyła dwie ręce.

I na chwilę się stała taka piękna, tak biała.
Jakby z nieba nie z ziemi, jakby z chmurki nie z ciała.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy u stopni ołtarza,
— Tego oto małżonka bierzesz? — Biorę — powtarza.

A serduszek to stanie, to gwałtownie zapuknie,
Oj! serduszek niedobre, aż je widać przez suknię
Zamienili pierścionki, dwa ze złota pierścionki,
Ten na palec małżonka, ten na palec małżonki.
Gdy ksiądz wiązał ich stulą, co to serce nie czuło,
Z niego życie się będzie, jakby złota nić snuło.

Przytem Polka serdeczna wierszy umie tysiąc,
W obraz ojca żołnierza zawsze patrzy, jak w słońce;
Kiedyż, kiedyż z za góry błysną polskie mundury?
Kiedyż przyjdą z daleka Krakowiacy, Mazury?
Szarpie będą skubała, chorągiewkę uszyję
I wydam się za tego, co Moskali pobije.

DO MOJEGO GRAJKA.

Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie. —

Miły grajek się przyłoży,
I basista nie najgorzej:
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogostawi.

Miły Janek dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami — jedna, druga
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianozęci...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie. —

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę strunę.
„Przepióreczka pomkła w proso“,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą,
Bo to dziewczę pozna żywo
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.
Zabłąkane nuty chwyla:
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
— Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie. —

A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina,
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchnu ano w koło,
Potem rażno na odsiebkę.
Bodajże cię za tę skrzypkę...
— Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie. —

Szumno, tłumno i wesoło
Aby dalej, aby w koło!
Za drugimi, za gromadą
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skoczym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami jako mogą
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą żrebce
Dziecko śmieje się w kolebce;
Kędy spojrzeć, radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grędy,
I na drągu na wysokim,
Przygląda się jednym okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Niewiedząca co się dzieje;
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.
Wszyscy skaczą jak najęci,
A tak sobie mówią święci:
— Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie. —

Zmarnowane bieda z nędzą
Jak szalone ze wsi pędzą.
Po lipowym starym moście
Na wesele jadą goście:
Jedzie matka — „Dobra-wola”,
Aż się złocą od niej pola.
Suknia na niej jak na pani,
Złotem tkana, przerabiana.

Na przyjęcie siostra — Cnota
Otworzyła stare wrota,
Pokłoniły jej się plugi,
Stary zóraw też jak długi.
Potem z izby buchła para,
Zaśmiała się szczęsna wiara:

— Bywaj z nami z wieśniakami
Stara matko bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeśli nie my ludzie prości? —

— Teraz grajku miły Janku,
Mokre piwo w starym dzbanku,
Zagrajcie nam tego co to,
Co to wiecie, a z ochotą,
Tak okrutnie, żeby cała
Nasza Polska usłyszała,
Tak już przez moc, wszelką siłą,
Żeby raz już dobrze było!...
Od Warszawy do Krakowa
Już nam się złe nie uchowa,
Od Krakowa do Górali,
Od Górali jeszcze dalej...
Danaż moja dana, dana,
Od wieczora aż do rana.
Grajże grajku bo daremno,
A ty Baśko kręć się ze mną.
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze,
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze to wygrznoci.
Zagrajże mi grajku, proszę,
Wysypię ci w skrzypkę grosze. —
Więc i dziewczę szczere lichu
Podśpiewuje jeszcze cicho,
— Grajże grajku. będziesz w niebie,
A basista koło ciebie. —

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi,
Po weselu cicho wszędy,
Tylko kogut sfrunął z grzędy
I na śpiących snem głębokim
Ogląda się jednym okiem.

MGŁY PORANNE.

Mgła nad wodą się podnosi
W przedpogodne ranie:
A dziewczę, co wodę nosi,
Zamyśłone stanie.

Patrzy, patrzy, jak mgła siwa
Wzbija się pod słońce,
Przez nią słońce się dobywa
Jak nitki świecące.

I ta szara taka brudna,
Kiedy była nisko,
Zrobiła się taka cudna:
Dziwne widowisko.

Zamyśliło się stworzenie
O sukience złotej,
Aż jej przerwie zamyślenie
Anioł stróż sieroty.

„Co tak patrzysz duszo droga,
Czybyś zajrzeć miała?
Jak podniesiesz się do Boga,
Będziesz jasna cała”.

JASKÓŁKA.

Jaskóleczo z kraju
Co tam słyhać ptaszę?
Czy tam kuja w gaju
Kosy i pałasze?
Czy tam, jak niedawno
Śród lesistej dali,
Pieją piosnkę sławną:
„Hura na Moskali!...”
Czy tam z chatek kmieci,
Śród śniegu i mrozu,
Polskich chłopów dzieci
Spieszą do obozu?

Czy, choć wróg się znęca
Na wiosek popiele,
Stary mnich poświęca,
Sztandary w kościele?...
Czy Polki kochane
Snują swoją przedzę
I szarpie na ranę,
Łzy mają na nędzę? —
— Hej bracie tulaczu,
Co tam prawisz człeczce?
Nie słysząc tam płaczu,
Z oczu łza nie ciecze.
Nikt pieśni nie śpiewa
Po lesie w tej dobie,
Tylko jeszcze drzewa
Dzierżą kule w sobie.
Tylko co jagody
Czerwienią się zrana,
Jakby dziatwy młodej,
W lesie krew rozlana.
Flisy pluszczą wiosły
Po wodnej topieli,
Mogiły porosły,
Ludzie pomaleli. —
W lochu albo w ziemi
Kto kocha, kto czuje
Niedola się pleni,
A głupstwo tańczy. —
— Cicho! cicho! ptaszę
Dosyć już tych wieści!
Nie polskie, nie nasze.
Co się tam beczęści. —
Przyjdzie wiosna nowa,
Pozagaja blizny,
Gdy trąbka bojowa
Wrzaśnie do Ojczyzny!
Wracaj ptaku miły
Do Ojczyzny drogiej,
Odwiedzaj mogiły
I pocziwe progi.

NIECH BĘDZIE POCHWALONY
JEZUS CHRYSTUS.

Wiersz ofiarowany czcigodnemu ks. Wojciechowskiemu.

Miłość nam dźwigać pomaga ciężary
I do zwycięstwa dodaje nam wiary;
Miłość nadzieją serca nasze krzepi,
Miłość nas uczy wciąż, że będzie lepiej. .
Tylko nie bacząc na doczesne nędze
Snuć nam tę miłość, jak anielską przędzę!
Każdemu dniowi dać promyk tej wiary
I tej miłości gorącej, bez miary;
I taką drugich ożywiać nadzieją,
W której najcięższe zwątpienia topnieją! —
Oczyrna, usta, i dłońmi i rany
Świadczyć o Tobie, nad świat ukochany!
W boju, to w boju; — a w ciszy, to w ciszy;
A niech wciąż serce Boże głosy słyszy.
Bez tej miłości! wszystko z ręki leci,
Bez tej miłości słońce się nie świeci;
Słowo rzucone przejdzie jak wiatr lekki.
Albo jak kamień spadnie na dno rzeki.
Bez tej miłości daremne zasiewy,
Nic bo na ziemi nie zbudują gniewy; —
Czyliż kto widział, żeby gniew co spłodził...
Ten stworzył światy, kto wszystko pogodził,
I tak urządził to całe stworzenie,
Że mu posłuszne na każde skinienie.
I jak świat wielki i jak wieczność długa,
Gwiazdzie na drodze nie zastąpi druga,
Słońce ze słońcem w drodze się nie spotka,
I wciąż na niebie taka zgoda słodka,
A wszystko dziełem Wszechmocnej prawicy —
To patrzmy jasno, Boży miłośnicy,
I z tą miłością, co nam kości grzeje,
Niech pastuch pasie i niech rolnik sieje,
Kapłan się modli, pracuje uczony.
I żołnierz staje do kraju obrony,
Wesołem sercem Bóg chce być chwalony.
Z wesołem sercem, bez próżnej obawy

Idźmy po drodze różanej, czy krwawej,
Z wieczną nadzieją, jako słudzy Boży,
A wesołości tej wróg się zatrwoży
I rzecze: „Jakoż zwyciężyć mi one,
Których w skonaniu lica uśmiechnione.
Którzy nie patrzą, jeno słowa wiary,
I Boże niosą na czele sztandary?
I tak im konać łącno, jak się rodzić,
Przychodzić na świat, jak ze świata schodzić,
Jak tu cień rzucić oczom ich weselnym,
Jak tu śmierć zadać ludziom nieśmiertelnym?“
Bo śmierć, — najmilsi braciszczkowie moi!
Temu jest straszna, kto o sobie stoi;
Śmierć — bracia moi — to nie zejście z świata,
Ale tej Bożej miłości utrata —
Ale ten smutek, co wysusza kości —
Ale ta zawiść i te niemilości —
Ale te gniewy, co siły rozwodzą —
Ale te słowa, które w braci godzą —
Ale ta susza, ten brak wiary świętej —
Ale ta pycha, w którą dmie przekłety! —
Dopóki człowiek czuje, że jest Boży.
Na śmierć nie zważa, złego się nie trwoży
I idzie śmiało na przebój z niedolą,
Wiedzion nie swoją, ale Bożą wolą;
Ale jak tylko świętą miłość straci,
Nie kocha Boga i nie kocha braci,
Wtedy on żyje, choć lepiej — by nie żył...
Błogosławionyż, kto w Boga uwierzył,
I tak szczęśliwy że jakby był w niebie,
Bo oko Ojca świata ma na siebie;
I tak swobodnym uczuwa się panem,
Jakby w jasności niebios był odzianym,
I jakby u nóg Jezusa zasiadał
I na pierś Pańską skronie swe pokładał,
I jakby słuchał dźwięku świętej strony:
Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

NIECH BĘDZIE POCHWALONY!

Przed chatą siedział staruszek sędziwy,
Jak szczapa wyschły, jak gołąbek siwy,
Ukrywszy lice w swoje dłonie obie,
Siedział na sosze i wciąż dumał sobie;
Dumał o życiu, co mu przeszło w pracy,
O wierze w Boga i o wiecznej płacy,
I wzdychał czasem, poczem podniósł głowę,
I od ogrodu przywołał synowę:

— Idźcie po księdza, bo mię niestać na to,
Ostatni dzionek siedzący przed chatą;
Już mi na drogę nogi nieposłużą,
A z Dobrodziejem mam pogadać dużo.
Coś mi się widzi, że jutro jak świty,
Trza zdać rachunek za ten wiek przeżyty,
To radbym grzechy wszystkie zrzucić z siebio,
Bo jak grzesznemu pokazać się w niebie?...
Niechby Dobrodziej wzięwszy chłopca z dzwonkiem.
Przyszedł ze starym rozmówić się Jonkiem —
Dobra niewiasta zadziwiona rzecze:

— Co też po głowie snuje wam się człecze?
Czyście to chorzy, czy wam się co stało?
Hej Janie! Janie! co wam się przydało,
Nie obrażajcie próżno Pana Boga;
Już to nikogo nie minie ta droga,
Gdy Pan Bóg zechce, trudnoć się ta spierać;
Ale skąd wam się przyśniło umierać?
Czerstwy jak rydzyk, a siwy — bo stary;
A gdyby nie to, niktby nie dał wiary,
Że wam niewiela braknie do stu latek.
Ot, chwalcie Boga na swych dni ostatek,
Że was do końca opatruje zdrowiem. —

— Synowo moja! cóż ja ci odpowiem?...
A tak ci pewno, że nim słońce wstanie,
Już ja na wieczne odejdę mieszkanie,
Tak mi coś prawi, więc słuchać potrzeba,
Bo to przestroga ze samego nieba.
Wczora i dzisiaj, gdziekolwiek się ruszę,

Het mi coś szepce: „Pamiętaj na duszę...
Hej, Janku, Janku! przypomnij swe grzechy,
Bo powędrujesz rychło z pod tej strzechy”.
Kiedyć już trzeba, tedy żartów nie ma;
Trzeba po księdza, gdy grób przed oczyma.
Myśląc o życiu nieraz się zapoczę.
Chodzić nie mogę, jeno się dygocę,
I niemoc jakaś trzyma mnie u lawy,
Lecz nie ze strachu, bo Jezus łaskawy
I Matki Bożej najświętsze panieństwo,
Do której wielkie miałem nabożeństwo.
Chalupę zdałem od dawna na dzieci,
Na was też reszta przypada rupieci:
Kozuch barani, dwoje białych świtek,
I trochę grosza, — to i skarb mój wszystek.
Za co do ziemi sprawicie mi skrzynkę,
Księdzu za duszę też na wypominkę,
I za śmierć lekką na podziękowanie,
Na świecę z wosku z tego grosza stanie,
Na Święty Józef — jako wie świat wszelki
Że to jest patron od skonania wielki. —

— Ha! kiedyć chcecie, toćże nic nie szkodzi,
Jeżeli człowiek z Bogiem się pogodzi.
Wszak się zdarzało, że śmiertelnie chorzy
Wyspowiadawszy się wstawali z łóży,
I szli do pracy i dość mieli siły,
Gdy ich niemocy bóle opuściły.
To cóż dopiero wam, coście na siłę,
Tylko że starzy, to i jeno tyle ..
Będziecie żyli tatuś jeszcze z nami,
Za roczek, za dwa, dziewczynę wydamy.
I Bóg najświętszy raczy nam to sprawić,
Że nam będziecie i to błogosławić —
Już ci prawnuczka dwoje w pole biega,
A ta ostatnia dziewczucha u brzegu. —

Po licach dziadka uśmiech się przewinał,
Potem zadumał się i ręką skinał;
Popatrzał w pole gdzie orał, gdzie siewał,
Gdzie kosił, woził i wesoło śpiewał;

Ziemia ojcowa czarna, jak stół równa,
W jasnym od słońca blasku, jak królowna;
Most na strumieniu i wierzby nad drogą,
I hel daleko — choć pusto, a blogo...
Przypomnił sobie, że owym gościńcem,
Gdy żona panną, a on był młodzieńcem,
Chodzili razem, czy to na jarmarki,
Czy na odpust do Czerska, do Warki, —
Ona już dawno u Boga na łonie...
Potem staremu zatętniało błonie.
I stanął hulak z chorągiewką szytą...
Potem okrutne zboże, jęczmień, żyto,
Potem wesela, — miodu pełne dzbanki, —
Potem dożynki, — potem pohulanki. —
Potem jak szczęścił synowej dziewczęce.
Bas okruteczny i skrzypek na beczce...
I począł śmiać się do owych wspominek.
Aż go znów zaćmił wieczny odpoczynek,
Bo wraz posmutniał, łzą powiekę zrosił,
Jakby za grzechy odpuszczenia presił. —

Tymczasem proboszcz, także, jak ów, dziadek
Janowej pracy, pocziwości świadek,
Wiedząc z kim sprawa, że to człek coś warty,
Jako nieczynił w życiu nic na żarty,
Co od chłopięcia miał szczególny statek,
W bitwach i w pracy i około dziełek,
Którego duszę znał jak swoją własną,
I wiedział, jako zawdy była jasną,
Tak jako wyszła z Przedwiecznego dłoni. —
Wziąwszy ampulkę i chłopca co dzwoni.
Ruszył z kościoła modlitwy mówiący,
Głowę chyłacy, na świat nie patrzący;
I szedł do chaty, a dzwonek podzwaniał,
I jaki taki przed Bogiem się kłaniał.
Bo gdy ksiądz idzie, świat ogarnia skrucha,
I polne ptastwo zamilka i słucha;
Jaskółka nawet świegotna przysiąda.
I, zda się, ziemia cała pacierz gada.
Zboże kłosami chyli się do ziemi
I cisza między brzozy płaczącemi,

I nieme bydlę, żuć przestawszy trawę,
Leżąc, spogląda na tą dziwną sprawę.

Po przywitaniu w zwyczajnym sposobie —
Dwaj staruszkowie zasiedli przy sobie.
Chwilkę milczeli; a po malej chwili,
Chłopek się święcie do nóg księdza schyli
I, ośmielony słowami pociechy,
Pocznie wyliczać swego życia grzechy;
Każda mu w oczach staje sprawa płocha,
Nad każdą pustą myślą się zaszlocha,
A ksiądz go cieszy: — Miej nadzieję w Panie,
Bądźcież spokojni, przyjacielu Janie. —

Skończył. Niedługo było tam gadanie,
Bo żywot biednej, pracowitej kmieci
W polu i boju czyściuchno przeleci,
Wiatry i deszcze myją grzeszne ciało,
A anioł duszę, gdy w nią napadało;
Wszędzie są złości, — i kto grzechów nie ma?
Ale ten najmniej, kto się roli trzyma,
I pod tym krzyżem, który pola strzeże,
Myśl o Jezusie w dobre serce bierze;
Krzyżem się w polu stojącym pociesza,
Na krzyżu wszystkie swe nędze zawiesza.
Po rozgrzeszeniu, staruszkowie biali,
Jak przyjaciele dwaj się uściskali,
I proboszcz rzecze, lzy ścierając w skrusze:
— Prościesz tam Janie i za moją duszę,
A przysposóbcie miejsce mnie grzesznemu.
I znowu z dłońmi pochylił się k'niemu.
Pocciwy starzec żalości zaniechał,
Jeno się na krzyż patrzący uśmiechał.
I coraz ręce podnosił tak święcie,
Jakby na tego Baranka objęcie...

A w tem mu znowu przyszła myśl frasowna.
I jakaś dziwna troska niewymowna.
— Mój Dobrodzieju! już-ć mi nic nie trzeba,
Kiedy mówicie, że pójdę do nieba
I że mieć będę nad sobą opiekę,
Jeno widzicie, cóż ja prostak rzekę,

Kiedy już stanę przed Majestat Boży?
Co to człek powie? jak usta otworzy?
Wśród tylu świętych i ślicznych aniołów...
Ja taki prostak zwyczajny od wołów,
Com jeno z ptaki i ze zwierzem gwarzył,
Jakżebym w niebie odezwać się ważył? —
Otóż mnie teraz to największą trpską! —
Co ja tam powiem przed jasnością Boską?... —
A proboszcz rzecze: — „Cóż się mówić godzi.
Kiedy się między dobrych ludzi wchodzi?
Oto. skłoniwszy się na wszystkie strony,
Mówi się: *Niechże będzie pochwalony*...
— Toć, prawda! prawda! — staruszek zawoła.
Z dziwną jasnością pogodnego czoła,
Z podniesionemi do góry ramiony:
Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony! —

Nazajutrz rano, przed księżem wroty,
Stały schylone po ojcu sieroty;
Pomiędzy brzozy i topole wonne,
Niosąc ofiarkę księdzu na podzwonne,
I o modlitwy za zmarłego prosząc;
A ksiądz oblicze lży rżęsniemi rosząc.
Rzecze, nie płaczcie! dola jego błoga,
Jako był w łasce szczególnie u Boga. —
Już ci on w niebie, — już on tam szczęśliwy! —
— A gdy to mówił, z nad zielonej niwy,
Do okna księdza, pod schylony daszek
Przyleciał śliczny w złotych piórkach ptaszek
I począł w okno pukać małym dziobem.
I ten sam ptaszek nad Janowym grobem,
Kiedy ksiądz ciało do mogiły święcił.
Z drzewka na drzewko ustawnie się kręcił; —
A gdy już trumnę ziemia przysypała,
Owa ptaszyna kędyś się podziała,
I tylko głosik dolatywał z góry,
Jak gdyby śpiewał ptaszek złotopióry. —

K A L I N A.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
 Nad modrym w gaju rosła potokiem,
 Drobną deszcz pila, rosę zbierała,
 W majowym słońcu liście kąpała.
 W lipcu korale miała czerwone
 W cienie z gałązek włosy wplecione.
 Tak się stroiła, jak dziewczę młode
 I, jak w lustro, patrzyła w wodę.
 Wiatr co dnia cesał jej długie włosy,
 A oczy myła kroplami rosy.
 U tej krynicy, u tej kaliny
 Jasio fujarki kręcił z wierzbiny,
 I grywał sobie długo żałośnię,
 Gdzie nad krynicą kalina rośnie;
 I śpiewał sobie: dana! oj dana!
 A głos po rosie leciał co rana,
 Kalina liście zielone miała
 I, jak dziewczyna, w gaju czekała,
 A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
 Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
 Biedna kalina znać go kochała,
 Bo wszystkie swoje liście rozwiała.
 Żywe korale wrzuciła w wodę.
 Z żalu straciła swoją urodę.

D W I E D U S Z E.

Gdzie Boży święci jak gwiazdy świecą,
 Ze dwojej strony dwie dusze lecą:
 Pierwsza okryta płachtą, ponura,
 Po tamtym świecie leci jak chmura.
 A druga biała, okryta biało,
 Jakby się słonko chmurką odziało.
 Kiedy się zbiegły dwie nieboszczyce,
 Spojrzały sobie w umarłe lice.

— To ty Barbaro? — To ty Maryjo?
 I swoje długie duchny rozwija.

„Jaka ty czarna, powiedz siostrzyczko,
Coś poczerwiało rumiane liczko?
Tyś była taka biała jak ściana,
A czasem jakby róża różana. —

Czy ciebie w jakim ziele kąpano?
Czy tobie złego ziela zadano?”
„Ej nie to, nie to, od liści ziela
Człek ni się czerni, ni się wybiela;
Ja nieraz matce hardo odrzekła,
Że aż niebodze i łza pociekła,
I také krótkimi powiem słowami,
Cała ludzkiemi zmylam się łzami.
A lzy co na mnie spadały marną,
Taką mnie oto zrobiły czarną.
Lecz ty mi powiedz siostro bez grzechu,
Na jakim ty się bielila blichu?
Pamiętam ciebie jak żęłaś zboże,
Popychadelko, czarne nieboże,
Mitosiernemi patrzy oczyma,
A dzbanek z wodą ledwie utrzyma;
Kto spojrzy na cię, to się odwróci,
A kto wesoly to się zasmuci.
I w jakim się ty zdroju kąpała,
Żeś wybielala i wypiękniała?
Czy na tym stawie, na tem jeziorze,
Gdzie łabędź plywa pod złotą zorzę.
I od niedzieli tak do niedzieli,
Szerokie skrzydła płucze i bieli.
Czy w ciemnym lesie, kędy z pod drzewa
Zdrój się tajemny cicho wylewa?

„A owa rzeczę głosem pokornym,
Jakby dalekim echem klasztornym,
Kiedy pod koniec cichego dzionka,
Siostry się zejda za głosem dzwonka:
„Jam się nie myła w jasnym jeziorze,
Gdzie łabędź plywa pod złotą zorzę;
Ani w tem źródle co w lasów cieni
Z pod drzew wiekowych leci zieleni

I niezabudek odwilża oczy,
 I skierki moczy, sasanki moczy;
 Otoć krótkimi powiem słowami:
 Ja się własnymi obmyłam łzami.

To rzekłszy w plachtę zwinie się białą,
 I leci w stronę gdzie powidniało.

ZACHWYCENIE.

I.

Matulu moja, powiedzcie przecie,
 Coście widzieli na tamtym świecie?
 — O! moje dziecko, byłam ja w raj, u
 Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,
 Same jabłonie i wielkie grusze;
 Na nich najczystsze umarłych dusze
 Za dobry żywot, za świętą cnotę
 Poprzemieniane w owoce złote,
 Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
 W ciepłym się słońcu pięknie kołyszą;
 Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
 Bo zaraz lecą w górę do nieba.
 Potem widziałam jasne niebiosy,
 Ową pszenicę z złotemi kłosa,
 Co się pochyla pod boże nóżki,
 Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
 Potem widziałam przeróżne kwiatki.
 Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
 Co się na ziemi bardzo kochali,
 A potem w niebie powyrastali.

— Matko moja, proszę cię ja ciebie,
 Co też tam robi Pan Jezus w niebie?...
 Co robi w niebie gwiazda zaranna,
 Królowa nasza Najświętsza Panna?... —

— O! moje dziecko, o! kochające,
 Jezus owieczki pasie na łące,
 Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,

I nie boją się, takie łaskawe,
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitok babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata. —

— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli? —

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
Asłyszac ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jes! też jak u nas matulu droga
Taka wesołość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje!
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje. —

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie? —

— O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej,
Na złotych skrzypcach grają anieli. —

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni? —

— Tam, gdzie się uczą płaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożej... —

— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy plugu?
Widać tam dziewczę co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce
Na małym wzgórkku przy bożej męce?

O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi. —

Powiedzcież teraz, matenko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga? —

-- Potem widziałam strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim
I patrzył na świat żalonym wzrokiem.
Bo w owej księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi.
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć czleka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko. —

-- Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga? —

— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką, przed okiem,
Tylko z promieni co stamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże. —

— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba? —

— Bogać tam miesiąc, o moje dziecko,
Iść tam potrzeba przez całe życie.
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasných.
I Piotr mu święty, apostoł boży
Złocistym kluczem niebo otworzy. —

— Toście wy dużo, matko, widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli;
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga. —

O! ty zostaniesz małe pachole,
Bo któżby gęsi wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Graniastą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki,
Ktoby na ogień przynosił kizaki?
Tak, moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz — ja nie zostanę.

— Ej co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie.
Powiedzcie lepiej jak też to było,
Jak się błękitne niebo skończyło? —

II.

— Z nieba do czyśca spadzistą drogą
Schodziłam zwolna niepewną nogą;
Tam koło płota stawa tęsknota,
Każda duszyczka istna sierota;
Oczy przymknięte, usta się zwały,
Te, co już bardzo dawno pomarli:
Czasem na chwilę błysną uśmiechem
I zaraz, jakby uśmiech był grzechem,
Ciemniej lica, chyla się głowy,
I rozchodzą się biedne niemowy.
Do koła pustka; gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie, jak zajrzeć długo, szeroko,
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza,
Gruda i gruda, pochmurna puszcza.
Po polu wichur przeciąga suchy,
W którego zimnie drżą biedne duchy —

— To te duszyczki, proszę ja matki,
Nie mają swojej na zimę chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słońcu leży?... —

— O mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty takie, jak nasza,

I takie wody, i takie pola,
Ale im do nich wrócić niewola. —
— Cóż one robią, czem się tam bawią? —
— Chodzą po grudzie i nogi krwawią.
A inne proszą rzewnymi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.
I na ich prośby w pochmurnem polu,
Jawi się anioł cichego bólu,
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z której kroplami święta krew złata.
A na ten widok okrutnej męki
Żadna po wieniec nie wznosi ręki;
Ran Zbawiciela słodkich się boją,
I przed aniołem wylękle stoją;
A potem jakby wróble spłoszone
Lecą powietrzem w pole zamglone. —
— To dla nich nigdy słońce nie świeci? —
— Czasem maleńki promyczek zleci;
Gdy ludzie mówią *Zdrowaś Marya*,
Wtedy się słońce przez mgły przebija,
I smutne światło na ziemię sieje,
W którym gromada duchów się grzeje. —
— Teraz co więcej?... —
— O dziecię lubie!
Szłam coraz dalej przeze mgły grube,
Gdzie bardziej drżące i więcej smutne
Siedzą w swych duchach dusze pokutne.
Na jednej skale stromej, ponurej,
Nad którą cięższe płynęły chmury,
Siedziały dusze jedna przy drugiej,
Patrzac na puste żywota smugi;
Po owych smugach snuły się grzechy,
W różnych postaciach — marne uciechy;
Tych nagich grzechów uśmiech nieczysty
Sprawiał umarłym wstyd wiekuisty. —
— A czy to one nie mają dłoni?
Czemż z nich żadna ócz nie zasłoni? —
— Nie, moje dziecko — ręce duchowe
Są tak przejrzyste, jak kryształowe,

Więc choć się dusza widokiem brzydzi,
Choć się zasłoni, to wszystko widzi.

— Na brzegu czyśca nieszczęsne duchy.
Wydaly za mną jęk tęskny, głuchy.
Spojrzałam na nie; stały do koła,
Schyliwszy na pierś pochmurne czoła;
„Powiedzcie, rzekłam, co wam potrzeba?...
Miłości ludzi i łaski nieba;
Powiedz słoweczko w naszej dolinie,
Tam wiesz, gdzie woda przeczyście płynie...“
I nie skończyły. — Smutne wspomnienie
Podniosło piersi w jedno westchnienie,
I napełniło bujnemi łzami,
Że z wiatru spadły deszczu kroplami. —

— Ach Boże! Boże! — powiedzcież dalej,
Czyście i dzieci w czyścju spotkali?
Dzieci to prosto do nieba wchodzą,
Złego nie robią, ludziom nie szkodzą... —

— Były i dzieci, przy końcu drogi
Gdy mi znużone ustały nogi,
Szłam sobie spocząć na małe wzgórze,
Aż tu nademną jak błysnie w chmurze,
„A słowo! rzekłam, cóż się to dzieje!
Włosy się jeżą, serce truchleje,
Deszcz gwiazd złocistych w oczach mi świeci,
Myślałam w trwodze, że niebo zleci.
I znowu ciemno — ażci po chwili
Słyszę, że małe dzieciątko kwili,
Jedno i drugie i coraz więcej;
Wzmaga się przy mnie ten płacz dziecięcy.
Jezu najdroższy! cóż to za głosy
Rozdzierające płyną w niebiosy?
Żal mnie ogarnął, w oczach się śmiło... —

— Matulu moja i cóż to było? —

— Były to dzieci zmarłe przedwcześnie,
Co się skarżyły bardzo boleśnie,
Że im świętego chrztu strumień chłodny
Nie obmył z duszy grzech pierworodny.
Boso w koszulkach zmęczone całe,
Leciały ku mnie kochanki małe,

A ja nad niemi wedle zwyczaju,
 Zeby już sobie poszły do raju,
 Zrobiłam krzyżyk ręką życzliwą;
 Idźcie dziecieczki w drogę szczęśliwą;
 Ja was chrzczę w imię Ojca i Syna.
 Ledwie skończyła, każda dziecina
 Wznosi się zwolna w ciche powietrze;
 Prześliczne duszki, od puchu lepsze,
 Wzlatują w górę i nad nią głową
 Wiszą plecionką złotą, różową,
 Im wyżej lecą, tem nieznaczniejsze,
 Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze;
 Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków,
 I lekką odzież barwy fiołków,
 Wreszcie znikają jak krople rosy,
 I nic już niema... *tylko niebiosy!* —

— Tak przez tych dzieci kryształne ciała
 W czyścju raz jeszcze niebo widziała,
 Jak przez zasłonę wysoko w górze,
 Wyraźnie Jezus jaśniał w lazurze.
 A z dłoni jego padał blask błogi
 Na cienie, co mu biegły pod nogi. —

— Potem szłam dalej, mówiąc koronki,
 Przez jakieś zgniłe, cuchnące łąki,
 Po białych liljach co ślicznie rosły,
 Smukłe łodygi ku niebu niosły,
 I jużby pewnie jak chmurki srebrne
 Splatały świetne wieńce podniebne,
 Gdyby im szatan w śnieżne kielichy
 Nie wsączył jadu złości i pychy. —

— Przedemną w dali niebo ciemniało,
 Tam nieustannie błyskało, grzmiało;
 W powietrzu dziwne słyszałam kłótnie,
 A co mi dawniej bywało smutnie,
 Teraz się balam iść w ową stronę,
 Pod te obłoki, pod zapalone. —

III.

— Zebyście też to powiedzieć chcieli,
 Coście najpierwej w piekle widzieli? —

-- Widziałam najpierw jedną rodzinę,
Co przechodziła smutną dolinę,
Płakali razem, nędzę współczuli,
A jedni drugich pod serce kluli.
Ach jakie zbrodnie — skończenie świata!
Żona na męża, siostra na brata,
Ojciec na syna, a syn na ojca,
Jeży się, ślini, rzuca jak zbójca.
Na boku wielka duchów gromada
Schylona, niby pod krzyżem pada,
I niby ręce wznosi w pokorze,
Lecz z rąk, jak ognie, świecą się noże.
Chciałam się schylić po kwiatek złoty,
Co rósł na smugu wdzięcznymi splety,
Wyciągam rękę chciwa zdobywcy,
A kwiat łeb w górę wznosi i syczy.
Wszystko zniszczone, wszystko się wali,
Trzeszczy, zapada, gnije i pali;
A pod gniewliwych niebios zasloną,
Świeci zła gwiazda miotłą czerwoną. —
— Jak też wygląda szatan przeklęty? —
— Czasem jak szatan, czasem jak święty:
Raz obrzydliwy lot nietoperza,
Jak sieć pajęczą na świat rozszerza —
To znowu jakby okryty zorzą,
Udaje mądrość i piękność bożą. —
— To w piekle żadnej niema radości;
Ani spoczynku, ani jasności? —
— Widziałam jasność, tak się świeciło,
Jakby się w nocy miasto paliło.
I radość także słyszałam wścieklą:
Jednego razu śmiało się piekło,
Gdy pani panu truciznę wlała,
W pięknym ogródku go pochowała,
Nasiała lilji, rutki i maku,
Żeby nie było na grobie znaku.
Drugi raz piekło śmiechem wybuchło,
Kiedy śpiewanie w kościółku zgłuchło...
Trzeci raz otchłań śmiechem zawrzała,
Gdy miłość ziemi w sercach zagaśła.

Tam w jednej stronie jest i spoczynek
Na łące zgniłych niezapominek.
Pod czarnem niebem, Bożeż mój Boże!
Widziałam owe Madeja łoże;
Na niem śpi zdrajca z czerwoną brodą,
Cały obłany śmiertelną wodą.
Wąż opasuje spodłone czoło,
Zwinawszy ogon w złociste koło,
Nikczemną duszę kłębami ściska,
Z oczu łyzy kapią jak ze źródlika,
Lecz nadaremnie — wszystkie boleści,
Ile ich otchłan piekielna mieści,
Żadne łez krwawych morze nie splaci
Godziny męczarni skrzywdzonych braci.

Z pod łoża jakby drzewa wyrosły.
Płomienie złote języki wzniosły.
Targane wichrów szalonych falą,
Jak liście iskry syją i palą.
Pod temi drzewy pod płomiennemi
Przy łożu zbójcy siedzą na ziemi,
I dużo istot co niegdyś skrycie
Zatruly młode, *niewinne* życie.
Tam ja widziałam twarze fałszywe,
Oczy śmiejące, uśmiechy krzywe,
Spiekle języki po pas wiszące,
Wężowem, czarnem żądłem drgające,
Zdradzieckich palców węzeł skurczony
Błyszcząc się zdala krwawemi szpony.

— To pewnie Judasz, matenko droga,
Leżał na łożu — co wydał Boga? —

— Nie moje dziecko — Jezus kochany
Zszedłszy do piekła targać kajdany,
Ujrzał Judasza jak stał na hoku,
Z śliną na brodzie, z zdradą na oku!...
Najwyższa miłość litością zdjeta,
Najpierwiej z wroga zerwała pęta;
Ten, co zwyciężył piekło cierpieniem,
Powlekl po zdrajcy smutnem spojrzeniem,
I żadnej męki, żadnej katuszy

Nie raczył zadać tej marnej duszy.
Zostawił tylko pamięć żywota,
I zrosły z ręką sak pełny złota.

Któż wszystkie nędzy piekła wypowie,
Owe łyzy sierot, przekleństwa wdowie
I klątwy matek — o niech Bóg broni!
Widziałam w jednej strasznej ustroni,
Jak pokurczone zbrodniarzy ciała
Jedna sieroca łyza pobijała;
A klątwy matek, jak trąby brzmienie,
Wstrząsały całe piekielne przestrzenie.
Na brzegu piekła jeszcze widziałam
Przy ciemnych grobach leżące ciała,
Które z wnętrzości ziemia wyrzuca.
Ten widok srodze serce zasmuca;
Na myśl, jak człowiek siebie zohydzi,
Że aż nim martwa ziemia się brzydzi. —

— Matulu moja, czy owe duchy
Nie mają żadnej w świecie otuchy? —

— O mają one jedną nadzieję,
Że się rąk ludzkich praca rozwieje
I że na ziemi, jak próżna mara.
Zniknie nadzieja, miłość i wiara.
Przeklęte piekło na wszystko w świecie
Wściekły jad rzuca, obelgi miecie;
Brzydząc się cichą pracą człowieka
Tłuszcza piekielna wciąż jedno szczeka.
A ci, co w piekle latają w górze,
Sieją wichrami, by zbierać burze.
Wszystko inaczej, wszystko przewrotnie,
Przez te otchłanie trza iść samotnie,
Bo każde podłe, zdradliwe ramię,
Bo każdy uśmiech serce ci złamie.
Póki mi życia, póki tchu starczy,
Wark, którym piekło bezdenne warczy
Będę słyszała, słowo bezczelne.
I te postacie złe, nieśmiertelne,

Co leżą nago na ziemi tłumnie,
W pamięci będą krzywić się ku mnie.

Tak przeszedłam drogę smutno, hołśnie,
Na raz spoglądam — czy jeszcze nie śnie?
W koło mnie ludzie: ci trumnę niosą;
Inni oblani rzewną łez rosą;
Dziad przy mych nogach mówi pacierze,
A ty, kochanku, modlisz się szczerze,
I patrzysz we mnie z taką miłością,
Że zapukało serce radością,
I jakieś ciepło słodkie, wiosenne,
I jakieś światło ciche, promienne,
Wstąpiło we mnie, jak biała zorza,
Jak czysta miłość, jak łaska boża.
Spojrzałam w okno: to samo sioło;
Siwy dąb schyla stuletnie czoło,
Woda się świeci jak srebrna luska,
Kilkoro dzieci w stawie się pluska.
I znowu jestem na swojej ziemi,
W wiosce, pomiędzy ludźmi dobrymi.
Wiem ja, dziecińco, moją godzinę,
I wiem, że z łaski bożej nie zgine.
Więc mnie nie płaczcie w skonania chwili,
Ani żałujcie, o moi mili,
Jedno mnie plachtą okryjcie białą,
Potem do trumny połóżcie ciało,
A potem bracia, krewni, rodzina,
Niech zaśpiewają *Salve regina*.

BŁOGOSŁAWIONA.

Na sądy boże dusze się spieszą,
Jedne się smućą, drugie się cieszą,
Bo na przedniebie stoi na straży
Anioł, co ludzkie uczynki waży:
Kiedy dobrego przeważa wałka,
Dusza dostaje skrzydełka ptaszka,

Nad czoło mały świecący krążek,
Przepaskę jasną z niebieskich wstążek,
Ostainią łezkę z oczu ociera,
I już się przed nią niebo otwiera.

Tam się patronce swojej pokłoni,
Co się przez życie modliła do niej.
I ucałuje koniuszek szaty
Świętej Barbary i Malgorzaty,
A owe święte dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą.

Szczęśliwa dusza patrzy po bokach,
Jak święci pańscy stoją w obłokach,
Cóż sami święci i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele:
Święta księżniczka pełna pokory,
Co wystawiła cztery klasztory,
I sama w jednym czas bardzo długi
Robiła biednym proste posługi,
Nosila wodę, zmywała statki,
Choć miała w domu wszelkie dostatki,
I gdyby tylko sama zechciała,
Zarazby króla za męża miała;
Bo przytem była piękna, rozumna,
Ale nie taka, jak drugie, dumna.
Więc uprosiła u ojca księcia,
Żeby już sobie nie szukał zięcia,
Że po wiek wieków ona dla siebie
Już upatrzyła Pana na niebie;
A jak wyrzekła, tak dotrzymwała,
Za co światłości wiecznej dostała,
I teraz stoi w słupie obłoku,
Święty klasztorzek dzierżąc przy boku.

Za nią, oparty o pszenney snopek,
Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
Żywił on biednych przez głodne lato,
Więc mu też Pan Bóg nagrodił zato.
Owa uboga wieśniacza świta
Teraz się świeci jak srebrem szyta;
Ona pszenica kłosista, biała,
Jakoś dziwnego blasku dostała.

Przy nim pomarli synkowie mali
Trzymają w rączkach snopki konwalij,
I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącej. —

Gdzie się obróci: święty się słania,
Więc się z miłości każdemu kłania,
Świętej Agacie i Petroneli,
Co się po niebie przechodzą w bieli,
Przed świętym Jackiem, przed świętym Janem,
I przed Maciejem, przed Florjanem.

Tam siedzą święte biskupy siwe,
A wszystko takie dobre, szczęśliwe,
Żadna im troska lic nie zaciemnia,
Bo też to niebo, nie nasza ziemia...

Święte patronki dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą:
A ta już nie wie, jak im dziękować,
Radaby święte nóżki całować,
Że się ubogiej żadna nie wstydzi
I że tak piękne niebiosy widzi.
— Panienki jasne, gdy to być może,
Chciałabym zobaczyć Matuchną Bożą,
Aby z daleka, choć aby ździebko;
Widziałam ci ją raz nad kolebką
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskim jest za pastuszka,
Co pasąc gąski całe poranki
Na chwałę Bożą grywa w multanki. —
— A cóż ty żadasz? — Prosiłbym chciała:
Żeby też oczko na niego miała. —

Więc święte pańskie dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą:
Aż tam wysoko, gdzie nad wszystkimi
Przegląda jasna królowa ziemi.
A dwa aniołki wdzięczne, śmiejące,
Trzymają sukni dwa złote końce.

Na jej rozkazy anieli służą,
Tacy precudni i tak ich dużo.

— Święta Barbaro! a gdzież ów leci? —
— A toż na ziemię do twoich dzieci,
By uspokoić tęskne serduszka,
Niesie przed sobą rajskie jabłuszka. —
— Chwała Ci Boże! a owo panie,
Cóż ono niesie w tym złotym dzbanie? —

— Niesie kapeczkę z krynicy świeżej,
Co przy stolicy przedwiecznej bieży,
Żeby w czyścowej strasznej posuszy
Odwilżyć usta cierpiącej duszy,
Która się łaski Bożej doprasza,
A ta duszyczka to matka wasza...

— Chwała ci Boże! A ówże trzeci,
Co jakby gwiazda wieczorna leci? —

— Ten do waszego pospiesza kuma,
Co pasie owce i sobie duma
O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
Na jakie ludziom zdadzą się leki;
A on mu wszystko pięknie wyłoży,
Na wszelkie cuda oczy otworzy,
Że się do niego będą zbiegali.
Ubodzy ludzie choćby z najdalej,
A on każdemu będzie przykładał,
A anioł Pański mu podpowiadał. —
— Chwała ci Boże! A ten gdzie biegnie,
Którego oko ledwie dostrzegnie?
O święte panny, jakże mu spieszo
Z jasnego nieba na ziemię grzeszną!...

— Ten anioł leci do twego brata,
Co go pognali temu trzy lata,
I o tej porze po biodra nagi
Znosi cierpliwie okrutne plagi,
Aleby umarł za trzecim razem,
Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem. —

— Chwała ci. Boże! A ówże biały.
Co mu się skrzydła porozstrzępiał? —

— Ten niesie liścik od Matki Bożej,
Który na wiejskim oltarzu złoży,

Ażeby ludziom w świętą niedzielę
Ogłosić przyszłe wielkie wesele:
Żeby dziewczęta w krainie całej
Nowe sukienki na siebie wdziały,
I kwiecie żeby przyniosły pęki,
I zaśpiewały na „Bogu dzięki”,
Bo już w tym kraju przez litość Boga.
Nie będzie moru, głodu ni wroga. —

— Chwała Ci Boże! za wszystko chwala,
Com tu na własne oczy widziała.
Gdybyż to ludziom powiedzieć o tem,
Co umierają z głodu pod plotem,
Co ledwie oczy ze snu otworzą,
Jużci się skarżą na rękę Bożą,
A tu tak wiele różnej pociechy
Pan Bóg rozdziela na nasze strzechy. —

— Nie bój się siostró, ich tam nauczą
Te dziady, co się o kiju włóczą
Z ewangelijką jak apostoły,
Albo stawają po przed kościoły,
Gdzie się uśmiecha z wilgnej świątnicy
Mały aniołek z nad kropielnicy,
Tak wyrobiony w ciemnych cegielkach,
Jak gdyby żywy na dwóch skrzydełkach;
A na pół nagie wieśne pastuszki,
Dają mu leśne jabłka i gruszki —

I święte pańskie dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą:
Po drodze nieraz wznosząc paluszek
To na obłoczki z dziecięcych duszek,
To na aniołów twarze pogodne,
Spieszących lilje okrywać wodne
Taką tkaneczką w niebiosach tkana,
Jak najpiękniejszą zorzą rumianą;
I drugie, które z srebrnych przetaków
Biegły rozrzucać ziarnka dla ptaków.
Jeden się żywym światłem przesłonił,
Gdy na odwieczerz dziadek zadzwonił;
Inny z kotewką wiszącą, krzywą,
Leciał na wielką wodę burzliwą;

A jeden robił z srebrnych włókienek
Płótno na suknie świętych panienek,
A jeden zwijał tęczę na paski,
A jeden zbierał na kółka blaski.
Szczęśliwa dusza idąc pod ręce
Ku Przenajświętszej Matce Paniencie,
Myślała sobie, czyby nie trzeba
Prosić o więcej Królowej nieba;
Za moim chłopcem, toć to za mało,
Za panią naszą teżby się zdało,
Za panem naszym, co go zawiało. —
Aż tu jak gdyby z pod ziemi, z niska,
Jak para głos się wdzięczny przeciska...
Szczęśliwa pilnie ucho przykłada,
A to pan z panią podzięki składa;
Więc się duszyczka wejrzy na świętą,
A ta z twarzą tak uśmiechniętą,
Jak się to zdarza, gdy chcemy komu
Oznajmić wielkie wesele w domu,
Patrzy się na nią i słówka cyka:
— Pokora twoja niebo przenika,
Jakoś prosiła, tak się i stało,
Wszystko tu jedno, dużo czy mało. —

I święte panny dalej ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą:
A ta już nie wie jak im dziękować,
Czyby różeczek święte całować,
Czy koniec długiej liljowej szaty
Świętej Barbary i Małgorzaty.

A święte mówią: — Jeszcze to nie to,
Co ujrysz dalej dobra kobieto;
Widzisz tę jasną, grającą zorzę?
Tam ci pokażem skarbnice Boże.
Idzie i klucznik — prośże klucznika,
To poprowadzi i poodmyka. —
— O z miłą chęcią — święty odrzeka:
Niechże tu siostra chwilkę poczeka. —
I zaszedł w zorzę, jak Boże słońce,
Kiedy za ziemię schodzi świecące.

Tak, że nie można patrzeć się blisko
Na to miłości Bożej ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni
Korona Boża z okrutnych cierni;
A nad nią wyżej w powietrza fali,
Krzyż Pański niosą przeczysta biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny — a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może.

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała:
— A cóż ja Panie dla ciebie dała?... —
A święty klucznik wskazał jej zdala
Maleńkie serce jakby z koralu;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca.

I dalej wiodły ją święte Boże,
Nad przezroczyste niebieskie morze,
A nad tem morzem w górze jaśniała
Królowa nieba, ta gwiazda biała.
Więc się do świętej zwróci Barbary:
— Cóż to za morze bez końca, miary?
A jakie czyste, jak się odbija
Na jego wodzie śnieżna lilija,
I niebieściuchna, przejrzysta szata,
I wszystkie gwiazdy królowej świata? —

— One nie mogą, siostro być inne,
Bo to są sierot lezki niewinne,
A spojrzysz na dno, widzisz z pod spody,
Cierpiące wierne całe narody,
A każdy w takiej stoi sukience,
Jak na tem morzu i na panience. —

— Oj prawda, prawda — toć nasza wioska!
Zlituj się nad nią, o Matko Boska!... —
A tam na skale, co się to bieli,
Niby to ludzie, niby anieli? —

— Cokolwiek widzisz z pod łez krynicy,
Wszystko to wierni lub męczennicy. —

I święte panny dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą:
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa widząc, jak z jego kija
Lilja bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzecze k'świętej
Jak człowiek żywą radością tknięty:
— A toć to Józef! — A Józef — prawi —
Niechże mi on też pobłogosławi. —

A święty Józef zwraca się żwawo,
I rączkę nad nią wznosi laskawą.
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy,
I Jan, z Chrystusa uczeni najśladzszy,
Uśmiechający, dziwnie spokojni,
A wszyscy jakby na gody strojni.
Idąc tak razem, na każdym kroku
Witał ich nowy święty w obłoku,
Święty Mateusz i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele
Każdy się świeci i każdy rusza,
Że aż patrząca cieszy się dusza,
I wciąż radośnie szepce do siebie:
— Mój Boże drogi, toć to ja w niebie! —

W świętej gromadce to i iść sporzej,
Jedna im droga do matki Bożej,
Gwarząc ze sobą to to, to owo;
Każdego takie serdeczne słowo.
Że się wydaje, że dziecko głuży,
Więc się im owa droga nie dłuży.

Na ziemi było już po zachodzie —
Bo ryk słyszała bydła przy wodzie
I wiejskich owiec wesołe beki,
Które owczarek poił u rzeki
I śpiew słowika, co w letnie noce
Na chwałę Bożą wdzięcznie szczebioce,
Ciche westchnienia na progach chatek
I pacierz małych klęczących dziatek —
Kiedy do rajskiej weszły gospody,
Szczęśliwe dusze na wieczne gody.

Wszyscy pokornie schylili głowy,
Ujrawszy długi stół cyprysowy,
Na którym była królowa nasza
Robiona złotą rączką Łukasza;
A na tym stole cudnej roboty,
Płatkiem przykryty, stał kielich złoty.

Gdy święci padli na rozmyślanie,
W niebie się wdzięczne rozległo granie,
Długo słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym klęku,
Ujrzeni światłość, jak przebywała,
Jak wszystko w okół poprzenikała.
A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać idącą w bieli,
Która gdy cicho stanęła w progu,
Umarli świata powstałi w Bogu.

Lirenko moja, mała lirenko,
Coś mi tak nagle zgłuchła pod ręką,
Czyś się jasności niebios wylękla?
Czy jaka struna na tobie pękła?... —
— Anim się jasnych niebios wylękla,
Ni żadna struna na mnie nie pękła,
Tylko z powietrza dłoń na mnie spadła,
Na wszystkie struny palce pokładła,
Jak gdy szczęśliwe pachole nasze
Na gniazdku śpiewne przykryje ptasze.

ŚWIĘTA PRACA.

KALENDARZ GOSPODARSKI z opowiadań BŁOGOSŁAWIONEJ.

Wiersz ofiarowany
J. I. KRASZEWSKIEMU.

Święta Łuca
Dnia przyrzuca.
Święta Agnieszka
Wypuszcza płaszka z mieszka.
Na świętego Grzegorza
Idzie Wisła do morza.
Na święty Włt
Słowik cyt!
Święty Wawrzyniec
Uwije orzechów wleńiec.
Święty Bartłomiej
Dorzuca drzewa na płomień.
Na świętego Szymona Judy
Spodziewaj się śniegu i grudy.
Przypowieści gminne.

Jesienną porą pod wieczór szary,
Ciekawe chłopie przy babce starej,
Rzucając suche na ogień trzaski,
Z których i ciepło idzie i blaski,
Na jej kolanach złożywszy głowę,
Dawno przebrzmiałą wznawia rozmowę.

„Dobrze to w niebie mojaście złota,
Tam się już o nic człek nie kłopotą,
Zechce po rajskim ogrodzie biec,
Zechce pod złotą jabłonką leżeć,
To sobie leży, a chce to chodzi,
To znowu pływa we srebrnej łodzi,
A jeszcze jakich bierze wioślarzy,
O jasnych skrzydłach, różanej twarzy,
Którzy po gładkiem pędzą jeziorze,
Swemi piórami czółenko boże —
Czy też to prawda: że tam nie trzeba
Pracować ciężko na kawał chleba.

Że byle swoje zmówić pacierze,
To już tam wszystko samo się bierze.
Opatrzność boska w niebie dla czleka,
Sama słoneczne chleby wypieka
A potem tylko ręce otwiera,
I chleby rzuca, a święty zbiera. —
Trza mu sukienki na przyodziewek,
Zaraz anioły lecą do cywek,
I srebrną lamę złotem przetkaną,
Ze mgły tej robią co wstaje rano.
Robota idzie szybko — jak pszczołki
Kręcą się, brzęczą one aniolki.
Ten mgłę naciąga, ten cywkę ślizga,
A nad tem wszystkim zorza rozbrzyzga”.

„Pod niewymownej okiem dobroci
Pewnie że w niebie czlek się nie spoci,
Że mu tam wielce słodko i błogo,
Że mu we wszystkim święci pomogą,
Ale i w samej jasności nieba
O! dziecię moje pracować trzeba;
Tylko, że tam się najcięższa praca
Jakoś inaczej w rękach obraca.
Gdy do niebieskiej zasięda strzyżki
Święta Urszula i towarzyszki,
Aż owce idą jak zajrzeć okiem,
Jako się obłok mija z obłokiem,
Ciagną a ciagną po modrem niebie,
Same się potem kładą przed ciebie,
A zostawiwszy z run górę białą,
Żeby je słońce boże przejrzało,
Lecą maciorki w radosnych skokach,
Jakby wiatr cichy wiał po obłokach...

Kiedy na całej nieba przestrzeni
W krąg się zaciemni i zazieleni,
Święci kosarze złotemi kosy
Jeden za drugim sieką niebiosy,
A jak się kamień na drodze nada
To skra jak piorun na ziemię pada.
A jak posieką, potrząsą siano
To niebo jasne jeżeli rano,

A jeśli wieczór to wóz gwieździsty
Wjeżdża na jasny błękit przeczysty,
I babki za nim wychodzą złote,
A kiedy wszystką skończą robotę,
Zostawia czasem sierp srebrny, biały,
Który na niebie wisi dzień cały.

W niebie się przedza żywota przedzie;
Cokolwiek było, co jeszcze będzie,
Każdy najmniejszy kłoseczek żyta,
Tam się zawiąże a tu rozkwita.
Na każdym plennem ziarnie pszenicy,
Widać obrazek Bogarodzicy,
Wszystko czem biedna ziemia się szczyci
Z nieba się ciągnie srebrnymi nici.

Kiedy na zimę kraina cała
Pod chłodnym śniegiem robi się biała,
A dzionek krótki, ledwie się mignie
Już i w sto koni go nie doścignie,
I każda dusza w sobie się zwinie
Jak gąsienica w swej pajęczynie:
Wtedy na niebie dziewczeczka boża
Mało pomału dzionka przysporza;
Ta święta panna zowie się Łuca
Co robi światło i dnia przyrzuca.

Jak jej to idzie owa robota...
Od tronu Boga naciągnie złota,
I po rozległej nieba przestrzeni
Rzuca snopami jasnych promieni:
Na zachód światła rzuci w dolinę,
Jużci przybyło dnia na godzinę;
Na wschód potrzęsie garsteczką słońka,
Już na godzinę przybyło dzionka.

A potem kiedy dzień się rozpostrze,
Anioł przybiega ku drugiej siostrze,
Która jak tylko nadciągnie zima
Pod swoim kluczem skowronki trzyma.
Więc gdy już słońca najdzie tak wiele,
Że na chrzcielnicę pada w kościele,

Wtedy ostrożna święta Agnieszka
Jednego płaszka wypuszcza z mieszka.
Gdy nie powróci i znaku nie da,
Na ziemi widać, że już nie bieda,
Wówczas niebieskie brzęczą zawiasy
I ptastwo leci przeróżnej krasy,
Nad świętą wieńcem zatacza koło,
A potem spada na nasze sioło
A dzieci krzyczą: ho! będzie lato,
Bo już śpiewają ptaki przed chatą. —

Wisła ta nasza rodzinna rzeka,
Za jednym świętym długo też czeka.
Coraz to oryl dręczony głodem,
Na brzeg wychodzi, stawa nad lodem,
Na wierzbach wiszą śniegu kożuchy,
Do koła białe, świat pusty, głuchy;
Wszystko się czleku psuje, rozsycha,
A ty Wisielko głucha i cicha:
Hej! albo matko idźmy już w drogę. —
A na to Wisła mówi: nie mogę,
Chociażbym rada to ani razu,
Z nieba widzicie czekam rozkazu.

Gdy czas potemu, ku świętej radzie
Gdzie święty Grzegorz siedzi w gromadzie,
Biały gołąbek z nieba przyfruwa,
Który nad świętym dzień i noc czuwa.
Na złocie jego ramieniu siada,
I coś perłowem słowem powiada.
Poczem się święty podnosi w radzie
Infułę jasną na głowę kładzie
I pastorałem srebrnym gdy skinie,
Pękają lody i Wisła płynie.

Wiosenną porą, pogodnym świtem
Pan Jezus gada ze świętym Witem:
Jakże tam w polu, wszystko zielone?
Już też porosło pewnie na wronę.
Wczora deszcz przeszedł i wonność słodka,
Toż się tam trawa sypnie jak szczotka.
No cóż tam Wicie, już piątka w życie?...

— A Wit po widnym wodząc błękiecie
Przejrzystą ręką wskaże skowronki,
Które wzlatują z nad mokrej łąki,
I wyśpiewują prawie bez końca
U stóp przeczystych wiecznego słońca.
I rzecze smutny: nie słyszę Panie,
Pokąd to ptastwo pisać nie przestanie. —
Więc anioł Boży dziwnej pogody,
Daje znak skrzydłem: głuchną ogrody,
Wiśniowe sady, zielone gaje,
Za jednym razem wszystko ustaje.
Wykołysane pieśniami zboże,
Samo już pięknie zabrząknąć może,
I po wszem kraju na wszystkie strony,
Owsi szeleszczą, brzęczą jęczmiony;
Pszczoł i komarów muzyka przytem,
Łącząc się w jedno z powiewnem żytem,
Najcieńszą nutą wygrywa Panu
Po pieśniach ptaków wielką pieśń łąnu.

Przychodzą zbiory, jesień za pasem.
Święty Wawrzyniec chodzi nad lasem,
Nad ciemne bory, głuche parowy,
Gdzie igra z wiatrem orzech laskowy.
Aż kiedy dziewcząt wiejska gromadka,
Ile ich kryje poszyta chatka,
Naraz pszeniczne odbiegnie żniwo,
Za orzechami w gaik co żywo,
Żeby najpierwsza z pracownych żeniec
Z orzechów onych przyniosła wieniec:
Święty znający szczerłość ich duszy
Coraz to ową leszczyną wzruszy.
Dopiero radość, wesole śmiechy,
Jako perełki lecą orzechy...

Święty Bartłomiej, gospodarz szczery,
Pod koniec roku ostrzy siekiery.
Padają drzewa stare po lesie,
W dalekie strony głos echo niesie.
Przy cięciu święty pilnuje świadek
Żeby nie zaszedł jaki przypadek.

Wreszcie w ślad świętych Szymona Judy,
Na świat przychodzą śniegi i grudy,
I święty Marcin na białym koniu,
Po zaśnieżonem przejeżdża bloniu.
Patrzac po stronach, na biednych zwłaszcza,
Którym rozdaje po szmacie płaszczu,
Dla każdej nędzy co przed nim stawu,
Srebrnego płaszczu kawu odkrawu.

I tak się święta praca wciąż snoua,
Jak z ust pocziwych serdeczne słowa.

— To odpoczynku w niebiosach niema,
Tylko wciąż robią lato czy zima.
Ani na wilją przy sianku zlobka
Nie siada żadna srebrna osobka.
To jakże w niebie?...

— Górą czy dołem

W święto się wszystko robi kościołem.
Niebo się stroi w najbielsze róże,
Anioły w dole, anioły w górze
W niebieskich szatach przeszytych złotem,
Potem biskupi, pasterze potem,
Potem królowie porównu z kmiećmi,
I matki święte z małemi dziećmi.
Wszystko to klęczy na skrawej bieli.

Po bokach wyżej grają anieli —
Są tam i skrzypce i trąby dęte,
A jacy piękni święci i święte,
Wszyscy się patrzą z dziwną słodyczą,
I całe wieki szczęścia tak liczą.

Na naszą wilją, na narodzenie,
Robi się jakby złote sklepienie,
Jakieś wgłębienia, jasne załamy,
Drzewa z srebrnemi rosna liśćmi,
I wszystkie zmarłe święte pastuszki,
Prawdziwe dzieci, najczystsze duszki,
Po jasnem niebie idą a jada,
Taką procesyą, taką gromadą,
Że wzrok śmiertelny objąć nie może
Cale to białe królestwo Boże.

Przy takiej ciźbie, takim natłoku,
Czasem się zrobi otwór w obłoku,
I całe głębie nieba widnieją,
Wtedy to nasze koguty pieją.
W tej też jedynej przez lato porze
Gwarzą ze sobą woły w oborze,
Bieli się w świetle strzecha domowa,
A zły duch w ziemię jak wąż się chowa.

Dla dobrych dzieci w przedziwnej wierze
Postać dzieciątka Zbawiciel bierze,
Koszulkę prostą — i z matki łona
Śładko spogląda na święte grona;
I na niebiosach, na ziemi wszędy,
Nie słyhać — tylko same kołedy;
Biało na niebie, na ziemi biało,
Ziemia i niebo jednym się stało.
Śnieżysta nasza cała kraina,
Jak jedna ustron cicha. jedyna.
Kościół z modrzewia poczernion wiekiem,
Stara dzwonnica, wierzba nad ściekiem,
Kołowrot wiejski i krzyż na boku,
Skaczą na każdym serca podskoku. —

Jak każde święto obchodzą w niebie,
To już stróż anioł nauczy ciebie,
I przed ołtarza srebrnem obliczem,
Nie będziesz więcej myślał o niczem.
Nie będziesz biegał coprędzej ze mszy
Łamać gałęzi bzów i czeremszy,
Ale spokojnie złożywszy ręce
Będziesz paciorki mówił dziecięce.

— To jeszcze jedno, gdyście kochani,
O Matce Boskiej. o naszej Pani,
Co jest korony polskiej królową,
Jaką koronę nosi nad głową?
— Z gwiazd uplecioną w niebios lazurze,
A to nie gwiazdy jeno łyż duże,
Które spojrzenie wiecznej dobroci
Jak krople w słońcu wiszące złoci;

Te z czystej wody leż diamenty
Świecą nad czołem Panienki świętej,
I przeto wiecznie twarz jej łaskawa
W ustawnych modlach smutną się zdawa.

U stóp jej widać kościołów prochy,
Żelazne kraty, wilgotne lochy,
Gdzie księżyc czarne oświeca ściany,
Słomę przegniłą, słupy i dzbany.
Starców na słomie z długimi brody,
Ręce i nogi zakute w kłody;
Jakieś pielgrzymy o bosych nogach,
Idą a idą po krwawych drogach
Czekając świętych rozkazów z góry,
By raz pielgrzymskie złożyć kostury.

Całe królestwo, choć pod jej władzą,
Jak już słyszałeś święci prowadzą;
Niesie krzyż wielki, krzyż dopuszczenia,
Plagę bojaźni, plagę zwątpienia.
Nienawiść obcych, złość przeciw sobie,
Grób na radościach i śmiech na grobie;
Sieroctwo niesie kamienia ciężej,
I uwijanie się krętych węży,
Psów głodnych wycia, pustkę serdeczną,
I ślinę bluźnierstw na twarz słoneczną.

A że ta Polska dotychmiast żyje,
To nie przez żadne zasługi czyje.
Ale dla jednej staruszki wieśnej,
Która gdzieś siedzi w wiosce zaleśnej.
Gdzie wypłakawszy swych oczu dwoje,
Z których wybiegły leż krwawych zdroje,
Ciemna i drżąca jak liść osiki,
Prowadzi żywot odludny, dziki.
Pod modrzewiowym kościołem siada
I różne rzeczy dzieciom powiada.
Tak, że się do niej i starzy kupią
I zwa ją świętą i zwa ją głupią,
I opętana i czarownicą;
Przez złość jej czasem plują na lico;

A ona ślinę otarlszy z twarzy,
 Wyciąga ręce do tych nędzarzy,
 Jak kokosz kiedy ziarno wybierze
 Wytrząsa szmaty jak skrzydeł pierze,
 I woła na nich ze wszystkiej mocy:
 Przyjmcie ostatni grosik sierocy...

— Moście drodzy nie mówcie dalej!
 Bobyśmy dzieci w nocy nie spali,
 A tak, to będziem myśleli o tem
 Jak święci chodzą okryci złotem,
 Jak wylatują by pszczołki z ula,
 Jak perły sieje święta Urszula;
 A smutne rzeczy matko kochana,
 To już zostawcie do jutra rana.

Do jutra dziecię, do jutra moje,
 Niech ci śpiewają rodzinne zdroje;
 Do jutra gwiazdy niech patrzą na cię,
 I święty spokój w ojcowej chacie.
 Do jutra niechaj bór okoliczny,
 Młynek pod borem i źródł kryniczny
 Skąd szum dochodzi zimą czy latem,
 Będzie ci szczęściem i całym światem.
 Jutro przed twoją duszą niewinną
 Usiądzie przadka z powieścią inną. —

WEZWANIE.

Ojczystej pieśni na ojców łanie
 Tyś kiedyś szukał bracie Romanie,
 A to ja dzisiaj kostur mój krzywy,
 A duch strudzony burz długich wpływ,
 Niosę na lasy ongi nam znane,
 Lasy ojczyste, lasy kochane,
 Poobalane. poopalane.
 Słuchajże dumy ze serca głębi,
 Co szuka żeru, jak szpon jastrzębi
 Małego ptaszka. zatapia, ściska,
 Aż pisk wyciągnie, aż krew zatryska.
 Siadźże ty zemną zapadły duchu,

Zaryczeć głosem przebrzmiałe dzieje,
Kraj na łańcuchu, pieśń na łańcuchu,
Z bojów i z wojów pustka się śmieje...
Wejrzyj pieśniarzu gwiazdzistej wieży,
Jaki lud płynie, jaki las leży;
Owoc i tobie kropla piosenki
Na te opadłe zamarłe szczęki.
Niechże się twoje czoło rozchmurzy,
Oto ci kołem bogi bywałe,
Nieuszkodzone, kamienne, całe,
Wynoszą głowy z pod piasków wzgórzy;
Gdzie krzak dziewanny z wydmy wyrasta,
I perz pociąga ziemię jałową,
Z pyłu i pustek sławę ojcową
Przypomni tobie Chrobacza Własta.
A słońce białe i te miesiące
Może nad kmiecią lirą ubogą
Pokażą ranne świty wstające,
W których zaśpiewać będzie dla kogo,
I po burz tylu w ciszę się złożyć,
Na górze Jasnej, na górze Łysej,
Pod te rodzinne dęby a cisy,
Żeby z starymi z bogami ożyć,
We dniu godowym gdy bratnie słowo
We starej pieśni uzna pieśń nową.

DUMKA WYGNAŃCA.

Na dolinie, na zielonej,
Widzę w dali wioskę małą,
Domek plotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą.
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole,
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki także prawie,
Na pagórku, na przydrożu:

Dziki piolet w bujnej trawie
I bławatki rosną w zbożu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał: zem już w kraju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje...
Czemuż to nie moja matka?
Czemuż to nie siostry moje?
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy,
Czemuż się nie cieszę z wami?
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone,
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzież mnie wiedziesz, w którą stronę?
Płyńcie! płyńcie łzy tęsknoty
Nicutulne łzy tułacze,
Może. jeśli dzień przeplacę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

MATKO MOJA! MATKO!

Miasto moje rodzinne, tyś nad Wisły brzegi
Rozniosło domki swoje rybackie szeroko,
Co jak dzieci wybiegły patrzeć na komiegi,
Jak śmiało przecinają Wisłę modrooką.
A twój zamek poważnie przez wyniosłe drzewa
Ojcowskiemi oczyma ze wzgórza migoce,
A twych dzwonów litanja falą się rozlewa.
Pomnę ja twoje ciepłe nadwiślańskie noce,
I te orylów głosy, z daleka od Saskiej
Dolatujące słuchu. i te wiosel pluski.
Kędy wietrzyk na falach drobne zbiera łuski,
A na nich gwiazd miljony drżą srebrnemi blaski.

Ileż razy, z daleka od pałaców gwaru,
Patrzałem, upojony siłą twego czaru,
Wisło, rodzinna wodo, jak na twym przestworze
To sieć rybacka dumia, to ognisko gorze,
Gdzie moknie drzew spojonych długa giętka tratwa,
Na której słomą kryta pochyła się budka,
A na wicinach lega małodobala dziatwa
O wygodę nocleżną, gdy noc letnia, krótka;
Więc i skrzypek przygrywa, aż gwiazdy pobledzą
Pierwsze promienie świtu. — Ciągnie się dym szary,
A owi niby dęby zadumane siedzą,
A tu już proporczyki wiewają galary,
Już rybitwa skrzydłami wodne fale muszcze...
Hej! lasy, moje lasy, Nieporęckie puszcze,
Tylem się razy w one wpatrywał sierotka,
Ze mi tych czarów piękna Italija nie skłóci,
I zda mi się że woń ich ogarnia mnie słodka,
Jaskółka w duszy lata i młodość mnie czmuci...
Choć przygody i lata włos odwiały z głowy,
Choć się szeroko zmarszczki po mym czole piętrzą,
Choć doli wicher szumi ponury, grudniowy,
Dusza nigdy nie była, jak dzisiaj, gorętszą.

Miasto moje rodzinne, tobie ja z oddali
Posyłam pozdrowienie: Witaj matko stara,
Codzień tobie śpiewają aniołowie biali.
Których ta zawsze pełna nadwiślańska fara,
I na twój rynek lecą ich godziniek słowa
W serca dobrego ludu, co rzeźki i gwarny,
Broni się bożą pieśnią przeciw myśli czarnej.
Warszawo! matko moja, ty matko ludowa!
Ruchoma, a wciąż jedna, jak wiślane łoże,
Pozdrawiam cię z oddali:

Matko szczęść ci Boże!

JASKÓŁKA.

Cudo nasze, dziewczę nasze
Wybiegło za siolo;
Jaskółeczka, drobne ptasze,
Lata przy niej w ko'ło

A tak czasem szybko bieży
Ptaszę uprzykrzone,
Że o ledwie nie uderzy
W jej włosy kręcone.

— Daj mi pokój moja miła! —
Nie mogę, nie mogę,
Twój braciszek mnie wysyła
Do ciebie na drogę.

Codzień on z za rdzawej kraty
Śpiewa piosnkę swoją:
Jaskółeczko leć do chaty,
Zobacz siostrę moją. —

Czy jej modre oczy, duże,
Cicha łza nie rosi?
I czy jeszcze białą różę
W jasnych włosach nosi?...

ZA ANIOŁEM.

Aniele! pójde za tobą,
Matkę i ojca zostawię
I brata, z którym się bawię,
Nic a nic nie wezmę z sobą.
Zostawię ogródek, drzewa
I naszą cichą izdebkę,
Moją plecioną kolebkę,
Przy której matka mi śpiewa,
Siostrę w pieluszkach malutką,
Co jeszcze mówić nie może, —
Kij z dziadkiem, z kościaną bródką,
Na którym jeżdżę po dworze; —
Zostawię nawet sukienkę,
I tak w koszulce, jak stoję,
Mój srebrny — podam ci rękę,
I pójdziem sobie we dwoje.

Jak nam gdzie zbójcy zaskoczą,
Lub ciemna, gradowa chmura,
Twoje mnie skrzydła otoczą,
I ja się skryję pod pióra, —
Jeśli mi nóżki zemdleją,
Albo zmęczony zadrzemie,
Ty mnie nieść będziesz koleją,
I znowu spuszczać na ziemię. —
Jak będzie świtania blisko,
Zanucim pieśni w niebiosy,
Pod wieczór pójdziem na rżysko
Po złote pszeniczne kłosa. —
A jak noc ziemię okryje
I gwiazdki zaświecą jasne,
Ja cię obejmę za szyję,
Główkę pochylę i zasnę.

ORZEŁ POLSKI.

Roztocz skrzydła orle biały
Od Wawelu skały,
Od Tatr śnieżnych aż do Dźwiny,
Aż po Bałtyk siny.

Roztocz skrzydła orle polski,
Od Czarnego morza,
Ode Dniepru do Pomorza,
Aż po kraj Podolski.

Poostrz dzioba po skał grzbiecie,
Spójrzysz się po świecie,
W twojem gnieździe starej sławy
Siedzi ród plugawy.

W cudzem ręku stary Kraków,
Lwów i Halicz sławny,
Szukaj orle swych Polaków,
I ojczyzny dawnej.

Patrz gdzie Wilno, gdzie Warszawa,
Gdzie Dniepr szumny bieży,
Orle polski twoja sława
W ciennej toni leży.

Gdzieżeś podział swoją chwałę,
Się swej młodości,
Gdzieżeś podział berło białe
Ze słoniowej kości?

Złote jabłko Jagiellonów
Wypuściłeś z szponów,
Powiedz orle, gdzie się chowa
Korona Piastowa?

Z nad skał szczytu orzeł kracze:
— Hej! a kto tam płacze?
Co za piskłę orła wzywa,
Co we słońcu pływa. —

— Ja nie ptaszę z niskich dachów,
Szarpie chmurę ciemną,
Ja król ptaków i król Lachów,
Pioruny podemną. —

— A korona leży w chacie
Aż do przejścia burzy,
I w swej chwały majestacie
Rychło się wynurzy. —

Ocalała we dniach próby
Unieśli ją męże,
Pod nią Litwa dawne śluby
Z Polską zaprzysięże.

Nie pytajcie kto ją włoży,
Komu przeznaczona,
Na kim będzie palec Boży,
Na tym i korona.

Kmieciu dały niebios gońce
Z polskich dziejów wschodeni.

Nim zabłysła jako słońce
Nad Krakowskim grodem.

Może wróci jak przed laty
Do Piastowej chaty,
A może ją naród Boży
Przed Bogiem położy.

I zabłysną złote świty:
Prawdy, męstwa, zgody,
I nauczą się narody
Rzeczypospolitej.

Tej rycerskiej i ofiarnej,
Wiary, cnoty, miru,
Od murzyńskiej ziemi czarnej,
Do lodów Sybiru.

Skończył, szumią skrzydła ptasze
Od brzegów do brzegów,
W dali dzwonią gdzicś pałasze
Rycerskich szeregów.

NOWY NASTRÓJ.

Po chalupach w noc zimową
Kołysałem dzieci,
Teraz śpiewak z piosnką nową
By ptaszę podleci.

I zadzwoni struna głośniej,
Jak Bóg żywy w niebie,
Rośnijże mi serce, rośnij,
Ojczyzno dla ciebie.

Alboż ja to zapomniałem
Moją Polskę drogą?
Alboż ja tam nie kochałem
Nikogo? nikogo?...

Alboż mnie tam nikt na świecie
Myślą nie przytomni?
Alboż mnie tam żadne dziecię
W modlitwie nie wspomni?

A skądże mnie dochodziły
Westchnienia więzienne?
Z czegoż mnie się dnie złożyły
I marzenia senne?

Z jednej Polski, z jednej ziemi,
Z jednego zakątka,
Między braćmi wygnanymi
Ja — mała pamiątka.

Co zaśpiewam, krajem wieje
Jak wiatr z naszej błoni,
To boleści, to nadzieje,
To szczęk polskiej broni.

Możeć Pan Bóg mi pozwoli
W nasze lasy wrócić,
I przyjaznym sercom k'woli
Przy ognisku nucić.

Gdy w ojczyźnie nie usłyszysz
Ni wrzawy, ni jęku,
Tylko jedną piosnkę ciszy,
I płaka w okienku.

I organy po świątnicach,
Gdzie lud Bogu śpiewa,
I śmiech dziewcząt przy krynicach,
I szumiące drzewa.

Wtedy! wtedy! lecz to jeszcze
Daleko... daleko...
Szumią skrzydła polskie wieszczce
Po nad czasu rzeką.

A co w czasie? o nie jedno
Serce się zatrwoży,

I nie jedne lica zbledną,
Przy świecącej zorzy.

I nie jedno, bracia wierni,
Serce bić przestanie,
Nie jeden się krzyż zaczerni
Na ojczystym łanie.

Wszystko, wszystko w Bożej dłoni,
Ja patrzę w niebiosy,
I wiem, że mnie tam zadzwoni
Dziadek siwowłosy.

I że z tymi spoczne razem,
Co skończyli dzionek,
I że gniazdko pod mym głazem
Uwije skowronek.

A gdy wiosny powiew świeży
Wzbudzi kwiatów roje,
Nad dolinę ptak wybieży
Jak te myśli moje.

KURPIE.

Szumi gaj, szumi gaj,
Po kraju. po długim,
To mi świat, to mi kraj
Nad Narwią, nad Bugiem.

Szumi bór, szumi las,
Sosna rośnie smolna —
Zboża nic, piasku w pas,
Ale dusza wolna.

Nie masz łąk, nie masz pasz,
Drogi wiatr zawiewa,
Lecz gdyś nasz. to je znasz
Po zacięciach drzewa.

Stary las — to nasz stryj,
Siwa wrona — ciotka,
Zwierza moc, zwierza bij,
Grzmoć co się napotka.

Borem dzik pędzi w dal,
Zacne to zdobycze,
Strzelbę chwyć, żwawo pal,
Dobre schaby dzicze.

Szumi bór, szumi gaj,
Szumi gałazeczka,
Wolny kraj, leśny kraj,
Środkiem płynie rzeczka.

Kurpik w nim po za pniem
Ze strzelbą się sadzi,
Kulką w lct nocą dniem,
Dzkie bestje gładzi.

Dzielny człek Kurpik nasz
Choć obuwie z lyka.
Prawdy chcesz. spojrzuj w twarz,
I w serce Kurpika.

Przyszedł bój, z Moskwą bój,
Wrzawa się rozniesie,
Moskał mknie — bratku stój,
Kurpik siedzi w lesie.

Zszedł się tłum. z kumem kum,
— Wszyscy sobie kumy. —
W lesie szum. cichy tłum
Bierze na rozумы.

Trza się zbyć, trza się bić
Uradziła wioska,
W lasy bież. strzelbę chwyć,
W kim dusza kurpioska.

Szumi gaj, szumi gaj,
Szumi gałazeczka,
Wolny duch, wolny kraj,
A z Moskali sieczka.

ZŁOTA HRAMOTA.

Preczystąją diwo maty
Pomóż wrohiw prohnaty,
Wid dolyny Hanczarychy,
Do mohyly Peryplat i Peryplatchy.
(*Pieśń gminna*).

Od Bałtyku po Karpaty,
Jak dalekie drogi, światy,
Od Dunaju do Prypeci,
Wieść po kurnych chatach leci.
Od Krakowa do Kijowa,
Wszędzie bieda jednakowa;
Od Krakowa do Kijowa,
Opowiada święte słowa.
A lud Boży prawdy bada,
Z ust włóczęgi swego dziada...
Co z torbami chadza chleba,
I zna wszystkie strony nieba.
Wszystkie gwiazdy kędy cieką,
Wszystkie chmury, gdzie się wleką.

Dziad kościany wychudzony,
Kij a torba na ramieniu,
Co Kijowskie wszystkie dzwony
Wyliczy ci po imieniu,
Który teraz, który potem
Po nad miastem brzęknie złotem,
Do którego ściąga stępy,
A nie zbłądzi, chociaż ślepy.

Ślepy... ślepy... lecz widzący,
A co dalsze, tem ci lepsze,
Toż dopatrzy cerkwi lśniącej,
I spienionej fali w Dnieprze,
I pokaże wraz do koła:
To Włodzimierz, to pieczary,
To Eliasz, to Piotr stary,
Owdzie cerkiew archanioła.
I zna wszystkie dzwonów głosy.
I jak Bogu śpiewa który,

I powiada, że te chóry,
Które kryją się w niebiosy,
Pieją jak ta ziemia nasza,
Głosem Piotra, Elijasza.

Między złote cerkwi wieże
Jedna tylko ciszy strzeże,
Ten najstarszy co nie pieje,
Siwa głowa, srebrna głowa,
Apostolska, Andrzejowa,
Co na skrajach srebrzyścieje.

Wiatr poszumia, słońce schodzi,
W ściep się ciągną długie drogi,
Bawił kiedyś płaskorogi,
Po moczarach grząskich brodzi.
Czasem tego stanie stado,
Woda ciecze z czarnej szczeki,
Trzciny szumią brzegiem rzeki,
Gdzieś skrzypiące wozy jadą.
Z wozów kogut budzi słuchy,
Na przestrzeni piejąc głuchej.

Nad Dnieprowy brzeg wysoki
Dziad pospieszne ściga kroki.

Po futorach. w gąszczach skrytych,
Po wysepkach niezdobytych,
Siedzą starcy okolicą,
Ryby łowią, miody sycą;
I za każdym takim dymem
Z świętym spotkasz się Zozymem:
Między złote pszczelne pieńki,
Siedzi stary chudziusieńki.
Rady Boże raj dziadory,
Toż dziad ściga na futory.
Zapadają chmury szpacze,
Klucz żorawi jęczy w górze,
Rzeką Nury mkną pływacze,
Do futoru stary nurze.
Na kraj wichrem kolysany
Spadły dropie jak barany,

A stęskniony twarzy człeka,
Konik w stepie rzy z daleka.

I po świata długie końce
Tylko krzyż i dziad i słońce,
Dziad się chyli, słońce spada,
I krzyż mękę rozpowiada.

I podążył w kraj zapaśny,
Na chleb biały, na miód przasny,
Na spoczynek na polacie,
W ukraińskiej białej chacie.

Bogać sen, choć zażyć ziola,
Nie przybliży się do czoła,
Gdy pod czołem duch się spiera,
Co ci oczy w szerz otwiera.

Nie na gody szedł dziadzina,
Posuwając kroki chyże,
Nie myślący i o lirze
Co się brzękiem przypomina,
Od ramiona przewieszona,
Jak dzieciątko rozpieszczona.

Wstąpił w łódkę dziadek stary,
Co Dnieprowe wody dzieli,
Między łozy a szuwary
Siwa głowa się zabieli.
Biały statek rybołowa
Na wybrzeżu stał szerokiem,
Po chałupie dym się snowa,
Miesiąc świeci rybiem okiem.
Zaszumiało — porwał statek,
Po szuwarach płoszy szpaki,
Młódź i starce wyszli z chatek,
Stoją, patrzą, kto tam taki,
Co tak pędzi kłódką klusem.
W białą nockę, w chłód wieczora,
Czyby święty Piotr z Chrystusem,
Na gościnę do futora? —

Stary lirnik nasz Hrehory,
Z przewieszoną białą torbą,
Wielka radość na wieczory,
Złota lira z złotą korbą.

Wyszedł Maksym brodacz siwy,
Ukrainiec sprawiedliwy, —
Mądra głowa u Maksyma,
Prym w gromadzie Maksym trzyma,
Nasz pasiecznik na futorze,
Co go zowią ojcem uli,
A miód jego płynąć może
Na biesiedzie w dzień Trzech Króli.

Chata jego jak wianeczek,
Czysto, widno z każdej strony,
Dziewka siedzi jak kwiateczek,
Chleb jak słońce wypieczony.
A na roli w każdej wiośnie
Co tam jęczmień siać, co proso,
Małe dziecko niech poniosą,
A posadzą to wyrośnie. —
A jak stary kto tam powie?...
Skąd pamiętać przy poczęciu,
Rosnąć gdzie tam rozum w głowie,
Do dziewięciu lat, dziesięciu,
A jak doszedł do rozsądku,
Jak siać zaczął święte żyto,
Żeby liczyć od początku,
Latek byłoży obfito. —

A wojskowo gdzie nie chodził,
Moskal wodził — gdzie nie wodził?...

Na kraj świata, gdzie tak blisko
Przychyla się niebo k'ziemi,
Że tu niebo, a tu rżysko;
Pod niebami, pod jasnemi,
Na kamieniu dziewczka pierze,
Gdzieś na jasnym na potoku,
To z potoku chust nabierze
I zawiesi na obłoku.

Całe życie swoich zdala
Służ człowieku dla Moskala,
Codzień po dniu pędza, gania
Od Bałkanu do Kubania,
A tam chata pachnie czleku,
Dym od swoich aż zalata,
Jakoż bo to w starszym wieku,
Strasznie miła swoja chata,
Bóg łaskawy zdarzył ranę
Od czerkieskiej cięcie szaszki,
Tak i w chaty ukochane
Odprawili na baraszki.

To i żenił się z powrotem,
Cudnejż była ta urody,
Świeża — jakbyś zapil wody,
I do Boga westchnął potem.

Błogicż z Praksią przeszły lata,
Więc zaplakał po niej szczerze,
Pan Bóg sobie lepsze bierze,
A co płochsze to dla świata.
Jako woda z wiadra ścieka,
A jak ścieka w mig zasycha,
Tak Prakseda Maksymicha
Prosto nikła w oczach czleka.

Milosierny Bóg na niebie
Ot i zabrał srebro złotko,
Ach! jak ona w kolo siebie
Spoglądała jeszcze słodko.
Poszła dusza jak te pyłki
Co we słońcu lecą doma...
Maksym wywiózł na mogilki,
Czystym wozem. wołmi dwoma,
A Iwasia dziewczka po niej
W jego chacie czystość czyni,
A już taka gospodyni,
Że jej wszystko rośnie w dłoni,
Córka w matkę oko w oko,
Synowie się w ojca wdali.
To i westchnie dziad głęboko,

I za wszystko Boga chwali.
Toż Maksyma z pracy znają,
Pogarbiony nad robotą:
Z pieńków ciecze miód jak złoto,
Na skrzypeczkach pszczoły grają.

To i ściąga nasz Hrehory
Po dawności znajomości.
Jak po złotych wód jasności,
Dziki kaczor przez jeziora.

Bywaj! bywaj! stary ślepcze,
Złotą rybę rybak spławi,
A dziad idzie, pacierz szepcze,
I wszem ludziom błogosławi.
Lecz miast dumy o Nyczaju,
O Koreckim i Bohdanie,
Z dalekiego dziadek kraju
Złote niesie im pisanie.
Jaki taki chętnie wita,
I do dziada lud się ciśnie,
Aż hramota w pas zaszyta
Przed oczami im zabłyśnie.
Złote pismo więc rozłoży —
Powesel się ludu Boży.

Od Krakowa do Kijowa
Nowe światy, prawda nowa,
Obnasza ją nasz wędrowiec
Od Zaslavia po Lipowiec,
Od Taraszczy do Trylicy,
Krają polscy wojownicy.
Młody hetman im hetmani,
Z nieba wieje wiatr na zmianę,
Wszyscy ludzie pojednani,
Stare krzywdy zapomniane.
Lud się w cerkwiach Bogu korzy,
Miód się leje setkiem stągwi,
I archanioł złoty, Boży,
Znów się złoci na chorągwi.
Sam z hetmanem pod namiotem
Zapijałem miodem złotym,

To i kapkę tego miodu
Niosą w ustach dla narodu.
Dobrze ludzie powiadali:
Co to carska ta hramota,
My będziemy przysięgali,
Jak hramota przyjdzie złota.
Ot i przyszła wypisana,
A ty ludu na kolana.
Pismo jasne jak brzask dzienny,
Posłuchajcież święcie proszę,
Nie kijowski to wojenny,
Co wyludza z ludzi grosze.
To nie carski papier prosty,
Co nam wieści wielkie łaski,
A miast łaski daje chłosty.
Patrzcie bracia jakie blaski,
Jakby ludziom hetman dawał
Złocistego nieba kawał.

Nowe prawo Lach ogłasza:
Prawda Lasza, wola wasza.

Gdy hramotę hetman dawał,
To jak gdyby Doroszeńko
Z przesławnego grobu wstawał:
I przeżegnał srebrną ręką.
Zaśmiało się widne błonie,
Zaweselił ród wszelaki,
Zaśpiewały Boże ptaki,
I zarżały w stepach konie.
Łzami spłynął lud sierota,
Zadzwoniła stara chwała,
Gdy mnie w ręce się dostala
Dla narodu ta hramota.

Ach tak Boże twoja wola,
Ja hramotę w pas zachował,
Dłoń hetmańską ucałował,
I pociągnął w siwe pola.
A wciąż mnie się w głowie zdało
Ze tam z grobu Doroszeńko

Błogosławi srebrną ręką,
I że pole w krąg śpiewało...
Dobra rada — żadna zdrada,
Nie ja gadam — hetman gada:
„Kraju chlebny, kraju miodny,
Będziesz szczęśny i swobodny!”

Jęk się rozszedł po gromadzie,
Ten i owy w proch się kładzie.
Posiwieli starcy kołem
Przed hramotą biją czołem,
Uderzają pięścią w łony
Jako w cerkwi przed Ikony.

Bo z hramoty Chrystus świeci
Błogosławiąc wierne dzieci.
Wielka pieczęć przyciśnięta,
Z Mężem. z Orłem, z Archaniołem,
Wierna Rusi czołem! czołem!
Bo hramota iście święta,
Kiedy na niej wszystko stoi,
Bóg, łycary, orły, konie,
Jak las, pismo, niebo płonie,
Jak na świętej ziemi twojej.
Gdy podnieśli siwe głowy,
Dziad się bielił z pod jawora,
Nim rozpoczął święte słowy
Na gromadzie u futora.

Księżyc świecił roztoczony,
Słowik śpiewał na jabłoni,
I kijowskie srebrne dzwony
Słychać było w tej ustroni.
I bielił się w świetle nocy
Po nad ludem stojąc mnogim,
Jako dawni ci prorocy
Na rozmowach z Panem Bogiem.

„W Imię Ojca. Syna, Ducha,
Kto ma wolę. niechaj słucha!”
Wiatr mu brodę porozwiewał,
A ów czytał głosem brzęcącym,

A tak czytał jakby śpiewał
Starą dumę pod miesiącem,
Wszystkie sławy w starca głosie
Do serc ludzkich powracały,
I na oczach lży im stały,
Jak na ziołach w noc po rosie.
W prostych sercach dumy cucił,
Gadał, śpiewał, bałamucił.

Aż i Maksym wśród drużyny
Jakby w skwary zapił wody,
Młódź słuchała, a dziewczyny
Pokraśniały jak jagody.

Ach! swoboda, miły Boże!
Kiedy wejdzie w serce człecze,
To płomieniem człek rozgorze,
A lez deszczem się rozciecze.

Nabroili jezuity,
Nabroili polskie pany,
Ale grzech już łzami zmyty,
I świat we krwi wykąpany.

I hramota prawi złota:
Pochwalony Pan nad pany.
Podniesiony lud sierota,
Porównane wszystkie stany.
Jednakowe wszystkim sądy,
Jednakowe wszystkim rządy.
I już odtąd nie sprawniki,
Carskie, szkodne rozbójniki,
Lecz wybrana z ludu rada
Złote księgi praw rozkłada.
A jak zrobią starce z siola,
I sam Pan Bóg nie odwoła.
A ubogich kraj opatrzy
I za roczeł. za dwa, za trzy;
Ani jednej biednej chaty,
Ani jednej ujrzy łąty.
Miłosierdziem świętem bratniem
Okryje się każda bieda,
Matka Polska krzywdy nie da
I pomyśli o ostatnim.

Nad to bracia hetman głowa
Złoty obraz ludziom daje,
Ot przeczysta z Berdyczowa
Przed którą się naród kaje,
Na ołtarzu poświęcana
W sukni złotej jak tam w niebie,
Błogosławi ludu ciebie,
To kto wierny — na kolana!

Długo lud się krwawo pocił,
Lecz dziś bożek znak dobroci,
I archaniół się rozzłocił.
A wróg ludu krwią się poci.
Skonczył, hucznie po rozłogu,
Poszedł okrzyk: „śława Bogu!”

Piers młodzieży ogniem wzgorze,
Starcy poczczą wolę Bożą.

Na hetmańskich słów przyjęcie,
Kładą palce na hramotę,
I na nóżki Maryi złote,
Pocalunek kładą święcie.
Po przesławnej mowie dziada,
Nie zmrużywszy w nocy powiek,
Naradzała się gromada,
A gromada — wielki człowiek.
Po zakątach szept, gwary,
Ciche zmowy i narady,
Aż pasiecznik Maksym stary,
Głosem całej rzekł gromady:

„Byle zacząć — z Lachem zgoda,
A jak potem niech lud radzi,
A co ludu Pan Bóg poda,
Nikt się o to nie powadzi. »
Toż na dni te szczerozłote,
Czy z Lachami, czy osobno,
Zostaw dziadu tę hramotę,
Bo mądrzejszej niepodobno.
My zakopiem jako zboże,
Pod tę lubą, pod tę rolę,

Λ gromada pójdzie w pole,
I na wolność nam zaorze.
Długo w biedzie człek narzekał,
Coraz gorzej, coraz gorzej,
Ot i w końcu się doczekał
Gdy nie słońca, to choć zorzy.
Bóg wam zapłać stary ślepcze,
Znać kto depcze, taj wydepcze.

Wbili w ziemię cztery koly,
Zastawili długie stoly,
Patrzą ludzie na Maksyma;
Λ z Maksymem dziad się trzyma.
Z mięsiwem się kurzy misa,
Naród Boży dar spożywa,
Maksymowa głowa siwa.
Λ dziadowska głowa łysa,
Dziewki noszą — a hramota
Pod Jaworem wiewa złota.

Zrodziła się prawda nowa,
Prawo rozum nad rozumy,
Przyszło pismo z Berdyczowa,
Cały naród prosić w kumy.
Maksym ujął dłonią krzepką
Pobielany dzbanek z cyny,
Taj zapijmy nad kolebką
Zdrowie Bożej tej dzieciny.

I znów hucznie po rozłogu,
Poszedł okrzyk sława Bogu!...

Toż za dobre wieści dziada,
Za tę radość, za okrutną,
Stary Maksym mu naskłada
Na koszulę białe płótno,
Λ ten Bogu czołem bije.
I przed swymi się pochyli,
Niech syn Boży was okryje.
Jak wy ludzie mnie okryli,
Ręka niech nie zdradzi chrobra,
Szcześnie z nimi, gdzie się ruszą,

Panie! staw się przed ich duszą,
Bo drużynaż to przedobra.

Miesiąc zaszedł, wietrzyk woni
Z rankiem nikną nocne mary,
Kraży górą sokół szary,
Do hetmana młodzież goni...
A Hrehory, nasz Hrehory,
Gdzie go wiedzie Boża wola,
Ciągnie stary jak Piotr wtóry
Gdzieś pod bramy Boryspola.

Zbieraj, zbieraj nogi sporo,
Nasz lirniku, nasz dziadoro,
Rannym świtem, nocną dołą,
Sam Pan Chrystus idzie z tobą.

Kto pieśń złoży o hetmanie,
Kto wyśpiewa jego boje,
Ten grosz weźmie za śpiewanie,
A ja bracia skończył swoje.
Ja hramotę złotą niosłem,
Na szerokie stepy, smugi,
I u promu stoję z wiosłem,
A pieśń chwały zabrzmiał drugi.
Ja wam tylko jak wiatr szybki,
Od Krakowa do Kijowa,
W srebrnej sieci rybolowa
Pokazałem złote rybki.
A ktoś drugi z pieśnią chwały,
Przejdzie polskie lasy, bory,
Może ludu wieszcz Hrehory,
A może sam anioł biały.
Gdy swobody kwiat wybuja,
W dzień pogodny w błogie tchnienie
Na dzień Boży na wskrzeszenie
Brzęknie złote Alleluja!

WOJCIECH POCZCIWY.

Miał stary Wojciech zboża dostatek,
Miał Wojciech w domu pięcioro dzieci;
Pięciu mu synów wykołysała

Pocziwa żona, co go kochała.
Najstarszy Józef z plugiem już chodził
I drzewa sadził i płoty grodził;
Najmłodszy gąski wypędzał żaczek;
Dwojaki w pole nosił średniaczek;
Pietruś pomagał przy żniwach braci,
A spryt miał wielki do skrzypek Maciej.
I wszystko w chacie szło jakby z płatka,
Bielila płótno na łąkach matka,
Płótno bielila, len omiedlała,
Len omiedlała, międląc śpiewała;
Tłuste hydetko wesołym rykiem
Porykiwało za okólnikiem;
Dwoje żrebaków rosnących brzydowało,
Śmiała się chata, pole się śmiało,
Z miodem u nóżek brzęczała pszczołka,
Pajaczek szatę przedziwną motał,
Na dębie rankiem bocian klekotał
I szczebiotała w wieczór jaskółka.
Ogród miał pełny jabłek, orzechów,
I świat Wojciechów pełny był śmiechów.

Z błogosławieństwem wszystko szło bożem,
Pod okiem Jasnej Pani z nad ściany
Gołąbek wisiał nad matki łóżem
I pęczek polnych ziół poświęcany.
I nikt Wojciechu nie pozazdrościł,
Bo dopomagał i rady gościł.
Kumoszki z chatki i siwe dziadki:
Każdy zachodził jak do swej chatki.
Bo i Jagienka, gospoia miła
Nikommu szczęścia nie zazdrościła,
Ni złego słowa nie wymówiła.
Dał Pan Bóg usta dla swojej chwały,
Toż miasto waśni śpiewają długo,
I trza by obejść boży świat cały,
Zanimby znalazł Jagienkę drugą.

Każdemu w wiosce nadadzą miano,
Wojciecha zasie „pocziwym” zwano.
Toż gdy wieczorem powracał z niwy,

„Patrzcie, wołali, wraca poczcuiwy”.
I był on wioski głową i radą,
O cztery mile do niego jadą.
Niech się sąsiedzi z sobą powadzą,
Wnet się do jego chaty prowadzą.
A ten wezwawszy Boga na świadki,
Siada na sądy przed progiem chatki.

Długo nasz Wojciech patrzył ku niebu
I dopatrywał dziwy a znaki,
Okrutną miotłę i ku pogrzebu
Ciągące chmurą zimowe ptaki.
A co przewidział, to się sprawdziło.
Przyszła wojenka, wiecie jak było;
A kto nie słyszał, to mu powiedzą
Uboże dziatki, co w pustkach siedzą;
One powiedzą słowem prostaczem,
One powiedzą serdecznym płaczem,
A ludzkie pióro wydać nie zdoła
Ognia, co przeszedł przez nasze siola;
Piórko, pióreczko z wiatrem poleci,
Co wieje w polu na biedne dzieci.

Jednego razu nasi rycerze
Nagnali Moskwy w swoje więcierze.
Cała się tego zleciała rota,
Przed Wojciechowe wysokie wrota.
Nasi za nimi, już im na grzbiecie.
Co kulka świnię, jednego zmiecie.
Daliż im nasi oj! dali łoży,
Nakładli tego na cztery wozy.
Reszta odbiła wrota stodoły
I ze stodoły Polaków zmiata.

Spojrzał się Wojciech. „O! Stwórco świata,
Trzaćby to one wykurzyć pszczoły.
Niewiasto moja, bierz pościel na się,
Niech każde bierze, co unieść może,
Bo ja tej Moskwie jeża podłożę,
Co się krwią polską niewinną pasie.” —
Chwycił za drzazgę —
„hej! miły Boże,

Gdy Polska gorze, niech wszystko gorze!
Idź mój dorobku, idź moja chata,
Będziemy mieli Ojczyznę za to.
— Krzyknął na syna: — Gdy ja poniosę
Pod nasze węgły drzazgi smołowe,
Gdy będę palił, ty trzymaj kosę,
A co wyleci, tnij przez połowę."

Skoczył do kosy chłopak jak strzała,
Wojciech z drzazgami zaszedł od pola:
Tak Bóg przykazał, boża to wola,
Żeby i moja chata zgorzała. —
Rzucił na dachy głównię płonącą,
Ogień obleciał wyschłe poszycie,
Kręci się Moskwa, mile jej życie.
Pod plachtą z ognia znać jej gorąco.
Chłopak pod wrota kamień podwala;
„Co ogień nosi, niech w ogniu zginie,"
A co we wrotach zoczy Moskala,
To łby moskiewskie kosi jak dynie.

Dym się okręcił po dachu bury,
Płomień ogarnął chaty spokojne,
A Wojciech kosą wstrząsnął do góry,
I krzyknął gromko: „Idźmy na wojnę!
Błogo nam było na plennej roli,
Lecz nam już polskiej krzywdy nie znosić,
Oj ta Ojczyzna to strasznie boli,
Za to Moskali trzeba wykosić
Dobrześ się sprawił synku jedyny,
To będzie z ciebie wojak nie lada.
Idź, idź, niewiasto, na twoje syny
Dzisiaj podatek Polska nakłada.
Chętnie nam trzeba ze chłopskich chatek,
Ojczyźnie splacić krwawy podatek."

„Niech żyją chłopci!" krzyknęła wiara.
Z chaty została prochu garść szara,
Lecz miłość Polski, na niej zrodzona,
Ogrzewać będzie wieśniacze łona.
Ciagną się dymy przez szare niwy,
Nasi hulani zesiedli z koni,

Łzami szczeremi, uściskiem dłoni
Łączył się z nimi Wojciech pocziwy,
A jego żona z pogodną twarzą
Dla wiejskich sierót bada o drogę,
Toż jej Polacy drogę pokażą,
I pożegnają matkę niebogę...

ZAGRODOWA.

Nasza szlachta zagrodowa,
Ta od Łosic, od Makowa,
Zawsze jedna jednakowa.

Jaką była, tak została,
Wszystko wiernie przechowała,
Dziarska, śmiała i zuchwała.

Sejmikować wielce rada,
Za sejmikiem aż przepada,
Prędka zgoda, prędka zwada.

Sejmik, szklanka, pohulanka,
Chwała braci, żarty z panka,
Taki szlachcic ze zaścianka.

A szlachcianka na zagonie
Jeszcze śpiewa o Filonie...

O rycerzach cuda roi,
Przyszłością się niepokoi,
Zadumana w polu stoi.

Wiejskie dziewczę parobczaka,
Ta powiada: ja nie taka,
Dla szlachcianki trza wojaka.

U niej mąż nie w polu kosi,
A przy boku szablę nosi,
Takiej Józi, takiej Zosi.

I ztąd śpiewa w cichym lecie:
Tam na błoni błyszczą kwiecie,
Stoi hułan na widecie.

Śpiewa, śpiewa z całej duszy,
Aż matczyny ogród głuszy,
Aż się oko łą zapruszy.

Wtedy zwiśnie młoda główka,
Zaniemieją w ustach słówka,
Już jej ciasna ta rogówka.

I tak stoi z twarzą bladą,
Nad lebiodą, nad rosadą,
Aż ktoś krzyknie: „goście jadą”.

„Goście jadą!” krzyczy srocza,
Zaśmieją się pannie oczka,
Aż podskoczy panna skoczka.

Może ten, a może owy,
Lecz nie inny jak wojskowy,
Z znakiem służby narodowej.

Serce puka na myśl samą,
Brzękła szabla przed ich bramą,
„On przyjechał mamó! mamó!”

W tem *on* wszystko wygadała,
Samochcący się wydała,
Kogo sercem pokochała.

Jak nie kochać, kiedy grzeczny
Jak nie kochać, gdy serdeczny,
Jak nie kochać, gdy waleczny.

Jak nie kochać całą siłą,
Jak nie kochać kiedy miło,
Kamiennych serce było.

On za Polskę krew przelewa,
To i gdzież jest polska dziewa
Co o takim nie zaśpiewa?

Nie wyciągnie tęsknej nuty,
Nie zaplecie warkocz suty,
Nie zasieje drobnej ruty?

Gdzie jest taka Polka prawa,
Co gazety nieciekawa?...

Polskie pisma ojciec czyta,
A dziewczeczka z cicha pyta:
„Czy tam nie ma pana Wita?”

— Jest coś o nim, dajcież proszę,
Niech z gazetą się ponoszę,
Oto szczęście, to rozkosze.

Teraz cały świat jej błogi,
Kto wojuje polskie wrogi,
Całować mu ręce, nogi.

Komu Pan Bóg dał zasłynąć,
Za takowym szaleć, ginać,
Ach! i we łzach się rozplynąć.

Niech tam chwałą zagranicę,
Może piękne okolice,
Ale takie gdzie dziewice?

Kędy serca tak kochane,
Kędy dusze tak oddane
Co przyłożyć choć na ranę?

Bez ojczyzny miłość płocha,
Polka tylko mężnych kocha,
Nie bogactwo, nie ozdobę,
Kocha duszę, nie osobę.

Komu Pan Bóg dał zasłynąć,
Za takowym szaleć, ginać,
Ach! i we łzach się rozplynąć.

HANKA ZABUŻANKA.

Po skończonym boju
Tyle mogił w polu,
W polu na Podolu,
Śpią ludzie w pokoju.
Rolnik sieje zboże

Zasiewa na okół,
Mogiły oborze
Kędy krąży sokół,
Na mogiłach krzyże
Dobrzy bracia stawia,
Konik w trawkach strzyże,
Starcy Boga sławia.
Czas wszystko uleczą,
Wszystko on przemoże,
Pruchnieje kość czleczą,
Oracz ziemię orze;
Jeno serce młode
Czasem się zakrwawi,
Idące po wodę
Dziewczę dzban postawi,
Wzrok na groby rzuca,
Piosnki nie donuca.

Nad zachodem słońca
Całe niebo gorze,
Od końca do końca,
Na skraju na borze,
I zorza nad borem,
I cisza wieczorem;
Tylko dzwonek z wieży,
Od kościoła z wioski,
Prosi Matki Boskiej
Za dusze rycerzy.

Szło dziewczątek czworo
W ten wieczór wiosniany,
Co tam wodę biorą
W polewane dzbany,
I noszą do chatek,
Dla swych pańców matek. —
I stanęły róże
Dla ulgi ramieniu
Gdzie grobowe wzgórce
Poszarzało w cieniu.
A jedna poskoczy
Garstkę kłosów chwyci,
Wiązanek otoczy,

Tasiemeczką z nici.
I o cichej zorzy,
Pod krzyżem położy.

Hanko Zabuzanko,
Powiedz dziewczę miłe,
Na czyją kochanko
Kładziesz kwiat mogilę?...
A dziewczę odrzeka:
Na groby rycerzy;
Jak tam u nas rzeka
Krętym pasem bieży,
Stał hulan na wzgórzu
Rok temu bez mała,
Wtedy wojna wrzała
Na naszym Zabuzu,
I prosił o wianek,
Ja nie dała wianka,
Za to mój kochanek
Wianki ma co ranka.
Jemu macierzanka,
I stokrotka skryta,
Jemu Zabuzanka
Wije wianek z żyta,
Jemu krzyż ustroi
Sznurami powoi.

KRAKOWIAK.

Jadą chłopcy jadą,
Jadą borem, lasem,
Krzykają gromadą
Nad granicznym pasem.

Krakowiacy śmiali,
Hura na Moskali,
Bijmy wrogi nasze,
Jak we stępach kaszę.

Kto policzyć może,
Wszystko ziarno w worze?
Chociaż tego wiele,
A przecież się zmiele.

Żeby Polska cała
Jedne działki miała,
Niebyłoby w onej
Moskwy nieproszonej.

Krakowie, Krakowie!
Daj ci Boże zdrowie,
Za ten naród smagły,
Za krakowskie jagły.

Za promnickie hochny,
Za krakowskie wiochny,
I za to żelazo,
Co je w górach warzą.

Jadą chłopcy jadą,
Jakby w dzień targowy;
Koniki się kładą,
Skacze wózek nowy.

Choćby stracić konie,
Wozik szybowany,
Lećmy ku obronie
Ojczyzny kochanej.

Jadą chłopcy śmiało
Na tę Moskwę całą,
Jedzie naród szczery,
Choć na takich cztery.

Góra polska góra
A na górze chmury;
Rozleci się chmura,
A zostaną góry.

Żeby Polska cała
Jedne działki miała,
Nie byłoby w onej
Moskwy nienroszonej.

TAM DALEKO.

Tam daleko chata znana,
Za tym morzem, za tym krajem,
Świeżym piaskiem wysypana,
Umajona świeżym majem.
Nasza chata, a w niej Boże,
Zamiast róży dziewczę hoże,
Zamiast słońca twarz matczyna,
Zapatrzona w swego syna.
I przyjaciół wierne gronko,
I cienisty dąb przed sionką,
I bez, co się w okna ciśnie,
I ten krzyż za kolowrotem,
Wszystko jakby naumyślnie,
Żeby człowiek tęsknił po tem.
Tak tu róże kwitną cudnie,
Taka niebios twarz wesoła,
A mnie w duszy wciąż coś woła:
Wschód piękniejszy jak południe.

Doczynek do pieśni:

„HEJ TAM NA GÓRZE“.

„Hej tam na górze
Jest wojsko duże;
Sztuk, puk w okieneczko,
Sztuk, puk kochaneczko,
Koniom wody daj.
Koniom wody daj.

Nie mogę ja wstać,
Koniom wody dać,
Bo mi matka zakazała,
Bym z panami nie gadala,
Muszę jej się bać.
Muszę jej się bać.

Matki się nie bój,
Siadaj na koń mój,
Pojedziemy w cudze kraje,
Gdzie są piękne obyczaje,
Malowany dwór.
Malowany dwór“.

Oj państwo moje,
Bardzo się boję,
Na dolinie mokra rosa,
Mokra rosa, a ja bosa,
To się zamoczę.
To się zamoczę.

Jak na koń skoczysz,
Nogi nie zamoczysz;
Konik stoi, nóżką grzebie
Czekający już na ciebie,
Dziewczyno moja,
Dziewczyno moja.

Śliczny hulanie,
Jedź se mój panie,
Ja nie mogę odbiec domu
I to jeszcze pokryjomu,
Zachowaj Boże,
Zachowaj Boże.

Wejrzyj aby raz
Na ten ranny czas!
Niechże cię mój śliczny kwiatku.
Aby ujrę na ostatku,
Mojaś ty cudna,
Mojaś ty cudna.

Już ci wszystko dam,
Co przy duszy mam,
Na trzewiczki, na dwie pary,
Daruję ci dwa talary,
Jeno spojrzuj raz,
Jeno spojrzuj raz.

Jak wyjrzę, sobie
Biedy narobię,
Może mi się upodoba
Mój rycerzu, twa osoba,
To będzie gorzej.
To będzie gorzej,

Już mię chyba rzucę,
Albo kiedy wrócę,
Jak się skończy wojowanie,
Powrócisz tu mój hułanie,
Do chatenki tej,
Do chatenki tej.

Długo hułan stał,
Różne myśli miał,
Czyby prosić, czyby zmusić,
Lecz się na złe nie chciał kusić,
I tak powiedział,
I tak powiedział:

Mógłcibym cię skraść,
Na konika wpaść,
Lecz już myślę, mój klejnocie,
Że po wojnie wrócę do cię,
Do chatenki tej,
Do chatenki tej.

Brzęknął szabelką
Na żalność wielką,
Już na siodle, już na drodze
Aż się zrobił żal niebodze,
Z okna wyjrzała,
Z okna wyjrzała.

Z okna wyjrzała,
Rączką zęgnąła,
Spoglądała cały ranek,
Gdzie pojechał jej kochanek
Szeroką drogą,
Szeroką drogą.

DUCH ZABITEGO.

W kurnej chacie czarnego Petryly
Czy to głównie izbę zadymily?
Czy się jaka zdarzyła przygoda?
Ciężko duszno jakby pod kamieniem.
Woła Petryl: „żonko, moja młoda!
Czy ja ciężkiem okryty odzieniem,
Co mi duszno dziś pod moją świtką?
Czy mię jakie przywaliło didko?
Wyjrzej na świat, czy niebo nie czarne,
Co powietrze tak zaduszne, parne”.
Wstała żona, chatę otworzyła:
„Cóż tam widzisz, moja żonko miła?”
„Widzę światło, jak żółta gromnica”.
Petryl w dłonie ukrył obie lica,
Schylił głowę, siedzący na łożu. —
„Żonko moja, a cóż tam na dworzu?”
„Czarne niebo, nad rzeką pogrzmiwa,
Deszcz nie pada, jeno szumią drzewa.
Widzę światło, coraz się przybliża,
Jak jaskółka lata koło krzyża”.
Petryl westchnął, otarł z potu czoło.
Po chałupie spoglądał w około:
Przed obrazem Przenajświętszej Dziewy,
Dopalala się reszta oliwy;
I zagasła lampka dopalona,
Petryl znowu westchnął z głębi łona,
Schylił głowę, siedzący na łożu:
„Żonko, żonko, a co tam na dworzu?”
„Widzę światło, ku chacie pomyka,
Jeno zamiast żółtego płomyka,
Owa jasność, w polu latająca,
Do białego podobna miesiąca,
Coraz bliżej naszej wsi podchodzi...
Prawdaż-li to, czyli wzrok mię zwodzi,
Ale światło, świecące czerwono,
Jako miesiąc ma twarz przekrojoną
Od ust białych aż po koniec szczeki;
Idzie prosto po drodze od rzeki”.
Petryl jęknął, by najcięższym bolem.

„Żonko, żonko, a co tam nad polem?”
„Teraz weszła na nasze zagony”. —
Petrył znowu zagada do żony:
„A co widzisz, moja żono wierna?”
„Widzę... widzę... Matko miłosierna!
Już nie miesiąc, jeno trupie lica
Zabitego na drodze szlachcica.
O, dla Boga! wszakże to już blisko,
Uwiązane wyć poczęło psisko”.
I zamknęła chatę wystraszona
Petryłowa młoda, wierna żona.
Czarny Petrył w piersi się uderzył,
Chmurne oczy przed siebie rozszerzył,
I ku ścianie plecyma zacięzał,
I oparł się i patrzył... i stęzał.
Młoda żona chatę otworzyła:
Niema światła i duszy Petryła...

KOCHANKA, SIOSTRA I MATKA.

We świty rumiane,
Morze rozigrane:
Nie igra-to wielkie morze,
Lecz się kapie słońce boże;
Nie słońce-to na dnie wody,
Jeno tonie wojak młody,
Na kochankę woła:
„Gołębeczko hoża.
Ratujże mnie z morza!
Woda wyżej czoła,
Ręce utrudzone...
Ratuj, bo utonę!”
„Nie moja to siła”
Smutna przemówiła;
„Ani czołna, ani wiosła,
Wszystko burza odniosła”.

We świty rumiane,
Morze rozigrane;

Nie igra-to wielkie morze,
Lecz się kąpie słońce boże:
Nie słońce-to na dnie wody,
Jeno tonie wojak młody,
Na siostrzyczkę woła:
„Gołąbko serdeczna,
Siostro moja mleczna!
Woda wyżej czoła,
Ręce utrudzone...
Ratuj, bo utonę!”
„Nie moja to siła”
Smutna przemówiła;
„Ani czołna, ani wiosła,
Wszystko woda odniosła”.

We świty rumiane
Morze rozigrane;
Nie igra-to wielkie morze,
Lecz się kąpie słońce boże,
Nie słońce-to na dnie wody,
Jeno tonie wojak młody,
Na matkę zawoła:
„Matko moja miła,
Coś mnie urodziła,
Woda wyżej czoła,
Ręce utrudzone...
Ratuj, bo utonę!”
Matka usłyszała
Swego dziecka głosy,
Szarpnęła, wyrwała
Swoje siwe włosy;
Jak pasmo konopi
Rzuca włosy siwe,
Niech morze burzliwe
Dziecka nie zatopi.
„Chwyć się duszo miła”
Przemówiła drżąca,
„Z nimiś się bawiła
U piersi wisząca,

W twe dziecinne latka".
Kochana dziewczyna,
I siostra jedyna,
Lecz najlepsza matka.

M A Z U R.

Hej! do tańca dziewczuchy,
Zagraj dudko Jaśkowa, —
Cóż-to grajku, czyś głuchy,
Co tak siedzisz jak sowa?
Ano! żywo do licha!
Cóż to wam się przydało,
Każden siedzi a wzdycha,
Czy złe ludzi spętało?

Bartek z boku spoziera,
Łzy rękawem ociera,
A dziewczuchy, parobcy,
Jak nie swoi, jak obcy.

Gdy tak Maciek ochoczy,
Każdy przetarł swe oczy,
A Jan stary z za stoła:
Grajże grajku! zawoła.

Chwycił Józef za basy,
Żwawo smykiem potoczył;
Maciek w taniec wyskoczył.
Ognia dały obcasy.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Cóżto grajko tak smutnie?
Wesołego niech utnie,
Bo mnie na złość kapeli
Jakoś coraz weselej
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoły!
Spaliły się stodoły,
Kłopot sobie nie zadam
Kędy zboże poskładam:
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoły!
Mój majątek dwa doły,
A w onych dolach żona
Z małym dzieckiem złożona.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Grajże dudko wesoła,
Toć na mnie nikt nie woła,
Nikt nie czeka stęskniony
W mej chałupie spalonej.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Żywa dusza nie żąda,
Próżno człek się ogląda,
Więc tańcuję najszczerzej,
Jutro pójdę w żołnierzy.
Da w moskiewskich żołnierzy.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Gdy tak tańczy ochotnie,
Cóżto grajko tak potnie?
Kropla w kroplę przez oczy
Z twarzy grajka się toczy.

Czy się zmachał od grania?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmanem
I coś mruczał i szeptał,
A dziewczki się splotały —
Że skrzypki grać przestały.

Bądźcie zdrowi wy starzy,
Niechaj Pan Bóg wam darzy,
A gdy skrzypków nie stało
By się w karczmie hulało,
Śpiewam sobie: oj dana,
Doloż moja kochana!

NASZA DZIEWCZYNA.

Nasza dziewczyna
Kieby malina,
Usta różane
Z lilją mięszane,
Włosy złociste,
Oczy ogniste,
W tańcu sarenka;
Nasza panienka
Szczerą w ochocie,
Pilną w robocie;
Czy zagon piele,
Czy zbiera ziele,
Czy z kołowrota
Złotą nić inota,
Zawdy ma w głowie
Tyle piosneczek,
Ile kwiateczek
Kwitnie w dąbrowie;
W Zielone Świątki
Lipowe prątki,
Wierzby gałązki
Nazbiera w wiązki,
Chatę umai
W zieloność gai,
W okienku chaty
Ustawia kwiaty;
Tatarakami
Uściele sionkę,
Przed obrazami
Wiesza koronkę,

I białe chusty
Na siebie wdzieje,
Wdzięcznemi usty
Wszystkim się śmieje;
U niej ze dzbana
Woda źródłana,
I chleb ubogiem
I cień przed progiem:
Jak ludzie prości
Mile ugości;
Gdy w sianokosy
Słyszysz piosneczki,
To pewnie głosy
Naszej dziewczki.
Fura się toczy
I skrzypią koła,
A przy niej kroczy
Dziewka wesoła.
Nasza dziewczyna
Gdyby malina;
Tego wybierze
Miła osoba,
Który się szczerze
Onej spodoba;
Najbardziej dziewce
W serduszko wnika,
Kto w rogatywce
Dosiadł konika,
I umie gracko
Wywijać chwacko,
Szabelką machać,
Nic się nie strachać,
W boju bojować,
W chacie całować.

BITWA RACŁAWICKA.

Pamiętają Racławice
Nasze kosy i kłonicę.
(*Piosnka z r. 1831*).

Lasy nasze, ciemne lasy,
Racławickie lasy!
Pełne wczesnej
Woni leśnej
I słonecznej krasy.
Lasy nasze, ciemne lasy,
Gdzie to cudne rano,
Kiedy was tu w głuchem polu
W jednym dniu posiano?
Od poranka do wieczora,
Do samego zmroku,
Ludzka krew się przelewała
Z żołnierskiego boku.
Lała się jak deszcz kroplisty
W pierwszy dzionek wiosny,
A z krwi czystej,
Gaj cienisty,
Puściły się sosny.
Puściły się buki, klony,
Jesion pokrzywiony,
Brzoza biała
Rozczesała
Warkocz zapleciony.
Co wiatr ruszy,
Liść popruszy,
W ciemny bór poleci,
A ojczyzna z cicha wzdycha:
Gdzie wy, moje dzieci?...

Gaju, gaju,
W naszym kraju,
Gałąteczko drobna!
Czy już nasza polska wiara
Na nic niesposobna?
Czy już tyle naszej Polski
Co liścia w jesieni?...

Wiosna wróci,
Ptak zanuci,
Liść się zazieleni...
A czy nasza polska wiara
Na wiosnę odżyje?...
Co nie płocha,
Szczerze kocha
I szczerze się bije?...
Oj żołnierzu, ty żołnierzu,
Wędrowna sieroto,
Co tak sobie utyskujesz,
Co się troskasz o to?
Dawne czasy
Poszły w lasy.
Równiny się smucą;
Gdzie się skryły,
Bracie miły,
Stamtąd się i wróć.
A ty sobie śpij nieboże,
Bo miesiąc rogaty
Wszedł, jak kosa,
Na niebiosą
I obieleł chaty.
Błogo zasnąć w polskim lesie
Na obfitym wrzosie,
Bo po lesie
Głos się niesie.
Leci wskroś po rosie.
I na zorzy
Sen się złoży,
A cudny. uroczy.
Że chcesz prawie
Śnić na jawie,
Żal otworzyć oczy.
I zasypia, stary żołnierz
Do białego ranka,
Aż się skończy sen cacanka,
Złota malowanka.
Torba jego
Koło niego,

A w torbie chleb suchy;
Na swobodę żołnierzowi
Gdzieś się gonia muchy...
Nie przeminieć co minęło,
Nie wydrzeć z pamięci;
Choćby człowiek rad zapomnieć,
Wraca mimo chęci.
Tyle czasu przeminęło,
Mój ty mocny Boże!
Plug zaorał ludzkie kości
A serca nie może...
Cud prawdziwy,
Wstają dziwy,
Podnoszą się z ziemi,
I to słońce Raclawickie
Świeci się nad niemi.
Jak przed laty jasno, krasno,
W polu uroczyście,
Wyrastają dawne czasy,
Jak wiosenne liście.
Młoda wiosna
Niesie krosna,
Świeżą trawę miękką,
Konwalije
I lilije
Dzierzga złotą ręką.
Ciepły wietrzyk jej pomaga
Wiejąc od zachodu;
Kwiat się wdzięczy,
Pszczoła brzęczy,
Będzie, będzie miodu.
Woda wzbiera,
Radość szczera
W piersi ludzkie wchodzi;
Przez mokrzydły
Długoskrzydły
Nasz gospodarz brodzi.
Coś to będzie. coś to będzie,
Prosty naród gwarzy;
Wcześniej lato zawitało,
Może Bóg co zdarzy.

A też orły, co na wschodzie
Krażyły, latały:
Ruski, pruski, austriacki
I nasz polski biały...
Jak się biły nad obłokiem,
Widział naród wszelki;
Jaka była bójka sroga,
I jaki krzyk wielki.
I nasz biały,
Okazały
W górę się wywinał,
W samo słońce
Gorejące.
Poszedł gdzieś i zginął...
Krażą we dnie
Przepowiednie,
A w nocy sny złote;
Miód się leje,
Młódź się grzeje,
Pije na ochotę...

Jędrzej stary, bardzo stary,
Co po nocach siada
I wciąż słucha,
Skąd wiatr dmucha,
Znów o Polsce gada.
Coś go dreczy, jakby zmora,
Z rana do wieczora;
O północy budzi ludzi:
„Do wstawania pora!...”
Przez trzy lata nic nie prawił,
Barciami się bawił,
Teraz barcie pozostawił,
A kosę oprawił.
Gdy młódź płasa,
Dziad potrząsa
Głową siwowłosą,
I Niemiaszy
Wzrokiem straszy,
Biały jak śmierć z kosą,

Bąki bębnią w rokicinie,
Z góry woda płynie,
A staremu śni się w głowie,
Że bębnią w dąbrowie.
Na krzyk ptasi
Woła Basi
W polu zaśpiewanej:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Nikt nie wierzy ojcu zrządzie,
W kraju cicho wszędzie;
Przecież serca przytakuja,
Jednak to coś będzie.
Bo co dziecko się urodzi —
Krakowiaczek czysty;
Bo co owca się okoci —
Baranek wełnisty.
A na cóż się chłopcy rodzą,
Jeśli nie na wojnę?
Z taką rzeczą po wsi chodzą
Kumy niespokojne.
I tak dzień po dniu przemija,
Słońce się wybija;
A czy ujrzy oko czyje.
Jak się kraj wybije?
Może też to wszystko baśnie,
Ludzkie mowy próżne
Złote baśnie dziecię plecie,
Jak to kwiecie różne...

Oj! nie wszystko próżne mary,
Co się człeku marzy,
Przyplynęły trzy galary
Krakowskich węglarzy,
Przyplynęły trzy galary,
Na nich ludzie czarni;
Lecz gdy w sercu twem nie czarno,
K'sobie ich przygarnij.
Przyplynęły z dobrą wieścią,
Jak bociany z wiosną,

A ludzie się przysłuchują,
Aż im serca rosną.
I porosły im tak serca,
Że aż pierś rozparły,
Radeby już wyskoczyły,
Rade się wydarły.
Nad obszarem,
Rankiem szarym
Wschodzi jasna zorza,
Zorza wschodzi z poza świata,
Kościuszek z za morza.
Ptak szczebiota,
Zorza złota
Pobudziła ptaki,
A Kościuszek budzi ludzi,
Krakowskie wieśniaki.
I było tam ludu wiele
Przed Panną Maryją:
Trąby grają, serca tają,
Straże w bębny biją;
A pośrodkiem
Z licem słodkiem,
Jak chłopiec pośledni,
Polak dzielny,
Wódz naczelny,
Za nim ludzie biedni.

I przystanął przed kościołem
I przysiągł się Bogu,
Że nam wszystkie krzywdy nasze
Odbije na wrogu.
Przysięgli mu posłuszeństwo
Na tę Bożą mękę,
Wszyscy zgodnie na starszeństwo
Wyciągnęli rękę.
Podpisali Krakowiany,
Radne pany stare.
I chłopcy się zapisali
Krzyżem na ofiarę;
Duszą, ciałem,
Sercem całym,

Polski lud się łączy:
Ma się skończyć nasza bieda,
Niechże raz się skończy.

I zadzwonił na Wawelu
Stary Zygmunt z wieży;
Niewstrzymany, rozmachany
Głos po kraju bieży.
Rosa rosi,
Wiatr roznosi
Radość niepojętą;
Dzwon poleźny,
Lud przysiężny,
W Polsce wielkie święto.

Bodajże was, bodaj, bodaj,
Węglarze! węglarze!
Za to z wami Krakowianka
Potańcuje w parze.
Serce bije niecierpliwie,
To groźno. to rzewnie;
Lada ranie.
Na powstanie
Przyjdzie rozkaz pewnie.
Alboż nam to na pańszczyznę,
Albo na odrobek,
Wszak to bracia za ojczyznę,
Woła ojciec Sobek.
Posprzedajmy woly z wozem,
Sprzęty i poduszki,
A ruszajmy za obozem
Naszego Kościuszki.

Kowalczyki ognia krzeszą,
Aż się serca cieszą;
Przyciągnęli wóz okuty
Ze starą lemieszą,
Takiej pracy, Krakowiacy,
Polska nie pamięta;
Kowal kuje,
Nie żartuje,

Kują kowaleta.
Szy na szczęka,
Gnie się, pęka,
Kowale się poca;
Co rozpala.
Ciagną, wala,
Młotami łomocą:
Łupu cupu raz po razie,
Pot zalewa oczy,
To młot grzmotnie po żelazie,
To iskra odskoczy.
Przez dzień cały biją młoty,
Odpowiada blonie;
Jedni kują kosy, groty,
Drudzy kują konie.
Gospodarskie
Konie dziarskie
Od wozu odprzęgli,
A węglarze noszą wory
Laryszowskich węgla.

Hej bocianie, ty bocianie,
Ty moja pociecho!
Stoisz ci ty, dumający,
Nad wieśniaczą strzechą,
Stoisz ci ty, ptaku miły.
Od rana do zmierzchu,
Powiedźże mi przyjacielu.
Co tam widać z wierzchu? —
Madry bociek
Myśli dociekl,
Wejrzał na wsze strony,
Zmrużył oko
I szeroko
Rozwarł dziób czerwony.
Gardło wygiął z całej siły
I poczał kołatać.
Aż się wzięli wszyscy ludzie
I bociany złatać.
Maszeruje polskie wojsko
Prosto od wiatraku

Czerwienią się chłopskie czapki,
Jakby nasiał maku.
Jedzie, jedzie nasz Kościuszko,
Pod nim konik siwy;
Co naczelnik, to naczelnik,
To już nasz prawdziwy.
Polska dusza w polskim ciele
I w polskiej sukmanie,
Jedzie, wiedzie na Moskali
Krakowskie powstanie.
A lud za nim
Z przyśpiewaniem
Jak pszczoły za matką,
Nie założy chłopu drogi
Niemiecką rogatką.

Na wojenkę
Kosa w rękę,
Kobiałka przez ramię,
A na piersi w imię Ojca
Przenajświętsze znamię.
I niech teraz deszcze leją,
Niechaj sypią grady,
Chłopi grzmocą,
Dniem i nocą,
Bo już niema rady.
Nikt nie zgadnie co przypadnie,
Siła ludu padnie;
Czyja kosa nie tknie prosa,
Co mu wschodzi ładnie.
Nikt kalectwa nie nagrodi,
Ni wielku niedoli,
Tylkoć że to za ojczyznę
I rana nie boli;
I to szczudło nie zacieży
I torba dziadowska;
Kto wziął rany,
Ten kochany,
Na tym ręka boska.
Gospodarzy
Jak Bóg zdarzy,

Kraj zasila chlebem,
I czuć kmięcia polską ziemią,
Polskę słyhać niebem.
W cudze strony
Zapędzony,
Przez dziwne koleje,
Polskie wichry z tej sukmany,
Polska słota wieje.
Różni ludzie przychodzili,
Po drodze stawali,
Wedle stanu na ojczyznę,
Co mieli, dawali.
Szlachcic przywiódł konia z rzędem
Od srebra, od złota;
Na wojaka jedynaka
Niewiasta sierota,
Pokłoniła się do ziemi
Przed starszymi wdowa,
Chciała gadać, rozpowiadać,
Zabrakło jej słowa;
Jedno tylko wymówiła,
Rzęsną łzą zalana:
Lat szesnaście chłopiec skończy
Na świętego Jana.

Do Raławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery,
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniory.
Przed narodem
Ludzie przodem,
Dwie chorągwie niosą:
Na czerwonej
Wyrobijony
Złoty snopek z kosą;
A na białej,
Srebrnej całej,
Czystem złotem dziana
Matka Boża niebios Pana
Stawia na kolana.

I wiatr wiewa
Koło drzewa,
Chorągwią przewija:
To snop świeci
W oczy kmieci,
To matka Marya.
I głos bieży
Na wiatr świeży
W oddaloną stronę:
Jak łza dziecka,
Pieśń nie świecka,
Pod Twoją obronę...
Idą, idą prostą drogą,
Chorągiewki warczą,
Rwą się konie
Ku tej stronie,
Wstrzymać ich nie starczą.
Przypatrz-że się chłopię małe
Tej polskiej konnicy,
Byś wiedziało,
Jak to śmiało
Patrzą wojownicy,
Jakie konie,
Jakie bronie,
Jaki przyodziewek;
Przyglądaj się polskim twarzom,
Ucz się polskich śpiewek.
Kosyniery,
Naród szczery,
Choć to nie żołnierze;
Ale u nas wszystko żołnierz,
Co broń w rękę bierze.
Podkówkami krzeszą, spieszą,
Za ojcem Kościuszkiem;
Jedni ludzie ciągną drogą,
A drudzy przydróżkiem.
Ów przygrywa,
Czapka siwa

Na bok mu się zwiesza;
Skrzypka mała
Byle grała,
Żołnierza pociesza...

Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery,
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniery.
Przyciągnęli przed kościółek,
Aż ksiądz stoi w progu.
Mili bracia, rzekł Kościuszko,
Pokłońmy się Bogu.
Jakby wichur nagły powiał
Pośrodkiem dąbrowy,
Schylili się wszyscy ludzie,
Czapki zdjęli z głowy.
I pod ścianą
Malowaną
Ustawili kosy,
Jak ustawia dziecię w lecie
Złote zboża kłosa.
I w natłoku
W każdym oku
Radość i swoboda;
Kmiecej pięści
Bóg poszczęści,
W bitwie mocy doda.
Kosyniery, pikiniery,
I polska piechota,
Matka Boska patrzy na nich,
Suknia na niej złota;
Z srebra lana,
Pozłacana
Maryi sukienka;
Oj! laskawie mówi prawie
Najświętsza Panienka.
W każdą stronę
Obrócone

Oczy wciąż powleka;
Kto się żali,
Choć z najdalej
Dopatrzy człowieka.
A kto aby raz przez życie
Wzrok Maryi spotka,
Już mu bieda
Czuć się nie da,
Każda łza mu słodka.
Przed obrazem sam najpierwszy
Naczelnik przyklęknie,
I pokłoni się do ziemi,
Ręce złoży pięknie.
A lud sobie dobrze wróży:
Uważają swoi
Ze Moskali ten pobije
Kto się Boga boi.
To na obraz, to na wodza
Obracają oczy,
A prostacze dobre serce
Mało nie wyskoczy. —
Spogląda się świata Pani,
A ciemne jej lica
Jakże cudnie
W przypołudnie
Słoneczko oświeca.
I na twarzy u Maryi
Krwawe nikną blizny;
Za przyczyną Marji zginą
Boleści ojczyzny.
— Idźże teraz już bezpieczny,
A nie bój się o nic;
Nie od miecza wróg uciecze,
A od kmiących kłonic.
Znam ja twoją polską duszę,
Naturę krakowską,
Zanim ona była polską,
Pierwej była boską:
Nosilaś cię na tem ręku,
Nimeś się urodził;

Nosiłam cię, wodziłam cię,
Żebyś swoich wodził.
Nie napróżno ci dawano
Niedolę tak rano;
Nie nadarmo między swemi
Psami ze wsi szczwano;
Nie nadarmoś świat obieżał,
Doświadczył boleści.
Żebyś nie miał poczuć w duszy
Że cię Pan Bóg pieści;
Nie nadarmo łażą się stacza,
Smutek serce gniecie:
Spojrzyjże mi teraz w oczy,
Rozśmiejże się dziecię. —

Więc Kościuszko taki cichy
I pełny wesela,
Patrzy jako płaszek lichy
W matkę Zbawiciela.
Madaliński się zadumał
Na pałaszu długim,
Zadumał się nad pałaszem,
Jakby chłop nad plugiem.
Co tak dumas, Jenerale?
Co się dzieje tobie?
Polska sprawa — boska sprawa:
Daj ty pokój sobie.
Choćbyś myślał i nadmyślał,
Jak Moskali pobić:
Jak Polakom przeznaczono,
Tak się musi zrobić.
Kto uwierzy, kto wydzierży,
Ten pewno nie zginie;
Jeśli w własnej krwi utonie,
To w niebie wypłynie.

Murowany kościół stoi,
Wrota modrzewiowe,
Nasz Dobrodziej do narodu
Powiedział przemowę.
Co powiedział, to powiedział,
To już tak do wnętrza.

Tak powiedział do każdego
Co Matko najświętsza...
Polskie dzieci, kosyniery...
Ojczyzna kochana...
A pod naszym naczelnikiem
Trzęsły się kolana,
Na twarz spadła iza gorąca,
Żal serce rozkrwawił,
A on niby się od słońca
Czapeczą zastawił.
Nie zakryjesz twej żalości
Naczelniku słodki,
Wydadzą cię twoje kości
Drżące jak polotki.
Jak Dobrodziej lud przeżegnał
Złocistą patyną,
Jak powiedział, że Polacy
Nigdy nie zaginą:
Jakby z serca krakowskiego
Odpadł kamień młyński,
Wiwat, krzykną, nasz Kościuszkę!
Wiwat Madaliński!

Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły palasze;
Maszeruje opłotkami
Polskie wojsko nasze.
Maszeruje, nie żartuje:
Kraj jak malowany;
Idą nasi. w trąbki grają,
Biją w tarabany.
Opłotkami, szeregami,
Konnica, piechota;
Małe dzieci zadziwione
Patrzyły z za płota,
Powłaziły na gałęzie,
W te zielone gąszcze,
I na wierzbach, na topolach,
Siedziały jak chrząszcze.
Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi:

Lecz Kościuszki nie poznali,
Bo był jak i drugi.
A ci ludzie co poznali,
To mówili sobie:
Że też taka wielka dusza,
W tak małej osobie. —

Kołem, kołem, po nad siołem
Kraży sokół siwy,
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.
Wyciągnięty, jak rozpięty,
To skrzydłami wzruszy...
Popatrzał się nasz Kościuszko,
Nie ma żywej duszy.
— Chociaż nie ma żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika,
Co zna wszelkie drogi;
Trza mi człeka nie zdaleka,
A z tej samej wioski,
By prowadził a nie zdradził,
Ten naród krakowski. —

Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt, gospodarz setny,
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.
Ten choć oczy dawno stradał
W okropnym pożarze,
Gdzie co leży, jak należy
Dokładnie pokaże.
Krzywym węzem się podpiera,
Ręką na wiatr maca,
I przez ścieżki nieznajome
Drogę sobie skraca.
— Już ja dawno słyszał o tem.
Rzekł ściągawszy ręką,
Żeście, ojcze, pokarali
Moskwę pod Dubienką.
A pierw jeszcze powiadali,
Jak to po zwyczaj,

Zeście kędyś wojowali
Aż w murzyńskim kraju,
Ze wam pereł uryjańskich
W podarunku dano,
Jakby grochu łuszczanego
Węborek w kolano.
I że za te perły drogie
W morzu wybierane,
Przyjechaliście wykupić
Ojczyznę kochaną. —
A Kościuszko z wdzięcznym śmiechem:
Serdeczny ojczuł,
Gdybyć można garścią pereł
Ująć Polsce bólu...
Lecz że kraju nie wykupić
Gdy go wróg przywłaszczy,
Jak jagnięcia nie wyprosić
Z głodnej wilczej paszczy,
Więc już szczerze jak żołnierze,
Przy pomocy nieba,
Utraconą Polskę naszą
Krwcią odkupić trzeba.
Krwcią przeczystą, nie pogańską
Ale chrześcijańską,
Każdą kroplą odważoną —
Perłą uryjańską:
Takiemi-to perły, ojcze,
Co nam w żyłach płyną,
Wykupimy Polskę naszą,
Mateczkę jedyną.
— Prawdać, prawda, Naczelniku,
Na mój rozum kmięcy:
Kto chce na chleb zapracować,
Musi zgarbić plecy.
Niechżeć tedy Bóg pomaga
I Matka Gidelska,
W polskiej roli wyorana
Królowa Anielska;
Niechżeć tedy... — i przycichnął
Starzec siwowłosy,

Wbił kolana w grząską ziemię,
Ręce wzniosł w niebiosy,
I na oczy pociemniałe
Co nie widzą słońca,
Na te smutne oczy białe,
Wyszła łza gorąca...
I przygarniał pożółkłemi
Dłońmi wietrzyk polny,
I brzęk szabli narodowej,
I głos pieśni wolnej...
Madaliński i Kościuszko,
Piechota, ułani,
Stali nawpół rozrzewnieni,
Nawpół zadumani.
A cóż mówisz Jenerale?
Wszakto szlachcie prawy!
I potoczył po narodzie
Wzrok serdecznie łzawy.
Matko Boża, pani świata,
Ojcze Zbawicielu...
A serce w nim zakołata,
Jako dzwon Wawelu:
Co przepadło, to przepadło,
Co żywe to żywe,
Nie nadobne co nadobne,
Lecz co sprawiedliwe.
Dziadku! dziadku wstańcie z ziemi. —
Lecz starzec nie wstaje,
Tylko ręką na powietrze
Nieme znaki daje:
— Idźcie, idźcie, prostą drogą,
Idzie z wami taki.
Co z rozkazu Matki Bożej
Prowadzi Polaki.
Idzie, idzie po powietrzu,
Ziemi nie dotyka...
A mnie dajcie ucałować
Ręce Naczelnika... —
I odwieśli na bok dziada,
Dziatwa na koń siada;

Mgła w dolinach się rozrzedza,
Opada, opada.
A z podemgły rozpędzonej
Jakby skrzydłem ptaszem,
Kraj szeroko się wynurza
Siwem polem naszym:
Krzemienisty, kamienisty,
Pełen traw i wzgórzy,
Przecinany, poszarpany,
Jak po wielkiej burzy.
A gdzieś w ciszy złotej
Której nic nie budzi,
Stoją brzozy, jak sieroty
Po odejściu ludzi.
Mgła opada po nizinach,
Leci za kraj świata,
Anioł boży z dolin, wzgórzy,
Siwe mgły rozmiata.
I wyczyścił całe pole
Jak oka źrenice,
I pokazał... tam Moskali,
A tu Racławice.

Widać, widać ich szeregi,
A moc tego wielka;
Lecz nad nami, Polakami
Boża Rodzicielka.
Nasz Tadeusz dobył szabli,
Za nim wszyscy wodze,
I żołnierza het do krzyża
Szykują po drodze.
A gdy wojsko ustawiali
W szyku należyty,
Konik siwy niecierpliwy
Ziemię rwał kopytem.
I wysunął się Kościuszko
Na przodek szeregu,
I zawołał: — wiara bracia,
Od brzegu do brzegu,

A najpierwej wy wieśniacy,
Polski ludu rolny!
Widzisz Moskwę — to niewola,
Bij a będziesz wolny.
My tu bracia na swej ziemi,
Ziemia to krakowska;
Nasza Polska i nasz krzyż ten
I rola ojcowska.
Czy nam zagon ten nie miły
Uznojony pracą,
Żeby Moskal go zabierał
Jeden Bóg wie za co?
Wiara bracia przez Bóg żywy,
Kto Polak prawdziwy
Niechże będzie już nie mściwy,
Ale sprawiedliwy.
Puszczać kosi na te chwasty
Co nam pola gluszą,
Kochać Polskę nie połową
Ale całą duszą. —
Czyście dobrze zrozumieli,
Dobrze wysłuchali?

— Zrozumielim, Naczelniku,
Trzeba bić Moskali!...
Jezus Marja, hasło nasze,
Jezus Marja! wrzasną;
A na rżysku od kos błysku
Zrobiło się jasno.

Kiedy naszym powiadają
Jak żelazo trzymać,
Jak należy spuszczać kosę,
Jak wysoko imać
Żeby sobie nie zawadzać,
W kosi nie uderzać,
Jak potrzeba razem spuszczać,
Razem się zamierzać:
Aż coś ciągnie z po za wzgórza,
Gościńiec zakurza,

Jak szeroko ciągnie oko,
Siła tego duża.
Jeden mówi do drugiego:
Wolarz pędzi woły,
Poganiają wolarczyki
Dębowemi koły.
Drugi mówi do trzeciego:
Pewnieć woły bure,
Bo przegląda coś burego
Przez tę pyłu chmurę.
A toć nie co, jeno woły
Ciagną środkiem drogi,
Bo przez prochy
Widać trochy
Pokręcone rogi. —
Gdy tak ludzi
Wzrok nie ludzi,
Kościuszek przypada:
Walić mi tam w tę gromadę,
Co się pod nas skrada. --
Więc piechury jak się złożą,
Jak oka przymrużą,
Jak nie grzmotną siękańcami
W tę gromadę dużą,
Jak nie pójdzie kul gromada,
Po bokach pogłaszcze:
Aż tu widać, że to bure,
To moskiewskie płaszcze;
Aż tu widać, że te rogi
To nie rogi krzywe,
Lecz moskiewskie zakończone
Bagnety prawdziwe;
Aż tu widać nie wolarzy
Z dębowemi koły,
Lecz moskiewski starszy w górę
Trzyma palasz goły.
Grzmia po polu kottów huki
Jeno palka skaka,
Na odpustach się tej sztuki
Uczą od chłopaka.

Kocioł duży, dobosz mały,
Nic mu to nie wadzi,
On sam jeden naród cały
Myśli że prowadzi,
Obozowy trębacz siwy
Dziarsko a ochotnie
Do ust przymknie trąbki krzywej
Sygnalówką grzmotnie.
Od terema do terema
To bliżej to dalej,
Bitwa bracia, śmiechu niema,
Hurra! na Moskali.

Gdzie najwięcej ludzi pada
Tam Kościuszko leci,
Porządkuje, rozkazuje:
Trzymajcie się dzieci;
Żeby my to jeno sami,
Toby mniejsza o to,
Lecz cóż będzie z Polakami,
Z ojczyzną sierotą?...
Więc się nasi wyciągają,
Co zginie, to zginie;
A armaty wciąż im grają
Jak bas na marynie.

Wiele złego na jednego;
Kościuszko spogląda:
Żeby chociaż trzy armaty...
Tego mu się żąda.
Szczęście nasze że mgły ciągną,
Że się dymy klóćą,
Bo gdy zoczą z kim bój toczą,
Czapkami zarzuca...

Coraz częściej, coraz gęściej
Kozactwo napada,
Wypuszcza się na prześpiegi,
Choć krzywdy nie zada.
Nie pomoże mocny Boże,
Tylko tak być musi,

Jak Moskala my nie zdusim,
To Moskał nas zdusi.
Popatrzał się nasz Kościuszko
Na mgliste niebiosy,
Zaplótl palce kłopotliwie
W swoje długie włosy.
Sztandarowym rzucił słowem:
By chorągwi strzegli,
A gdy jeden z rąk wypuszcza,
Drudzy wraz podbiegli.
Bracia śmielej, niech się bieli
Choć podarty w szmatki;
Póki sztandar na wiatr wieje,
Poty naszej matki.
Krótco cugle wziął do ręki,
Wpakował ostrogi,
Siwy konik stanął dęba,
Na obiedwie nogi.
Wstrząsnął grzywą,
Parsknął żywo,
I puścił się pędem,
Gdzie za wzgórzem kosyniery
Stali jednym rzędem.

Stach Świstacki stał na prawem,
Głowacki na lewem,
Jak ów stary Waligóra
Podpierał się drzewem;
Długie wasy mu spadały
Aż na białą świtę,
Na koszulę rozrzuconą,
Piersi nie zakryte.
Ten choć słówka nie przemówił,
Cały czas się żyzmał,
To raz kosę na ramieniu,
To ją w ręku trzymał;
To wywijał nią — jak piórkiem
Pisarz po papierze;
To jak stary się zamyślał,
Gdy na rozum bierze;

Więc gdy ujrzał naczelnika,
Ze samowtór spieszy,
Ucieszył się jak się dziecko
Matce nie ucieszy,
I zaśmiał się całą gębą
Jak to Krakus umie,
Kiedy przecie raz na świecie
Jakaś rzecz zrozumie;
I wyciągnął głazik mały
Z obszytej kieszeni:
Cienko kosa zaostrzona,
Trzeba jeszcze cieniej,
I pośrodku i na przodku
Jak ongi do sieczki...

Podniosły się przed Kościuszką
Na kosach czapeczki,
Pokłonił się naród wiejski.
Jak zboże w wietrzyku,
Wiwat! krzykną, najmilejszy
Ojcze Naczelniku.

Niechże będzie pochwalony!

Na wieki! odwrzasną —
A na rżysku od kos błysku
Zrobiło się jasno.
— No cóż wiara Krakowiacy,
Jakże wam się widzi?
Czy się Polak dziś powstydzi?
— Zaś się tam powstydzi!
Jeszcze takie, naczelniku,
Prawo nie nastało,
Żeby się to polskie wojsko
Moskiewskiego bało.
Niech docina, nie nowina
Krakusowi z kosą!...
A toć prawda — nie nowina!
Krzyki się podniosą.

Więc Kościuszko nasz serdeczny
Za odpowiedź taką,

Poczęstował Bartłomieja
Fajką i tabaką.
Sam mu podał swoją ręką,
Ani pożałował,
Sam nałożył i założył,
Sznurek przymocował.

I przyklękli, w kosy brzękli,
Jak zwyczajnie młotkiem.
A Kościuszek między ludźmi
Przejeżdżał pośrodkiem.
A cóż mi to za wesele,
Gdzie niema skrzypicy?
Więc wyskoczył chudy duda,
I dwaj kobeźnicy,
I skrzypiciel — ukochany
Od narodu wielce,
Co mu skrzypce u sukmany
Wiszą na pętelce.
A gdy Bartosz czapkę w górę
Wyrzucił nad głowy,
Że już teraz za ojczyznę
Polski lud gotowy...
Jak nie hukną kobzy, dudy,
Skrzypka jak nie utnie,
Jak się nasi Krakowiacy
Nie puszcza okrutnie,
Od radości aż zadrżała
Ziemia poorana,
A wciąż pieśń się odzywała:
Danaż moja dana!
Idą, idą, chylą głowy,
Uśmiechają lica,
To zabrząknie kosa pięknie,
To utnie skrzypica;
To ich dymy w pół przestonią,
To słońce oświeci,
Wiara pędem równym rzędem
Po pagórkach leci.
I piosenka wciąż dolata,
Cichym wiatrem gnana:

Danaż moja dana, dana,
Ojczyzno kochana.

Więc Kościuszko stojąc w mierze,
Weseli się szczerze,
■ Przy nim stoi Madaliński
I polscy żołnierze.
— Z nimi, z nimi dla tej ziemi
Wstaje zorza nowa:
Nowa szlachta, jenerale,
Bartosz z pod Krakowa. —
Jeszcze zdala raz ostatni
Przez góry, parowy,
Rozbija się wdzięczna nuta
Pieśni narodowej,
Jeszcze — jeszcze raz wystawa
Na skraju pobrzeża,
Stach Świstacki, Krakus gracki,
Jak Marjacka wieża.
I ostatni raz powtarza
Rola mgłą zawiana:
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzno kochana.
Uderzają... Jenerale,
Przycichł grzmot armatni,
Jeszcze jeden wystrzał pada,
Słyszycie! ostatni...

I zniżyli kornie głowy
Przed zrządzeniem Bożem,
A wiatr dymem wśród dąbrowy
Kolysał jak morzem.
Chwytał kłęby białe, szare,
Na lasy roznosił,
Po nizinach zabłąkane
Pozwiewał, pokosił;
I odsłonił na zachodzie
Słońca głowę krasną,
Na niebiosach i na kosach
Świecące się jasno.
Jakby się tam podnosiły
Skrzydła ptaków srebrne.

Wietrzyk chłodzi, słońce schodzi,
Już też niepotrzebne.
Komu Pan Bóg błogosławi,
Temu się i wiedzie.
Idzie sobie Stach Świstacki
A Głowacki jedzie.
Jedzie, jedzie na armacie,
Na smoku mosiężnym,
Czapką wiewa, a lud śpiewa
Głosem tak potężnym
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdąsana:
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzno kochana,

I stanęli przed Kościuszką
Krakowiacy śmiali,
Do nóg mu się poklonili,
Potem zaśpiewali:
Kto za ciebie matko nasza
Zdrowia pożałuje,
Niech mu tego przy skonaniu
Pan Bóg nie daruje.
Ojczy miły, naczelniku,
Przynosimy plony,
Osiem armat na wojenkę,
A cztery na dzwony;
Żeby codzień na świat biały
Brzmiały dzwony z wieży,
Na te wioski okoliczne,
Na ten wietrzyk świeży.
I żeby też Panu Bogu
Była za to chwała,
I tej Matce Przenajświętszej,
Co nam sił dodała.
Oj! było tam pracy, było,
Ale już nic niema.
Ot tak ojczy się robiło:
Ramiony obiera.
I nic nam się nie zdarzyło,
Wszystkie kości zdrowe,

Tylko że się osmaliło
Pawie piórko nowe.
Więc Kościuszko po kolei,
Ze Stachem, Bartoszem,
Radby się był chętnie dzielił
I ostatnim groszem;
Ale że to Polak szczery
Na złocie nie siedzi.
Przy swej duszy nie miał więcej
Jak trzygroszniak z miedzi.
Więc się dzielił polskiem sercem,
Dzielił dobrem słowem...
Oj tęsknoż to za tą Polską,
W Polsce za Krakowem!

Cale pole oczyszczone,
I tylko po stronie
Ówdzie leżą ludzkie ciała,
Ówdzie leżą konie.
Po hułanie, dzielnym Janie,
Żalobą okryty,
Z opuszczoną wraca głową
Konik jabłkowity.
A po drugim, co za smugiem
Spoczywa pod brzozą,
Tobie w chacie, młodszy bracie,
Złoty krzyżyk wiozą.
Na trzy chłopcy wykopali
Mogilę głęboką,
Na trzy chłopcy wysypali
Mogilę wysoką.
I kosarze gospodarze
Na kosach oparci,
Zaplakali swoich braci;
Bo też tego warci.

Oj! milują nasi ludzie,
Chociaż tacy twardzi,
A już tego sam Bóg kocha,
Kto kocha najbardziej.

I wróżyli różni ludzie,
Ten to, drugi owo,

I Kościuszko też powiedział
Jedno małe słowo:
Dajże Boże ludziom szczęście
I co komu mile,
A mnie niechaj kosyniery
Wysypią mogiłę,
Żeby matka powiadała
Ciekawemu chłopcu
O tej bitwie Raclawickiej
Usiadłszy na kopcu...
Czyli zginę między swemi,
Czy nie między swemi —
Nasypcież mi na mą trumnę
Raclawickiej ziemi. —
Cudza ziemia cięży człeku,
Swoja ziemia lekka,
Jakby jakie ludzkie ciało
Cała krwią przecieka;
Jakby jakie matki oko
Tyle łez ma w sobie,
To i dobrze Polakowi
W takim leżeć grobie...
Mgły powstają nad wieczorem,
Mokra pada rosa...
W górę, w górę naczelnika!
Poszedł krzyk w niebiosy,

I podnieśli go jak piórko,
Jak ptaszynę pełną;
Jak z miłości, to z miłości,
To i wszystko wolno.
Stach go trzymał na ramionach,
Bartosz suchożyły;
Chorągiewki powiewały,
Kosy się świeciły...
Gdzieżeś nasza Polsko miła,
Straszne sądy Boże...
A ty świecisz wciąż miesiącu
Na niebieskim dworze.
Świeć miesiącu na te góry,
Lasy i krynice,

Niech się srebrzą, niech się zlocą,
Nasze Racławice.
Na tem polu, na tej roli
Polakom nie wstydno,
Kto za Polskę krew oddaje,
Niech mu będzie widno.

Święta cisza na pagórkach,
Ranny wietrzyk dnucha,
Obudził się stary żołnierz
Spogląda i słucha.
Ani słychu, ani dychu
W dalekiej dąbrowie,
A tu jeszcze: danaż dana,
Szumi w starej głowie.
Omamienież to prawdziwe,
Czary oczywiste!
Kolyszą się, krzyżują się
Dęby gałęziste.
Oj nie żadne omamienie,
Nie żadne to czary,
Całą nockę z nim przegwarzył
Dąb Kosynier stary,
I nim ze mgły porankowej
Chmurne czoło przetrze,
Konarami, gałęziami
Przeciąga się w wietrze.

SPOWIEDŹ W CYTADELI.

Wdziawszy na siebie komeszkę białą
Opuścił celę zanim zadniało,
I szedł spowiadać ojciec duchowny.
Serce mu ścisnął żal niewymowny
I czoło starca zasępnął srodze;
Nie pierwszą duszę ku wiecznej drodze
Miał Chrystusowem słowem pocieszać,
Nie do pierwszego księdzu pospieszać,

A nigdy stopy nie stawiał trwożnej,
Nigdy tak nie drżał starzec pobożny...
I ksiądz się żegnał i szeptał w skrusze
„Zdrowaś Marja” — za biedną duszę.
A choć tak szaro, tak jeszcze rano,
Tu ówdzie postać dopatrzył znaną,
A wszystkie smutne narodu twarze;
Więc ksiądz przyklęknął chwilę przy tarze,
Na czoło zsunął kaptur szeroki,
Rady uniknąć spojrzeń na boki,
I szedł, jak gdyby liczył kamienie,
Pospiesznym krokiem pod domów cienie.
Znać, że mu słowa spokój mieszały;
Tam się gdzieś lufcik zatrzasnął mały,
Tam się westchnienie z piersi rozkuło,
Serce nie kamień, żeby nie czuło.

Przy księdzu żandarm z torbą skórzaną,
Postawą trwożył wyprostowaną.
I tak szli dalej, aż za zdrojami,
Aż za polami, aż za wałami,
Przebywszy bramy, mosty zwodzone,
Weszli w budynki ciemne, sklepione.

Długi korytarz, więzienie znane
Te drzwi zielone, numerowane.
Tam lampka mruga, tam schody, prycza,
Szyldwacha postać gdzieś tajemnicza
Zaglądająca w więzienną głąsę,
Djabła, co czycha na dobrą duszę,
Mignie przed okiem w szarym mundurze,
Cień się bagnetą złamie na murze;
Kędyś kajdany słysząc w głębinie,
Nim ucha dojdzie, i brzęk już zginie.
Drzwi otworzono... wyschły, wybladły,
Oczu błyszczących, twarzy zapadłej
Siedział młodzieniec; okute dłonie
Na krzyż złożone trzymał na łonie,
Nad bladą skronią ciągną się górą
Niebieskie, czyste żyłki pod skórą,
Jak gdyby myśli przez żywot cały
Niebieską drogę powykreślały.

Oczy głębokie, wskroś przejmujące.
Znać, że się długo patrzyły w słońce,
Gdy z ich spojrzenia taki czar pada,
Że i oniemia i wraz owłada.
Twarz ta uwagi widza nie wstrzyma,
Śmieje się, mówi, żyje oczyma.
Nad nim wysoko na świt słoneczny
Okno zatarte jak we mgle wiecznej;
Przy takim oknie izby więziennej
Tyle jest światła co w mgle jesiennej,
W której wzrok ślepie, a ciała mokną,
I takie zwie się: czyścowe okno.

Imiona więźni — znane, nieznane.
Na murach izby powykreślane;
Wróg je zostawia, ze ścian nie maże:
Izby te zowią się przedementarze...
I z nichby można ułożyć listy,
Szereg szlachetnych dusz promienisty,
Postaci, które przez ten wiek cały,
Na Sybir drogę wydeptywały.
Imiona polskie, nieznane w życiu,
Po zgonie głuchną w śniegów ukryciu,
Albo się piszą po rudy łamach,
Piekielnych ścianach, kopalni bramach.
Od okna w górze aż do posadzki,
Okrutny, długi pamiętnik lacki;
Imiona owe w takim natloku,
Tak się prosiły przychodnia wzroku,
Jako na grobach szare kamienie
O Zdrowaś Marja i o westchnienie.

Ale nimich nawet nie spojrzał na te,
Powolnym krokiem przeszedł komnatę,
A chwalił bożej gdy wyrzekł słowo.
Więzień mu odparł schyloną głową;
Na wchodzącego księdza wzrok rzucił,
A znać się bliską śmiercią nie smucił,
Kiedy pogodny, żalu daleki,
Na „pochwalony“ odrzekł „na wieki“
Z taką swobodą, z taką miłością,
Że aż się w księdzu zeszła kość z kością,

Tak zadrżał w sobie ów mnich z klasztoru;
Była w tym głosie wiara, pokora,
I taka czystość prostacza, błoga,
Kiedy zobaczył księdza u proga,
Jakby dla niego poranek wstawał
W którym się będzie tchnieniem napawał
Tych łąk wzruszonych błogim wietrzykiem,
I uszy cieszył skowronków krzykiem. —

„No, luby synu, zbierz myśli swoje,
Módl się i żałuj za grzechy twoje.
Pan Bóg odpuści i z duszą czystą,
Wejdiesz na drogę życia wieczystą;
A jeślić wielkie nie ciężą grzechy,
Przyjmij odemnie słowo pociechy“.

„Dobrze mój ojcie, zaczynaj spowiedź,
Daj za pytanie, ja dam odpowiedź,
Bo w życiu — z smutnym dodał uśmiechem —
Nie wiem, co zowią dobrem, co grzechem“.

— Czy uniknąłeś dusznej zaguby?
Czyś nie zawierał bezbożne śluby?...

— O tak, zawarłem ślub z matką moją,
Tak mnie łudziła pięknością swoją,
Z ojczyzną, moją matką prawdziwą,
A dziś zostawiam tę nieszczęśliwą,
Na rozwód widzisz z lubą się godzę,
Zrywam z nią związki, idę, odchodzę;
Ona zapłaczę, a ja przebaczę
Temu, co sprawia, że ona płaczę.
Przebaczę moją własną żalobę,
Życie skrócone o jakąś dobę,
Lecz cierpienie matki niech mnie Bóg strzeże,
Na te, że przyjdzie sąd kiedyś, wierzę;
To już nie moja, a z Bogiem sprawa,
Rany brać musi, kto je zadawa.
Innych ja ślubów nie zawierałem,
Innej kochance nie przysięgałem,
Jeśli to grzechem, sproś odpuszczenie,
Bo ja kochałem matkę szalenie...

— Czy nie chodziłeś zbrodniczą drogą?
Czyliś mój synu nie zabił kogo?

— O ja zabiłem samego siebie,
A potem byłem na swym pogrzebie.
Na trumnie leżał wieniec, wiązany
Nicją, co z serca ciągnie się rany.
Śliczna wiązanka z bólu gwoździków,
Ze wspomnień braci mych rozchodników...
Leżała gaza złudzeń młodości,
Róże przyjaźni, lilje miłości.
To wszystko, czego dla siebie chciałem,
W jeden prześliczny wieniec związałem,
I mało ważąc zdania rozumne,
Ze świata sobie zrobiłem trumnę.

— Ewangeliczne zabójstwo twoje
Chrystus nakazał przez prawa swoje.
Lecz chciej przypomnieć grzechy człowieka,
Na które straszny archanioł czeka.
Czyś Pana Boga próżno nie wzywał?
Jego imienia źle nie używał?

— O bardzo często; mojaż w tem wina,
Że nie wysłuchał swojego syna?
Żem próżno wzywał jego imienia,
Czy na wolności, czy tu z więzienia,
Żem próżno błagał Polski zbawienia?
Na inne cele, ojcze wielebny,
Nie był mi nigdy w życiu potrzebny...

— Wstrzymaj mój synu tę gorycz duszy,
I do katuszy nie łącz katuszy;
Nie gardź pomocą i bożym sługą,
Za tę ojczyznę dostaniesz drugą.

— O nie, mój księże, nie, mój serdeczny,
Ja nie chcę żadnej ojczyzny wiecznej;
Polska dla mojej duszy zbolalej
Milsza nad głębie wieczystej chwały;
Z ojczyzną wieczną ja nie oswoję
Rozmiłowane to serce moje,
I z przed grającej złotej istoty
W dół mnie pociągną polskie tęsknoty.
Jej lekkich stopek porzucę róże
I w otchłani naszej mgły się zanurzę...
Za to bluźnierstwo niech mię Bóg skarże

Przebiegać chmurne Polski cmentarze,
Z miesiącem spadać w więzienne cele,
Po nocach jęczeć na chat popiele;
Niech mię Bóg skarze na ten jęk długi,
Który roznoszą hory a smugi,
Nazwany wichrów żalonym płaczem;
Niechże ja będę wichrem tułaczem,
Co wszystkie jęki zebrawszy w siebie,
Szumi na Polski strasznym pogrzebie,
Jęczy, narzeka, uszy rozdziera,
Leci i aż gdzieś w minach umiera. —
A teraz inne wymień mi grzechy
I jeśli możesz, udziel pociechy.

— Więc jeszcze pytam, czyś w swej młodości
Nie pragnął kiedy cudzej własności?

— O, ja pragnąłem, niech cię nie trwoży,
Pragnąłem ojcie własności bożej,
Bo z tą własnością chciałem sam jeden
Nowy Adama utworzyć Eden.

Rwałem się w górę, biłem w te bramy
Sercem rozdartem, myślą i łzami.
Jak złodziej chciałem skarb wydrzeć Bogu,
Więziem związany, Łazarz z barłogu.
Lecz próżnom badał, w blask się zakradał,
W niebom uderzał, w piekło zapadał
Co się po naszej ziemi rozwlekło —
Wszak i ty ojcie znasz polskie piekło!?

— Sługa ołtarza w cichej pokorze
Nie może badać wyroki boże;
Życie, mój synu, dane od Boga,
To na Kalwarię krzyżowa droga.

— Prawda, lecz gdy już przeżył tę drogę,
I na ten stopień stawiać mam nogę
Za którym już jej więcej nie stawię
Nim na nieznany brzeg się przeprawię,
Przebac mi ojcie, jeśli nad grobem,
Za całą Polskę zawołam z Jobem:
Za co mię karzesz? za co te kości
Smagasz różgami tak bez litości?...

— Nie płacz tak synu, jest Bóg nad nami,
Tęcza na deszczu, wiara nad łzami.
Kto czasy boże z ludzi pomierzył?
Święty, kto cierpiał, szczęśny kto wierzył;
Wiek, dwa, śród wieków świata tysiąca,
To jako iskra przy morzu słońca.
Cierpliwość naszą Pan Bóg wyzywa,
Błogosławiona dusza cierpliwa;
Cierpliwość nasza, nie błogie śnienie,
Jednoż to synu, co i cierpienie.
W tem słowie leży prawd wszystkich całość,
Duma anielska, męska wytrwałość.
Tylkoż się w ranach własnych nie kochać,
Tylkoż nad sobą wlecznie nie szlochać:
Czyliż to życie warte lez tyła?

Skończył; młodzieniec do nóg się schyla,
Na nagą stopę przeziębłą mnicha
Upadła głowa, potem łza cicha,
I za chwilowy smutek, zwątpienie,
Pokornie błagał o przebaczenie.

— Nie maszli żalu? przypomnij proszę:

— Nie, do nikogo żalu nie noszę.

I tu się młodzian zamyślił długo.
Z ocz woda znów mu wybiła strugą:
Chciał niby mówić, usta mu drżały,
Ale uśmiechy przyszły i zwiały.
Może tam jaką skargę dziecinną.
Może tam jaką miłość niewinną...
Więc go spowiednik zagadł na nowo:

— A może chciałbyś komu, gdzie, słowo...

Matce, rodzinie?... Rodzina cała,
Mór powiał, w jeden dzień poczerniała,
I wywleczono i pogrzebiono
Po chrześcijańsku, w ziemię święconą.
Za czarną Moskwą, co nam mór znosi,
Ten jeździec biały leci i kosi.
Kochance? któreż to imię służy?
Czy tej zagastej gwiazdzie śród burzy,
Co się z anielskiej przybliża strony
Gdy nań upadnie sen upragniony,

Tak cudnie piękna i dziwnie cicha;
Na śniegach, których tumany spycha
Wicher północny, na górze stronej,
W śnieżnej świątyni jej cień znikomy
Wpatrzony w księgi, okryty lamą
Błaga jak niegdyś za nim, tak samo...
Przyjaciół, druhów nie chciał pozdrawiać,
Jak gdyby imion bał się wymawiać,
Tylko coś łowił w więziennej głuszy
I dopatrywał we ścianach uszy.
Nie, nic, nikomu — i głowę schylił,
Jak gdyby czekał, by go posilił
Dwoma pytanie zbywając słowy:

— Ojcie duchowny, otom gotowy.
A w tych dwóch słowach odwaga brzmiała
Duszy, co składa swą odzież z ciała
I na rozkazy boże poddana,
Staje przeczysta i niezachwiana. —
A ksiądz mu dłonie kładąc na czoło,
Jakby słoneczne dopatrzyl koło,
Co się wykreśla nad Świętych głowy
Odmawiać począł psalm Dawidowy.
A znać, że słowa te były szczerze,
Bo płacz zaplatał innich w miserere.
A potem szybko patrząc na strony
Wyszeptał z duszy Bogiem natchnionej:

— Oto przychodzi Baranek boży
W duszę człowieka, co się ukorzy;
Aby był nad to słońce jaśniejszy,
I nad brylantów ogień przedniejszy,
Albowiem w jego ręce powierzę
Jerozolimę — i niech jej strzeże.
Więc żeś nie bluźnił, chociaż narzekał,
I miłosierdzia mojego czekał,
Otoć przebaczam, i z twego czoła
Ścieram człowieka — i blask anioła
Nad twoją głową rozwodzę kotem,
Abyś był odtąd Polski aniołem!..."

Zaledwie skończył, słońca promienie
Przez kraty w ciemne padły więzienie,

I uczyniły w owej godzinie
Z tego więzienia bożą świątynię...
I tylko że w niej nie brzmiały hymny,
Ale wiatr jakiś przeciągał zimny
Od drzwi otwartych, w których połowie
Już stał oficer w hełmie na głowie.
I słychać było bębnów loskoty,
I próbowanie marsza piechoty,
I od dziedzińców mało pomalu
Dolatał tętent konnych oddziału.

— No, czas! głos zagrzmiął, — dzień się zaczyna:
Więzień ma prawo zażądać wina.
Na ostre, zimne żołnierza słowo,
Młodzian przecząco poruszył głowę,
Uściskał księdza dłoń wyciągniętą
I skinął, by mu kajdany zdjęto...

Dalej nie śpiewam; to, co się stało,
Tyle mi razy serce ścisnęło,
Że umęczona dusza — z daleka
Od piekła polskich wspomnień ucieka.

UBIORY.

O siostry moje, o Polki kochane!
W jakież wam przywdziać się stroje,
Śliczności nasze, wy róże różane,
Świeże i hoże dziewoje?

Ja co tak znam was, poradzę wam szczerze:
Jeśli kochacie te lany,
Niechaj się każda jak łąka ubierze,
W pogodnej porze wiośnianej.

Noście sukienki w różnowzore kwiatki,
Wy wierne córki tej ziemi,
A jak je uszyć, dziewczę z chłopskiej chatki
Nauczy słowy prostemi.

Czemu się macie odróżniać od chłopek?
Przywdziejcie stroje wieśniacze,
A może jeszcze u tych waszych stopek
I dzielną młodzież zobaczę.

Gdy nasze dziewczę ze zagrody kmiecej
W wiślane spogląda fale,
Z dumą zarzuci warkocze przez plecy,
Sute poprawi korale,

I tak się czuje na swej ziemi pewną,
Tak dumną habrów girlandą,
Jak gdyby była krakowską królewną,
I Polką najpierwszą, Wandą.

Ona to może, lecz nie żadna inna,
W barwne sukienki odziana;
Polka jak łąka piękną być powinna,
Czystą jak fala wiślana.

I taka skromna jak lilijka w wiośnie,
I różna między obcemi,
Ona co matce na pociechę rośnie,
I na pociechę swej ziemi.

Powierzchnia świadczy co na głębi leży,
W jakim się dusza lśni stroju,
Wszak lilję poznam że lilja z odzieży
I powój poznam w powoju.

Nikczemną duszę poznam, ach! rzecz smutna.
Po obfitościach tkaniny,
Rozpustna dusza musi być rozrzućna,
Skutki są z jednej przyczyny...

Jako w odmiennej ziemi letniej pory
Porasta kwiaty i zboża,
Tak w narodowych szat liczne wzory
Dzieciarnia stroi się boża.

Rzecz tu najmniejsza w Opatrzności planie
Głęboką w sobie myśl chowa,

Gdy wyjmiesz jedno, całości nie stanie,
Taka to ścisła budowa.

Kto strój odmieni, przerzuci się w błazna,
Kto język, ducha załruci,
Kto ziemię, w życiu nie znajdzie współbraci,
Taka tu jedność żelazna.

Turecki turban, czy francuski szmatek,
Czy welon czarny Hiszpanek,
Będzie to ubiór polskich sióstr i matek,
Naszych bóstw, naszych kochanek?...

Jak to pstre ptastwo: żolny, gile, kraski.
Sówki, sokoły, drzemliki,
Lud się ogarnął osiadły nad piaski,
I ten co zaległ las dziki.

Płaszcz wziął od ptaka i pieśń wziął od ptaka,
Czystość od nieba i wody,
I po tem poznasz polskiego wieśniaka,
Ze tej nie puszcza się mody.

Bo jego stroje to natura duszy,
Tak polski sokół porasta;
Obcem się pierzem ptak ten nie napuszy,
Chłopaka to polska niewiasta...

Nie to że chłopka, że jej obce książki,
Ze herbów nie ma w swym rodzie,
Lecz że Ojczyznę wiąże w swoje wstążki.
I Polskę chowa w swej modzie...

Ona i nie wie może o tem wcale,
Lecz to sam Pan Bóg tak czyni.
By nie mieszały się ludy jak fale
I jako piasek pustyni.

To moja Polka, co ręce zakasze
W biednej sukience z drelicha,
I dawne pieśni wyśpiewuje nasze,
Popatrzy w lasy, powzdycha.

Przeszumią wiatry, serc przeciągnie zima,
Pokusy, hańby, upadki,
A wielką całość mały lud utrzyma,
Ubogie dworki i chatki...

Tam się dzień po dniu toczy swoim torem,
Tam źródła płyną kryształ, —
Co się dwoistym wciąż mieni kolorem
Albo niebieski lub biały.

I te kolory chrześcielne, zbawienne,
We swoim życiu prostaczem,
Na cywkę wije na szaty codzienne
Lud, który bożym jest tkaczem.

Wierzcie mi siostry, że paryska moda
Nie waszym licom przystoi,
Rozpustna szata piękności nie doda,
Myście o modzie raz swojej.

Spytajcie w jakim nosiła się stroju,
Jak ubierała od dziecka
Emilja Plater, nasza gwiazdka w boju,
Albo Emilja Szczaniecka.

Wszystko dziś od was, nasze siostry złote,
Od waszych uczuć zależy,
Powrócić dawną wiarę i prostotę
I dawne męstwo młodzieży.

Powagi tylko matka od was żąda,
Na czas doświadczeń tak krwawy,
Niech głupstwo patrzy czy pięknie wygląda,
Wy dla czci, nie dla zabawy.

Gdy ja usłyszę, że rodzinnej mody
Niewiasta nasza się chwyta,
Zawołam szczęsny: Ojczystej swobody
Daleka zorza już świta!

I tam pociągnę pod Wawel nasz stary,
Gdzie Wisła poszumia spodem;
I do Warszawy z bronią na galary
Siedę z krakowskim narodem...

WCZORA I DZIŚ.

Wczora tu jeszcze śród cichej dąbrowy
 Wesole trzody becząc w pole biegły,
 Na wzgórkę sterczał kościół modrzewiowy
 Którego lipy miódopłynne strzegły.
 Piosenka brzmiała za wioską szczęśliwa,
 Spętany konik pobrzękiwał pęty,
 Wczora tu jeszcze rolnik marzył żniwa,
 I ową radość doroczną we sprzęty.
 Wczora tu jeszcze pleban na plebanji
 Czytał modlitwy do Niebieskiej Pani.
 Wczora tu jeszcze śród cichego domu
 Siedział sędziwy rodzic tej gromadki,
 A panny pełne mądrości i sromu
 Skubały szarpję przy kolanach matki...
 Dzisiaj z kościółka kilka główni świeci,
 Dwór i chałupy gdzie stały ni śladu,
 Kibitka tylko z jeńcami w step leci,
 I wszystko znikło od chwili napadu.
 Jeden jedyny na wzgórkę daleko
 Cichy krzyż stoi, na nim siada ptasze,
 I przy tych ranach co świętą krwią cieką
 Łzy nasze śpiewa i niedole nasze.

W I E R S Z

na cześć 25 lutego 1861 r. w Warszawie.

Dojrzewa owoc łez,
 Już bliski bólów kres,
 Jęków i łkań
 Zdziwiony słucha wróg,
 Z nad grobu woła Bóg:
 Łazarzu wstań!

Pochwalne hymny nuć,
 Spowicia grobów zrzuć,
 Świadectwo złoż:
 Że jest na niebie Pan,

Że wszelki ból mu znan,
Żeś wezwan już...

Patrz jaki w kolo dziw
Żeś westchnął, żeś już żyw,
Łazarzu mój;
Toż jam obiecał ci,
Że przejdą bólow dni,
Ze śmiercią bój.

Mówilem do twych usz
Harf brzękiem, grzmotem burz;
Tak mówi Pan
Co bólom stawia kres,
Co liczy krople łez
I ilość ran.

Powstałeś jakoś padł,
A wróg przed tobą zbladł,
I dał ci cześć.
Święty go przejął srom,
Poklonił się twym łom,
Ócz nie śmiał wznieść.

Zawstydził się swych strzał,
Boś z nagą pierśią wstał,
A miecz twój jęk;
I tak się spełnił cud,
I stopniał lodów lud,
W łez morze zinięł.

Bezbożnych zdala rzesz,
Mówilem: wierz! o wierz!
Jam stworzył świat!
Jam ci odebrał dech,
Proch na cię miótt i śmiech
W żalobie lat

Byś poznał ludu szloch,
Byś poznał żeś jest proch,
Proch, cień i nic.
Tak pychy twojej róg,
Ukrócił w grobach Bóg,
Twych butność lic.

W grób twój złożyłem zwłok,
Lecz ducha'm ohmył wzrok,
By przejrzał raz,
Nieziemskie oko wzbił
W świat potęg, cudów, sił,
Byś z źródła prawdę pil
Na przyszły czas.

I tyś jak jelen kniej,
Pil z czystych źródeł jej,
W jej patrzył zdroj
I cały grobu wick,
Tyś krzyża mego strzegł,
Łazarzu mój!

To dziś już grobów dość,
Skruszona wrogów złość
Coć gniotła kptań;
Spowicia grobów złóż,
Łzom twoim koniec już,
Łazarzu wstań!

B R A N K A.

Kto stał w płaczu żnie w radości,
Nasza sław była w gorzkości...
(Ps.) Jan Kochanowski.

Non è questo'l terren ch'è toccat prin?
Non è questo'l mio uido,
Ove nudrito fui sì dolcemente?
Non è questa la patria in ch'io mi fido,
Madre benigna e pia...

Petrarca.

Stoi karczma na gościńcu, podwaliny pod nią,
Czerwienieje na wiatr niebo nad stroną zachodnią.
Na pagórkach drzemią w dali pochyłone chaty,
Wiatr po niebie chimurki nosi, gdyby krwawe szmaty.
Od topoli nadwiślańskiej woń jesienna wieje,
Na gałęziach liść ostatni w powiewach się chwieje.
Oj trzyma się listek drzewa, pokąd może trzyma,
Aż zamiecie nim po świecie niezblagana zima.

Przed karczmiskiem na kamieniu usiadło dziadosko,
Zadumał się lirnik stary nad rodzinną wioską.
Każdy kamień mu znajomy nad polem, nad smugiem;
Przy tym gadał, na tym siadał, o ów tracił plugiem.
Czas przeleciał niewstrzymany, popsuł, poodmieniał:
Lirnik zsiwiał poterany, kamień pozieleniał.
Żóraw wisi jak przed laty, zagląda do studni,
Jeno konik upragniony zdala nie zadudni,
Ani furknie chorągiewka, hulan nie przeleci,
Hulan śmiały, konik biały, pociecha dla dzieci.
Depcą woły czarną rolę na jesienne siewy,
Chłodne wody stoją w dole od nocnej ulewy.
Co powieje wiatr zachodni, drobne fale zbiera;
Co zaskrzypi topól stara, oczy dziad otwiera.
Po lachmanach wiatr powieje, dziada przejdą dreszcze,
Oj wy piękne dni majowe! ujrzeż ja was jeszcze?

Zaszło słońce nad lasami, jak ta stara grusza,
Co samotna stoi w polu, jak sieroca dusza.
Poszarzały siwe wzgórki, mgły się gęste kłębią,
Przelatują zimne wiatry, co po kościach ziębią.
Idą ludzie do karczmyska w zimie, czy w jesieni:
Czapka na bok przewieszona, a ręce w kieszeni.
Wesołemu to na ucho, smutnemu na oczy.
Smutki garną się na głowę, czapka je przytłoczy;
A gdy troski się podzieją, przejdzie zawierucha,
Czapka chadza wnet kolejną od ucha do ucha.

Za stolami siedzą starzy i coś sobie rają,
Powiadają sobie ludzie, co na sercu mają.
Temu ciężą stare lata, radby się odmłodzić,
Chciałby chodzić po dawnemu, — nogi niechęcą chodzić.
Tego bieda przydybała, sroga, sucha jędba,
Osiodłała gospodarza, nogami popędza.
Na frasunek dobry trunek, dobra kapka miodku;
Nie głęboka kwatereczka, a tonie na spodku.
Jeden z drugim rzędem długim; a dziad u ogniska
Zapatrzył się w suche drzewo, co iskrami pryska.
Grzeje zęby dziadowina i kościaste dłonie;
Włos rozwiany, potargany, gdyby gniazdo wronie;
Pierś wychudła, szmat od szczudła, jak pakuły broda,
Rozsiada się dziad u ognia, jakby wojewoda.

Z pod brwi gęstej połysk częsty z szarych oczu strzela,
Ciepłem piwskim i ogniskiem starość rozwesela.

Lira jego koło niego, co ją rady kręci;

Stare pieśni narodowe w sercu i pamięci.

Często za nie pokutował po moskiewskich kozach,

Lecz on pieśni umiłował za młodu w obozach.

I skorupka trąci stara czem z młodu nasięknie,

Obróci się dziad dokola, po dawnemu brzęknie.

Czy k'Warszawie ściąga zwawie, czy na step podolski,

Śpiewa stary litanije do Królowej Polskiej.

— A skądże to dziadku droga?...

— Z Polski, z Litwy, z Rusi:

Kęś po świecie duch się miecie, to i człowiek musi.

Głuchym jarem, w polu szarem schadzam długie drogi;

Utraciłem w polu nogę, szukam mojej nogi:

Oderwała mi ją kula przy samem kolanie,

Została się na zasianie na ojczystym lanie.

Nieżałuję mojej nogi, co ją krucy kołą;

Nieżałuję ran po ciele, co mię na deszcz bołą.

Jeno tego człeku smutno, że niema szczerości;

Jak się spojrzę po ojczyźnie, zamróz idzie w kości.

A złe szepce, wkoło depce, choć się człowiek broni;

Dawniej była dłoń na sercu i serce na dłoni.

Dziś oczami pono z łzami pocziwość wyciekła:

Albo słudzy, albo cudzy, albo rodem z piekła.

Chcesz pokręcić swoją lirę, to jak wilk cię zmierzy,

A dziad grzeszny myśli sobie, może i niewierzy:

Dużo Niemców naściagało — Niemce cudzoziemce, —

Może nasze Polaczyska poszyły się w Niemce?

Katarynki przygrywają od Czerska do Warki.

Po karczmach się rozsiadają niemieckie karczmarki.

Jeno ptaki przyśpiewują po dawnemu w lesie,

Jeno chmury przelatują po dalekim kresie...

To i lepiej stare oczy powlóczyć po piasku

To i lepiej słuchać wichru i wroniego wrzasku!...

Rzekł... i spuścił siwą głowę, a kościstą rękę,

Oplecioną na saklaku, podsunął pod szczękę

I to wąsem ruszył siwym, to brwiami nad czołem;

W kątach starzy gospodarze wdychali za stołem. —

I było tak dobrą chwilę, dziad jak siadł tak siedzi,

Wpatrzył oczy w swoich ludzi, czeka odpowiedzi.

A byłoby o czym gadać! słówka w język szczypią, —
Aleć oto do karczmyska stare drzwi zaskrzypią,
I wsunęło się dziewczątko, wichier tem szamotał,
Blade usta się ruszały, każdy ząb dygotał,
Z pod płachciny dwie rączyny czerwone jak raki...
A kto w Polsce nie nadybał sieroteńki takiej?
Za gąskami pędzą w pole, gaska szczypie trawę,
A dziecina na mogiłki syła oczy łzawe.
Bose nogi; koło drogi siedzi sobie z witką,
A od wiatru się powija, jak to Boże żytko.
Weszło dziewczę do gospody, przystańeło w kątku,
Dobre oczy, ludzkie oczy patrzą po dziewczątku.
Jaki taki patrzy na nią, nikt się nie pożali...
Świśnie piórkiem jaskółeczka i polecie dalej.
Tak i ludzkie dobre chęci... jaskółki nad stawem,
A biednemu żyćby trzeba! jeno jakim prawem?...

Postąpiło do ogniska grzać te ręce małe,
I te nogi powilżone, zziębłe, pograbiałe.
Biedne dziecko! miły Boże, wśród wiejskiego tłumu
Śmiało się to do każdego... niespełna rozumu,
Bo co się tu śmiać do ludzi, co wiciny plotą.
Nie śmieje się do nikogo sieroto, sieroto!
Ej nie tacy znowu ludzie, a do tego prości,
To daj Boże ubogiemu do ubogich w gości.

Zahukane, zabiedzone, sieroco, nieśmiele
Biedne dziecko po rekrucie siadło na popiele
I poczęło śpiewać głośno przecierając czoło,
Piosnkę strasznie niewesołą na nutę wesolą:
„Oj pogonia ich, pogonia z powrozem na szyi,
Już im więcej nie zadzwonią dzwony Kolomyi...”

— Jak to sobie przypomina niedolę ojcową, —
Wtrącił słówko Szymek leśnik potrząsając głową:
Jak jagniaci odsadzone, ubogie-dziecięta,
Niczego to nie rozumie, a wszystko pamięta.
Popędzili ojca z chaty, będzie rok na Gody,
Na nic mu się nie przydały dowody, wywody.
Matka roku nie pożyła, takie to roboty,
Matki niema, ojca niema, bieda na sieroty.

Przytuli się do matuli, a matulka chłodna:
„Wstańże rychło matko mila, bo sierotka głodna...
Jedna bieda, druga bieda, zle do oczu skacze:
Kto przepłacze swoją biedę, a kto nie przepłacze;
Temu scieczy łza po oku, temu serce gniecie,
A niedola z cicha gwarzy: „oj bieda na świecie!” —

Wyciągało dziewczę małe, jak dzwonek w ustroni,
Co choć dzwoni nad cmentarzem, sam nie wie, co dzwoni.
A ludzie się przyciszyli zasluchani cali,
Jak to ona sieroteńka śpiewając się żali.
I śpiewało, tak śpiewało, — aż huk jakby młotu
Rozleciał się po chalupie podobny do grzmotu.
Czarny kowal wyciął w deskę, aż we dwoje pękła,
I dziadowska lira stara echem odebrzękła.
Wszystkich oczu się zwrócili; żebrak okiem błysnął,
Łzy mu darły się do oczu, płacz zębami ścisnął.
I potoczył się do stołu zajrzeć w oczy czlecze,
Rękę oparł na kowalu i: — Bóg zapłać! — rzecze. —
Ileż kowalu, ty kowalu, niech wam Pan Bóg szczęści,
Przypomniałeś mnie dziadowi grzmot krakowskiej pięści:
Raclawice, Końskie, Końskie i Dubienkę!
Nie po lekku grzmisz człowieku, podajże mi rękę! —

Na dziadowskie powiadanie, jakby trusia cicha,
Posunęła się ku dziadu matka kowalicha:
— Zmiłujcie się przyjacieli, nie gadajcie o tem,
Bo chłopisko moje, czleku, nie żartuje z młotem. —
— Nie żartuje! kowal krzyknie, — gospodarzu wódki!
Co się myśli, to się myśli, a gęby na klódki!
Bo to teraz chodzą szpiegi w dziadowskiej opończy...
Chroni ci Boże, stary dziadu, bo się źle zakończy:
Wytrzęsę ci twoją duszę, jak wróbla z pod strzechy! —
Spojrzał kowal po chalupie, rozległy się śmiechy;
Zaśmiała się karczma cała i dziad śmiał się z nimi.
A rękawem lzy ocierał siedzący na ziemi.
Własna krzywda nie bolała, głupie ludzkie gadki,
A cała się dusza śmiała, jak na rękach matki.
Za wesolyh parobczaków dziad pacierze szeptał,
Śmiał się, cieszył, jakby pole Raclawickie deptał.
Zgadnijże tu, co zabol, a co rozraduje:
Jeden człowiek swoje czuje, drugi cudze czuje.

— Ha dogryźlim dziadowinie, kwatereczka sucha,
Jak poczuje, posmakuje, to się udobrucha.
Smaruj piersi, miły człecze, tym syconym miodem,
Stary miodek pachnie lipą, piwko pachnie słodem.
Nie taki to kowal srogi, choć dmucha jak z miecha.
Hej! dziadoro wstań na nogi! -- Zaśmiała się strzecha.
Dziad wyciągnął dłoń do góry, chciał się dźwignąć duchem,
Kowal patrzył opasany skórzanym fartuchem
Raz na dziada, raz na dziecko, na te polskie biedy,
Za serce go coś porwało, sam nie wiedział kiedy:
Bo i żebrak śmiał się k'niemu i sierotka pięknie,
A tu serce kowalowe, jakby w ogniu mięknie.
Zadumał się smoluch wiejski i zapomniał słowa,
Z silnej ręki mu wypadła ukuta podkowa.
Podniósł, westchnął, otrząsł głowę, jakby od szerszeni,
Aż tu gwary wiejskich dzieci rozległy się w sieni.
Za oknami drobniuchnemi, co ogniem zerkają,
Czepiają się małe dziatki, w okna zaglądają.
Pokrzykują przed chałupą głosy dziatwy trwożne,
„Ćwierku, ćwierku“ pod oknami, jako wróble drożne.
Z za chałupy dolatały od gościńca krzyki,
Końskich kopyt kłopotanie i skrzypienie bryki —
Dolatały głosy zdala, jakby ludzkie jęki,
Jakby świstał bat, co wisi u kozackiej ręki.
A czyż to kmiecie plecy ruski bat nie kroił?
Dziad w kowala bystre oczy jak pazury wpoił,
Szukał, macał w kolo siebie, na prawo, na lewo:
— A gdzie moja druga noga? oj drzewoż to drzewo! —
Kowal wejrzał naokoło, jakby ludzi zgarniał:
— Będęz ja tu z wami siedział, bodajżem ja zmarniał! —
Rzekł i we drzwi kopnął nogą, aż odpadła glina,
Czy też jeszcze się pocieszysz stary dziadowina?...

Ludzie z karczmy się ruszyli, żal za serce imie,
A sierota przy ognisku napół widna w dymie,
Z zapadniętem, ciemnem okiem, potarganym włosom,
Zaśpiewała swą piosenkę przychrzypniętym głosem:
„Oj pogonia ich, pogonia z powrozem na szyi,
Już im więcej nie zadzwonia dzwony Koloniyi“.
Dziad opuścił siwą głowę, lirę precz odrzucił,
Jak gdyby się z oną lirą po pijanu klócił.

Po chałupie niema glusza w ciemnych kątach siada,
Jeno w cieniu, w uciszeniu polska nędza biada:
„Rozpacz ściska stare kości, do ziemi je wtłacza,
W grób się toczy stara nędza, młodość nie rozpacza!
Niech się święcą młode lata, parobczańskie dłonie:
Rosną dęby na wygonie, polecimy po nie!”

Zrozumieli młodzi ludzie dziada powsinogę,
I w cichości z ciekawości wybiegli na drogę.
A dziad gwarzył sam ze sobą: — Zapomnieli brata!
A gdzie moja, ludzie, noga... Bednarczyków chata? —
— Bednarczyków? podchwyciła niewiasta z zapiecka,
Może Staśka Bednarczyka? znalazłam go od dziecka. —
Tak prawila matka stara, żołnierz nie uważał:
„Nędza stara, młodość wiara! ... do siebie powtarzał.
Ażec naraz: „Cicho!” krzyknął, uchem głos załowił,
Na gościncu krzyk daleki starego odnowił.
Rzeżko dźwignął się na nodze przyprawionej z drzewa.
Ptaszek słucha na gałęzi, skąd mu wiatr powiewa:
Wieje wietrzyk od rodziny, od gniazda do dzieci,
To zaśpiewa sobie ptaszek, wesoło poleci.

Na gościncuż bo zawrzalo, wzięli ich w obroty,
Puścił kowal srogie pięści, kowalskie dwa młoty,
Za kowalem parobczaki, a choć chmurna nocka,
Sprawnie grzmiała pod karczmiskiem narodowa młocka.
Była wrzawa, bójka krwawa skończyła się rychło:
Wejrzał stary przed chałupę, wszystko już przycichło.
Tylko w dali, ku lasowi, po szerokim bloniu,
Ku granicy człek pomykał na kozackim koniu,
Jeno jeszcze ludzkie głosy słyhać było zdala,
Parobczaków głuche gwary i kłatwę kowala.

„Hej nie bieda żołnierzowi, kiedy w bęben grzmocą,
Nie pocieszył Pan Bóg dzionkiem, to pocieszył nocą”.
Wszedł w gospodę, musnął brodę, utkwił kij sękaty,
I zawołał na sierotę stojąc w progu chaty:
— Pójdź sieroto na wędrownkę, będziesz dziada wodzić,
Pójdź sieroto, po ojczyźnie będziemy razem chodzić. —
I dziewczątka się ruszyło, przywykłe, gdy każą,
Popatrzyło się na dziada miłosierną twarzą,

I jak gdyby w starca głosie brzęknął głos matczyny,
Jako ptaszek do odlotu podniosła rączyny.

— Szczęść wam Boże, szczęść wam Boże! — brzękło od polepy
Dla dziewczyny, sierociny, słówko baby ślepej;
Deszcz się puścił, jakby z cewki, gęsta ćma na drodze,
Bieda rusza, wiatr przyglusza: „szczęść Boże, szczęść Boże!”

Znaną ścieżką, przez zagony, ku drodze dalekiej
Idą, idą dwie sieroty brzegiem szumnej rzeki.
A w karczemce opuszczonej przed chłodnym popiołem
Szeptem stara pacierz cichy z pochylonem czołem;
Szumią wierzby na gościńcu, szumi wiatr jesienny,
I ze ściany zadymionej ćwierka świerszczyk ścienny.

II.

Szybko leci rok po roku, jako liście z drzewa;
Owo śliczny ogródeczek, a w nim cudna dziewa.
Sukieneczka na niej biała, ubrana we wstążki;
Chodzi sobie po ogródku czytająca z książki.
Lica białe, rączki małe, włos jako len czysty,
Na jej główkę rzuca słońce ten promień złocisty.
One usta uśmiechnione, jak niebo w zaranie,
I chodzi to po ogródku, takie to kochanie.
Hłóżka biała aż się prosi do dziewczęcej ręki,
Co gdy słodko się rozśmiej, robią jej się wdzięki.
Coś to niby jak znajoma, gdy się patrzy w ciebie,
Zdaje ci się żeś ją widział, ale chyba w niebie.
Zorza pada, nad łąkami czyste niebo gorze,
Halka zorzę pozbierała, okryła się w zorzę.
Boć to nasza Halka miła, sierota rekruta
Przygarnięta w pańskim dworze rośnie jakby ruta.
Przygarnęli dobrzy ludzie sierotę ubogą.
A dziś jej się nadziwować, nachwalić nie mogą.
Cztery lata ją zmieniły do nierozpoznania,
Wypiękniała, wybielała, wyrosła jak lania,
I ślicznie jej w białej sukni i we wstążek pasie,
A sierockie, biedne czasy ledwie w snach jej śnią się.
Pożywienie temu niosą, jak ptaku do dzióbka,
I któżby się tam domyślił, że to biedna chłopka.

Dziś od rana kwiatki siała w swej zagrodzie małej:
Od tej strony mak czerwony, żeby dzieci spały,
Piwoniją od kąpieli, a chmielu pod plotek,
Krwawnik od ran dolegliwych, od piorunu grzmotek,
Siała żwawo pochyłona nad zieleń zagonu,
Dla pszczoł ziółka melisowe, konopie dla plonu,
I niechętek dla niechętnych, na dziewiczy wianek
Boży-głędek, boży-listek i niepokalanek
I serdecznik, bogorośle i śliczne ostróżki,
A dla ptaków ptasi-język i bocianie-nóżki.
Siała sobie w ogródeczku w ten poranek złoty,
Suche wrzosa na ból suchy, i chełt na suchoty;
Wonne zioła rozmaite na różne pożytki,
Słoneczniki na ziarenka, trakwi, aksamitki,
A każdemu kwiateczkowi rzekła mało-wiele:
„Rośnijże mi teraz kwiatku, rośnijże mi ziele”.
Mgły, jak morze na dolinie, jak świat się rozlały,
Las ponury we mgle ginie, pełno rosy białej,
Napocone stoją zioła od nocnej wilgoci,
Wietrzyk chłodny, dzień pogodny szybki w oknach złoci.

Do Jasienka, do okienka lecą złote gońce,
Patrzy w okno sierotka, ciekawa jak słońce.
Ej, że też to młodzież nasza taka niewesola,
Pośpnego zawdy lica, pochmurnego czoła;
Zadumana, zasepiona, zawdy coś przemyśla,
Jak te wierzby rozpuszczone na piaskach Powiśla;
A Bóg ich tam wiedzieć raczy, co w ich sercu leży!
Prędzej z wierzbą się dogada, niż z którym z młodzieży:
Takie to już przyszły czasy, że młódź spoważniała,
Nie powiedzą o młodzieży, że wiek przechulała,
Bo dziś przyszło na ostatki, prawdziwe ostatki,
Bo dziś walą saneczkami, ale do Kamczatki.
Młodzian siedział przy stoliku, pióreczko miał w dłoni,
Przed nim mapa polskiej ziemi, a on wodził po niej.
Wszystkie miasta naznaczone na jednym papierze:
Skąd się też to człowiekowi taki rozum bierze?...
Patrzył, mierzył, rozpatrywał swoją mapę znaną,
Aż Halusia zawołała: — Panicz wstał tak rano!
Może całą noc przesiedział? jak to czasem bywa,
Choć się pani matuleńka na panicza gniewa. —

Młodzian podniósł w górę czoło, uśmiechnął się słodko:
— Ha dzień dobry jaskółeczko, pójdźno sam szczebiotko.
Musim sobie przepowiedzieć, o czym była wczora,
Wczora główka cię boląla, dziś się już nie chora.
Oj niechce się pannie uczyć, litery nie róże,
Woli panna za żorawiem latać na podwórze.
Już we włosach pełno kwiatków, a w główce pustota,
Pójdźno panna do stolika, zacznij się robota:
Będziem czytać polskie pieśni, ot tylko dopóty...
Matka umie do nich nuty, nauczysz cię nuty. —
Zbliżyło się młode dziewczę jak słońce w rumieńcu,
Rozłożyła swoją książkę, siadła przy młodzieńcu;
Ale nie szło jej czytanie, skroń nabiegła żyłki,
Rumieniła się jak maki, czyniła pomyłki,
Chciała wszystko wypowiedzieć, lecz jak wypowiedzieć?
Oglądała się, wzdychała, niemogła dosiedzieć,
I stanęła przed młodzieńcem, jakby przed obrazem,
Aż westchnienie się wydarło i lzy poszły razem;
Pokłoniła się do kolan i rzekła dwa słowa:
— Paniczeńku najmilejszy, biednaż moja głowa!
Na co mnie się przyda, panie, to czytanie z wami,
Kiedy drobne te literki zachodzą mi łzami,
Kiedy, zanim oko dojdzie od brzegu do brzegu,
Jak słońeczko na jesieni dusza mi pobiega
Na niczem mi paniczeńku nie schodzi, nie zhywa,
I niby to ja szczęśliwa niby nieszczęśliwa;
Od lat czterech, jak dziad stary oddał mnie na łaskę,
Jak gdyby mi kto na oczy zawiązał opaskę;
Nic nie widzę, nic nie słyszę, jeno wasze słowa:
To dlatego paniczeńku, biedna moja głowa!
Nie lepiej mnie było w chacie z dziewczętami siadać?
Hej! paniczu, paniczeńku, musiałeś mi zadać,
Co ja tylko w ciebie patrzę, jak w tęczę na niebie...
A co się to ziemną stanie, jak nie będzie ciebie? —
— A skądże ci, Haluś moja, taka myśl po głowie!
Z rozrzewnionem, dobrem sercem młodzieniec odpowie,
Cicho, cicho gołabeczek! możeś ty odgadła,
Żeś mi dawno, Haluś moja, do serca przypadła.
Nie taki ja, panno moja, żebym ci zaszkodził,
Nie taki ja, serce moje, żebym ciebie zwodził;
To za roczek, za dwa roki, Halusiu kochanku,

Jak wyuczysz się na książce, wyskoczymy w tanku.
Zadnej u nas niema dumy, żyjemy w gromadce,
To jak przyjdzie czas po temu, poklonim się matce.
Ale uczyć się potrzeba, w tem cała różnica...
Bo już dzisiaj nie ma chłopca i niema szlachcica,
Jeno temu w głowie jasno, a zaś temu ciemno...
No a teraz książka czeka, Haluś siadaj zemną. —
Lecz dziewczyna nie słuchala, skoczyła na szyję,
Oczy w oczy zapatrzyła, duszę w duszę wpije,
Szczęściu swemu niewierzająca wciąż pytała rzewno:
— Jasiu, panie, mój kochanku, ale czy to pewno? ... —
Oj! bodajto w młodym wieku młode serce zgubić,
Oj! bodajto co dobrego pokochać, polubić,
Oj! bodajto coraz oczy z oczyma spotykać,
Łzą się zlewać, tęsknić, śpiewać, duszą się przenikać;
Czuć, jak serce ci zabiera każdy uśmiech skoczek,
Widzieć, jak tam łza nabiera w kątach czarnych oczek.
Oj! szczęśliwe młode lata, lata niebios, raj,
Najszczęśliwsi zakochani — tylko nie w tym kraju:
Żaden kwiatek nie zakwitnie, by go szron nie zmroził,
Żaden człek się nie urodzi, by mu wróg nie groził.

Pięknie poszło dziś czytanie, wszystko jakby z płatka,
Aż ją za to całowała dobra pani matka;
Bo niech tylko smutek zniknie, niech burza przehuczy,
Czegoż się to od kochanka dziewczę nie nauczy.
Każda dla niej dziś litera rosła jakby kwiecie,
Zda się, jedna z drugą w książce złote rączki plecie.
Gdy tak szczęśni stali troje, na dworze tymczasem
Zaszczerkały psy u bramy straszliwym hałasem.
Dziewczę k'onym poskoczyło, gdzie za bżowym krzakiem
Znęcały się srogie psiska nad starym żebrakiem,
Który mężnie patrząc wkoło za złośliwym zwierzem,
Jako muchom tak wesoło opędział się jeżem.

Widzieli my tego dziada, postać to nam znana,
Noga w szczudle, poszarpana niebieska sukmana,
Przy sukmanie dwa guziki cynowe się bielą,
Jako służył Polsce matce przed latami wielą,
Na guzikach polski orzeł w górę wznosi skrzydła,
Osobliwsze szczęście dziada, że nie popadł w sidła.

Na odpustach nierad siada, z dziady się nie miesza,
A gdy szczudło mu odpada, zwiąże i pospiesza,
Tak, że można na pewnika dziada spotkać w drodze,
Jak okłada polskie mile na drewnianej nodze.
Dziad, ten czasem listy nasza z końca kraju w koniec,
A zowie się u młodzieży: „narodowy goniec”.
Oj poznało młode dziewczę dziada Bednarczyka,
Poznała tę siwą brodę i wesoło krzyka:
Oj szczęśliwyż dla mnie dzionek! — zawołała płocha,
I o mało nie krzyknęła: „dziadku, Jaś mnie kocha!”
Bo i z kimże zakochany nierad szczęścia dzielić?
Nawet brzozy, co wkrag płaczą, muszą się weselić,
Święty Jan się cieszyć musi, co stoi przy stawie,
Dowiedzą się o jej szczęściu gołębie i pawie
I to słońce nad obłokiem i ten wietrzyk lotny
I ta ziemia poorana i ten krzyż samotny.
Dziad uśmiechnął się k'dziewczynie, jak dziadek rodzony,
I głaskał ją po głowinie szczęśny, rozrzewniony...
Długie włosy złotej kosi, co się w warkocz plotą,
Świeciły mu pod palcami, jakby czyste złoto.
Cudne słońce po nich grało złocistemi blaski.
Ludzkie oko nie widziało takiej cudnej kraski.
Odleciały psy na stronę, jak zakłète smoki,
Które dziewczę opętało anielskiemi wzroki.
Dwa gołąbki podfrunęły z pod bramy na trawę.
Wyciągając szyjki srebrne, płaszyny ciekawe.
Przed drzwiami, pod wystawą, gdzie z liśćmi topoli
Wciąż łagodny wiatr zachodni szczęśliwie swawoli,
Przed drzwiami, pod wystawą stała matka z synem.
Szczęśna dusza, co się znała z takim ziemianinem!
Zacne było powitanie, jak ludziom przystało —
Kto czei Boga i ojczyznę, poczei głowę białą,
Temci więcej, tem goręcej jeśli Boże zdarzysz,
Że do dworu żołnierz przyjdzie, zmarłego towarzysz.
A dziad służył z jegomością pono w jednym pułku,
Toż ze Izami był witany w Połoneckiem kółku.
Gdy się matka oddaliła z dworskiemi kobiety,
Stary chwilę upatrzawszy wyjął list z kalety.
Obejrzał się wkoło siebie i podał paniczu.
A powaga mu świeciła na zwiędłym obliczu.
Zda się wiedział całą sprawę, nie była mu skryta.

Toż gdy młodzian liścik czytał, on mu w oczach czyta.
 W liście krótkie były słowa, mało znacząca wzmianka:
 „Wszystko idzie po staremu, strzeż się, będzie branka.
 Wartoby rozpuścić szkółkę tę tam twoich kmieci,
 Bo dziś-jutro od powiatu anioł- stróż przyleci.
 A wiecie wy co to branka? to krwawy podatek.
 Który rok w rok Sybir bierze z nadwiślańskich chatek.
 Oj rozpuścić wiejską szkółkę, oddalić dziewczynę...”
 — Co? dziewczynę? Jan odpowie. Stachu! prędzej zginę. —
 I skończyła się rozmowa. Czy jej kto podsłuchiwał?
 Czy to wietrzyk od dąbrowy tak smutno zadunuchał?
 Czy się jego sercu zdało, sen czy przywidzenie,
 Że go z boku doleciało żalosne westchnienie?

W polu cudnie naokoło, cały świat się śmieje,
 Niewie ptactwo śpiewające, co się czleku dzieje.
 Gdyby ptactwo to wiedziało, zagłuchłoby w polu,
 Gdyby słońce to wiedziało, szerniałoby z bólu,
 Gdyby drzewa to wiedziały, straciłyby liście.
 Od smutkuby wyschła woda, co świeci srebrzyście
 A może też ptaki boże więcej od nas wiedzą,
 I to słońce i te drzewa rosnące nad miedzą.
 Śpiewaj, śpiewaj skowroneczku, świeć się jasna wodo,
 Dusza patrzy smutnym wzrokiem, Bóg jasną przyrodą.
 Człowiek myśli że to wieczne, Bóg wie że doczesne,
 Temu płasie glosy szczęsne, a ludzkie bolesne.
 Szczęść wam Boże polskie łąny, polskie wody, drzewa,
 Pobłogosław temu zbożu, co w polu dojrzewa,
 Pobłogosław Wiśle naszej, której woda słodka,
 I tej duszy niewiedzącej, co ją jutro spotka. —

III.

Od poranka ciągną chmury, niebo zaciągają;
 Szumią wierzby nad potokiem, k'ziemi się zginają.
 Co powieje wiatr szalony, to liśćmi zamiecie,
 Pokładło się w ślicznych grządkach kalinowe kwiecie.
 Leżą zbite nocnym deszczem gwoździki i maki,
 Poćwierkują na gałązkach rozpierzchnięte ptaki.
 Białe żyto leży w polu potłuczone siałą,
 Na pomokłych piwonijach krople się kryształą.

Tu i ówdzie po niebiosach niebieskiego kawał
W mgnieniu oka przyodziewa chmur ciągnących nawał,
I grzmot słychać po za wioską od boru, od lasu:
Otóż co się to zrobiło z pogodnego czasu. —

Wczora ślicznie zorze grały, dziś burza i sloty,
Takież to i będzie życie Haliny sieroty.

— I czyż ja to Matce Bożej wianeczków nie wila,
Żebym sobie na wesele słonka nie sprosiła?

W same lato najpiękniejsze biała wędnie róża,
Kiedy serce się weseli, to na niebie burza.

Kiedy niebo się odkryje, chmury z siebie zrzuci,
Biedne serce opuszczone patrzy się i smuci.

Mój Aniele Stróżu złoty porozpędzaj sloty,
A niechże też słonko błysnie na ślubie sieroty! —

Tak prosiła Halka miła niebieskiego Stróża,

A tymczasem ponad wioską rosła czarna burza.

Pani matka jej kupiła tyle wstążek krasnych,

Trzy sznurki jej darowała samych pereł jasnych.

Co przymierzy perły białe, wstążkę do warkoczy,

To patrzącej przez okienko lżą zachodzą oczy.

I takby się cieszyć rada, a serce jej gada:

„Nie ciesz, nie ciesz się dziewczeczko, będzie tobie biada”. —

Więc upadła przed obrazem, zalamala dłonie,

Jak to zboże położone deszczem na zagonie.

Słów jej brakło, zapomniała *Zdrowaś, Wierzę w Boga*,

Tylko jakieś odrętwienie, tylko jakaś trwoga

Ogarniała biedne serce niewymownym strachem.

Jakby bliski piorun wisiał nad Janowym dachem.

We dworze się rozlegały różne gwary, śmiechy,

Dziewczę z ziemi się podniosło bez dusznej pociechy.

Oglądała się dokoła, jak za czymś przepadłem,

Przelekła się sama siebie stojąc przed zwierciadłem,

Jako róża w wonnym sadzie, jak lilijka biała,

Smutna Halka wyglądała, jakby z grobu wstała.

W nocy jej się kwiaty śniły i anielskie pieśni,

Jeno że to, co nas czeka, nigdy nam się nie śni.

Kiedy słońce nam się przyśni, burza z snu ocyka,

Mary duszy dzień zagłuszy i wszystko poznika.

Najśliczniejsze zorze gasną w dniowej niepogodzie,

I nadzieje het popłyną, jako liść po wodzie. —

Popatrzyła Halka nasza w zwierciadelko srebrne,
One wdzięki, one stroje, tak jej dziś potrzebne.
Nigdy ona nie myślała, jak się zrobić piękną,
Jeno na tę jedną chwilę, gdy razem poklękną:
„Mój jedyny taki świeży, a ja taka zwiędła,
Jakbym złotą nitkę życia do końca wyprzedła!“ —
Krótka trwoga w młodem sercu, rumieniec ją skraśnił,
A w tej chwili błysk piorunu świetlicę rozjaśnił.
Przestraszona odskoczyła od zwierciadła młoda,
Wtem Jan weszedł do świetlicy, wróciła pogoda.
I wyciągnął ramion dwoje do swej Halki złotej.
Niechże teraz deszcze sieką, niechże huczą grzmoty!

— Prędeż, prędeż, Haluś moja, oto twoje drużki,
Do wesela dobre serca, do taneczka nóżki. —
I przezedrzwi otworzone pokazał jej w dali
Postrojonych dziewcząt troje. Co wstążek, koralu!
Głośnym śmiechem się zaśmiały trzy dziewczęta z wioski.
Białe na nich sukieneczki, w włosach złote kłoski;
Za druchnami matka pani złoty grzebień niesie,
Rozbijaj się teraz smutku po boru po lesie!
Otoczyły pannę młodą drużki jak anioły,
Radość błyszczy jak słoneczko od twarzy wesołej.
Posadziły pannę młodą, jak różę na grzędzie,
A szczebiocą by ptaszyny, jak jej pięknieć będzie.

Ta podaje sukieneczkę, druga wstążek wiązkę.
Ta jej niesie rozmarynu, ta myrtu gałązkę;
Zagaduje, przyśpiewuje jaskółeczka w strzesze,
Matka złotym jej grzebieniem złoty warkocz czesze.
Wypięknili, wystroili, Halka się spojrzała,
Pogasiła drobne kwiatki śliczna lilja biała.
Kto by poznał sierotęńkę, chłopiankę ubogą,
Same drużki, co ją znają, poznać jej nie mogą.
Młode drużki patrzą na nią, jak na wielką panią:
Niechże teraz przyjdą ludzie i niech jej przyganiają,
Kiedy takie śliczną dziewczę, że tylko zazdrościć,
Gdy za jeden uścisk słodki choćby roczek pościć.

Splakala się pani matka, gdy jej do nóg padła.
Patrzała się dobra pani, ledwie sobą władła.

Kiedy dziewczę zawołało: o mojaś ty święta!
Ja sierotka przybłąkana, ze śmiecia podjęta,
A wyście mnie przygarnęli, nieba przychyłili,
Wyście mnie za córkę wzięli, błogosławili;
To jakże się ja oderwę od tej twojej nogi,
Moja boska Opatrzności, mój ty skarbie drogi! —
Całowała ją w kolana, całowała w stopki,
A od łez się zasłaniały młode družki, chłopki.

Wtedy nasza święta pani, wzięwszy ją za rękę,
Rzecz: — Wstańże córko moja, nie mniejże sukienkę.
To nie nasza w tem zasługa, jeno Bóg tak sprawił,
To nie moja ciebie ręka, lecz On błogosławił.
Widno, żeś tak zasłużyła, byłaś dobra, zgodna,
Nikomu nie zazdrościwa, nikomu nie szkodna,
Pokochalaś polską ziemię, modliłaś się za nią,
To i pan Bóg tak uczynił, żebyś była panią.
Jeno córko moja miła zachowaj to sobie:
Żebyś drugim taką była, jak ja byłam tobie,
Moje dziecko najkochańsze, Haluś córko moja! —
I tak wyszli, jakby z nieba, z białego pokoja.

Przeszumiała czarna burza, chmury rzędły zwolna,
Odezwała się na łące cicha piosnka polna.
Gdy wracali od kościółka z gromadą narodu,
Z całej Polski sprowadzone grajki grały z przodu.
Co tam było dudek wdzięcznych, co tam było basów:
Niewidzieli tego ludzie z najdawniejszych czasów.
To mi szlachcic co się zowie, to człowiek, to dusza!
I tak cała kompanija od kościoła rusza.
Naprzód, jak się powiedziało, grajki jadą przodem,
Chłopki jadą z młodą panią, chłopci z panem młodym,
Co w sukmance granatowej z kwiatami u boku,
Jedzie sobie najszcześniejszy, wesołego wzroku.
Ksiądz staruszek z matką jadą na osobnej furce,
Matka to raz się po synu, to spojrzę po córce.
Przyjaciele Jana pędzą po chłopsku na koniach,
Rogatywki z pawiem piórkiem, harapniki w dłoniach.
Był Tchorzewski, był Węgierski, Rozmowski, pocziwi,
Gawarecki, Mazurkiewicz — wszyscy dziś nieżywi.
Wszyscy zmarli na wygnaniu, albo wśród szpitali,
Ci zabici od Prusaków, drudzy od Moskali;

Ci w francuskiej ziemi leżą, drudzy na Sybirze:
Nad polskimi mogiłami konik w trawkach strzyże.
A co komu do tych grobów, do tych polskich kości?
Dziś po chatach szpieg moskiewski i niemiecki gości.

Przyjechali od kościoła Warszawskim gościńcem,
Pod te lipy rozłożone, co stały wieniec.
Dalej skrzypki! Dalej basy! — to mi to zabawa!
Na około woń rozsiewa pokoszona trawa,
Posiadali starzy ludzie, jak gołębie, kołem,
Pani matka coraz stawia przed bieluchnym stołem,
Za nią noszą słodkie miody, za nią noszą piwo,
Coś go człeku tego wieku nie pil jako żywo.
Kolem, kolem po za stołem gospodarze siedzą,
Szklaneczkami słodki miodek jakby złoto cedzą.

Krzeszą ognia podkóweczki, człek się rozwesela,
Dalej skrzypku przepióreczkę! drugi krzyczy: chmiela!
Ażci naraz szmer pobieży pomiędzy gromadą:
— Hej chłopacy goście jadą, zdała goście jadą. —
— Prosim, prosim na zabawę, jeśli ludzie zacni,
A im więcej dobrych ludzi, weselić się łatwiej. —
Oj! bodajby tacy goście nigdy nie postali:
Na wesele jedzie żandarm i sześciu moskali.
Zatrzymała się muzyka, tanecznicze białe
Poglądały trwożnem okiem, wszystkie posmutniałe.
Przed godziną pokraśniałe, jak jabłuszka winne,
Teraz stoją całe białe i już takie inne,
Jakby mróz te kwiaty zwarzył, przeplukały deszcze;
Jeno pszczoła lecąc z siola coś tam brzęczy jeszcze.

Nie opowie w żadnej mowie, ni w żadnym języku,
Nie wyśpiewa w żadnej nucie, nie wykrzyczy w krzyku,
Co się w matki sercu dzieje, gdy jej dziecko wloką,
Choć rześistych łez nie leje osłupiałe oko.
Nie opowie bólu żony, jak ją miecz przepada,
Kiedy kowal przywołany kajdany nakłada.
Ni tam krzyku, ni tam wrzawy, rozpacz cicho płynie:
Serce wieki przeboleje w tej jednej godzinie.
Oj, malując się tam kwiaty krasne na kobiercu,
Każde młotka uderzenie odzywa się w sercu.

Polskie żony, polskie siostry, nieszczęśni rodzice,
Za waszemi dziećmi gonią wrogi przez ulice.
Łzą posiany, krwią zalany każdy polski kątek,
Czyje oczy nie widziały rzezi niemowlątek?
Kto zapomni krzywdę braci na moskiewskim rządzie,
Temu mściwy Bóg zapłaci na ostatnim sądzie. —

Przywołali dwóch kowali, kowale krew nasza,
Kowal patrzy na młodzieńca, wzrokiem się doprasza:
Jedno słówko, czy znak głową, a zagrają w młoty,
Serca prawe, ręce żwawe, chętne do roboty.
Jedno słówko niech wyrzecz, — hagnety na druzgi,
Po dziedzińcu kruk rozwlecze potrzaskane mózgi. —
Jedno słówko nie wypadło z uśmiechniętych ustek:
Złożył nogę na kowadło, zabrząkło wśród pustek.
To i czemuż łzy przelewać, gdy wróg krew przelewa?
Na dzień cudu zemsta ludu w cichości dojrzewa.
Nie daremnie krew się leje, łza powieki pławi,
Kropla rosy niedojrzana żelazo przetrawi.

Nim żandarmi pospieszyli przetrząsnąć dom cały,
Z drobnych listów w jednej chwili został popiół biały.
Jan popalił wszystkie listy, książeczki, notatki,
Toż wesoło zwrócił czoło do stojącej matki.
Już ostatnim przepalonym listkiem wiatr kołysze,
A po pruchnie, nim wiatr zdmuchnie, iskra „Wolność” pisze.
Przelatują drobne iskry po białym popiele...
Już na dachu. Niema strachu. — Dalej przyjaciele!
Snujcie dalej złotą przędzę, wróg się nic nie dowie,
Szczęście nasze, w górę czasie, polskiej pieśni zdrowie! —

Krótkie było pożegnanie i jakby bez żalu:
--- Żegnaj matko. — Żegnaj Janie! — Nie ciesz się moskalu!
Nie usłyszysz twoje ucho jęku, łez rozpaczy,
Rozwścieklone oko twoje trwogi nie zobaczy.
Kładź na polskie serce ucho, ty moskiewski szpiegu,
Serce równem bije tętnem, nie przyspieszy biegu.
Oj nie tobie serce badać, co w niem płynie na dnie,
Jasne lica, tajemnica jak w morzu przepadnie.
Kiedy Jan się zwrócił k'żonie, moskal ruszył za nim,
I potrząsnął mu nad głową cesarkiem pisaniem:

— Dalej w drogę, panie młody, trzeba z nami jechać,
Nie czas, nie czas, panie Polak k'żonce się uśmiechać. —
Podpiął kaszkiet dziki moskal, uderzył po szabli:
— Droga równa, dobre konie, polecim jak djabli. —

— Halko moja bywaj zdrowa, cicho, żadnych płaczy,
O na Boga, moja droga, bo lzy wróg zobaczy.
Nic nie wiedzą, nie wyśledzą, toż i rychło może
Zaśmieje się dawne szczęście w naszym starym dworze.
Cicho, cicho, gołabczko, wszaké to czas nie wieczny. —
Na te słowa nieszczęśliwą porwał płacz serdeczny.
Poczęła się śmiać tak głośno, wyprężona cała,
Jakby cała ziemia wkoło z boleści się śmiała,
Jakby wszystkie ciemne drzewa uderzyły śmiechem.
Śmiech rozlegał się po dworze najsmutniejszym echem,
Śmiech straszliwy, przeraźliwy, aż powstają włosy,
A po śmiechu jęk okrutny i płacz w niebogłosy.
Otoczyły druchny młodą, poniosły na łóżko,
— Czas do ślubu, czas do ślubu. prowadźże mnie drużko. —
Otoczyli muzykanty na łożu leżącą,
I czemuż jej krakowiakiem żalu nie roztrącą?...

Placz w świetlicy panny młodej przyciszył się zwolna,
I zasnęła snem kamiennym jak ptaszyna polna;
Czy omdlała, czy zasnęła, czy skonana może,
Bo tak leży sztywna, biała, rzucona na łoże.

Oj za małoś ty doznała nędzy biedne dziecię,
Oj za małoś ty zaznała nędzy na tym świecie!
Zanim dusza się wywlecze z nieszczęsnego cielska,
Musi stać się od łez czysta, niebieska, anielska.

Cisza wkoło, milczy siolo, sercu żyć niechętno,
Gdzie się spojrzysz w szarem polu, jak na trumnie smętno.
Pocztarz na trąbkę grzmi blaszaną i konie zacina,
A pocztarską pieśń na trąbce powtarza dolina.
Bryczka leci po gościńcu, chłopskie wozy dzieli.
Jak szatany polecieeli z nim do cytadeli.

I czyjaż to biała szata, jakby skrzydło biała,
Ode wzgórką za jadącym więźniem powiewała?

I czyjaż to mu pociecha w tej chwili potrzebna,
I czyjaż to wyciągnięta k'niemu rączka srebrna?
Czy to anioł polskiej ziemi, co mogilek strzeże,
Nad krzyżami polskich dziełek śpiewając pacierze?
Czy to jego miła Halka tak ku niemu mruga?
Wyschła postać pochylona, suknia na niej długa...
Ni to anioł, ni to żona, jeno matka siwa,
Ręce w górę podniesione, włosy wiatr rozrywa.
Ode wzgórza wciąż się bieli — wkoło cisza senna —
Anioł bólu... W głuchem polu stoi jak kamienna.

IV.

Słońce wschodzi z po za lasu, doliny wygrzewa:
Szczęśliwe te szare pola, szczęśliwe te drzewa!
Jak to onym dobrze w słońcu, jak się to roznaga
Ona brzoza pękająca, ona ziemia naga!
Wierzchem już się trawa puszcza, jeży się jak szczotka,
P'o tej zimie nieszczęśliwej wraca wiosna słodka.

Słońce świeci dobrotliwie, lecz tam nie przecieka,
Gdzieby było miłosierdziem dla biednego czleka.
Nie zachodzi w czarne ściany onej głuchej wieży,
Gdzie w kajdany okowany smutny młodzian leży.
Dwa lata go dzieli krata od białego świata,
Bez słońeczka, bez słoweczka, oj długież to lata!
Sam do siebie gadać musi, by nie ogłuchł w głuszy,
Żebyż jaki głos ze świata, chociażby brzęk muszy.
Poleć, poleć muszko szara, jest ktoś co cię prosi,
Co na rękach i na nogach ciężki łańcuch nosi.
Poleć, poleć muszko szara, zlego ci nie zada,
Napijesz się onej wody, co mu z oczu spada.
A ty czarna jaskółeczko, szczebiotko niegodna,
Nie kręć mi się nad rzeczulką, nie zaglądaj do dna:
Poleć, poleć jaskółeczko pod to okno z kratą,
A przelatuj z nieszczęśliwym aby jedno lato.
Każde rade chwycić szczęścia choć aby okruszek,
Szara muszka szuka miodu, jaskółeczka muszek,
Cały świat za szczęściem goni, od biedy ucieka,
Prócz jednego tylko serca dobrego człowieka.

Na dnie wieży młodzian leży na przegnilej słomie,
I jakby mu już odeszła tęsknota po domie,
I jakby mu już przegrały nadziei piosenki,
Jakby mu już spowszedniały wszystkie świata wdzięki,
Nie spogląda wkoło siebie, nie gada, nie wzdycha,
Jak ta płonka kalinowa, co w polu usycha.
Długa broda mu urosła po kolana, czarna,
Ręce wyschły jak te kije do mlócenia ziarna.
Noc ponura naokoło, nieprzespana, długa,
Przez okienko kratowane błąda gwiazdka mruga.
Czasem miesiąc biały stanie, wypatrzy swe wzroki,
I przesunie cichy cały, w cichości głębokiej.
Na więzienia, na cierpienia wejrzy okiem smutnem,
I zakryje oczy chmurą jak niewiasta płótnem.
Za falami, za wodami szumią ciemne puszcze,
Za murami, za krzakami sina Wisła pluszcze.
Za wodami, za falami w księżycznej jasności
Wiatr porusza nad wzgórkami pragskich dzieci kości.
Śpij spokojnie, bracie miły, sen smutki łagodzi,
Co tam będziesz myślał o tem, że gdzieś słońce wschodzi.
Masz ty w sobie takie słonko, co się wiecznie błyszczy,
Słonka twego prześlicznego sam Pan Bóg nie zniszczy.
Śpij szczęśliwie, nim na niwie zabłyśnie poranek,
Zanim brzęknie w polu pięknie piosnka nadwiślanek.
Zimą, latem twoim światem cztery głuche ściany,
W zimie śniegiem Wisły brzegiem cały kraj zawiany.
Kiedy Wisła w biegu stanie, twardym lodem skrzepnie,
Kruk zagląda w twe mieszkanie, skrzydła z śniegu strzepnie.

Hej, cóż to tam za muzyka, co ją słychać zdala;
Czyto gruby mur przenika nadwiślańska fala?
Co się nie śni, pieśń po pieśni do duszy się wlewa,
Hej żebyż to widzieć można, kto tak pięknie śpiewa.
Czy po lesie głos się niesie, po rosie, po rosie
Piosnka znana wiatrem wiana: znam cię śliczny głosie.
Czekaj, czekaj, nie uciekaj na dalekie wzgórze,
Znam te głosy z mokrej rosy, powtórzę, powtórzę.
Coraz bliżej, coraz hyżej, cudneż weselisko,
Jak za drzwiami brzmi pieśniami tak blisko, tak blisko! —
Młodzian ze snu obudzony porwie się z pościeli,
Przed oczyma murów nie ma, jasny świat się bieli,

Słońce bije w samo czoło, zda się nad sufitem,
Otoczył go Bóg wokoło najczystszym błękitem.
Jego skroni wdzięcznie dzwoni złotych ptaków wieniec,
Woń zawiewa, a lud śpiewa piosnkę wiejskich żeniec.
Oczom swoim nie dowierza, postać w złotej lamie
Jak pod duchną, dłoń leciuchną składa mu na ramię.
Nad nią w górze, jakby w chmurze, moc srebrnych gołębi,
Położyła dłoń na ramię, a serce mu ziębi...
Chwycił szatę jej złocistą, w rękach nie została,
Jakby z złotej chmurki tkana, w wietrze się rozwiała.
Spojrzy w oczy blask uroczy, nad nim drugie słońko,
Matki skronie uwieńczone krwawych róż koronką:
Matko moja, postać twoja znika mi już, znika;
Słońca smugi, twój płaszcz długi i pieśń i muzyka...

Krótko trwała jasna chwala, ciężki mrok na jawie,
Koło wieży krzyk żołnierzy, krzyczą jak żorawie. —

V.

Witaj, witaj błogie lato, pomnę ciebie lato,
Gdy rzeźwiące weszło słońce nad rolnika chatą:
Coto było wesołości w każdym kątku kraju.
Na zagonie, na wód lonie i w zielonym gaju.
Ptaki piękniej szczebiotały przyśpiewując z góry,
Złote piosnki się pisaly złocistemi pióry,
I na każdej ludzkiej twarzy pociecha jaśniała,
Na źrenicach się błyszczała, w oczach przewijała;
Było wtedy patrzeć na co od Dniepru do Buga,
Po wodach się rozbijała jedna piosnka długa,
Wtórzyły jej po galarach te flisowskie wiosła,
I do morza piosnka hoża po wodzie się niosła.
„Jeszcze Polska nie zginęła“, każde usto szepce,
Od biedaka co gościńce bosą nogą depce,
Aż do dworu szlacheckiego, do białych kamienic.
Oj błyszczała Polska nasza z rozjaśnionych źrenic,
Każdy sobie szczęście wróżył, że już w progu stoi:
Gdzie wy bracia mej młodości, towarzysze moi?
Gdzie wy moje sny pieszczone, gdzie ty polska chato?
Jakżeś prędko przeminęło moje rajske lato!

Znowu cicho, znowu głucho, w narodzie rozterka,
Ledwie, ledwie że się śmieje nadziei iskierka.
Na mogiłach drogiej braci w liście wiatr szeleszcze,
Latoż moje, złote lato, przyśnij mi się jeszcze!

Byłci wtedy wielki żołnierz, szkoda że go niema,
Całą Polskę przebiegało jedno imię Bema.
Zdawało się, że to imię z deszczem letnim spada,
Zdawało się, że to imię martwa ziemia gada,
Że je szepcą liście drzewa, smug smugu podawa,
Że nim szemrze rozbarwiona po dolinach trawa.
Z latem nowem nad Krakowem rozbłysły się zorza,
Srebrna, biała zstępowała jakaś radość boża,
A od Węgier roznosiły skrzypki i multanki:
„Polak, Węgier dwa bratanki, do boju, do szklanki”. —
Takie to niedawne czasy, a zda się pół wieku,
Oj, bo długo czas się wlecze takim, co czeka.

Hej ty Bemie, polski wodzu, złota gwiazdo zbladła,
Czemu twoja polska dusza od nieba odpadła?
Nie miałeś ty polskiej wiary, nie uczciłeś wiary,
I popadłeś polski wodzu między błędne mary.
Lepiej było zginąć tobie, zagrzebać się w ziemię,
Jak turecką przyjąć wiarę!... oj Bemie ty Bemie,
Nieznałeś ty polskich ludzi, silnych na niedolę,
Opuściłeś naszą wiarę, nasze złote pole,
Zbłąkało się serce twoje w godzinie rozpaczey:
Toć już Pan Bóg miłosierny pewnie ci przebaczy.
Tylko zboże potracone, co wschodziło pięknie,
I twoje imię w chałup dymie na lirze nie brzęknie,
Boś je w naszych sercach zmieszał z tureckim pogaństwem,
W oczach dzieci łza nie świeci za twojem hełmaństwem...

Car się wyląkł twojej mocy, wyląkł twojej sławy.
I przyleciał car moskiewski jak kruk do Warszawy.
Zapatrzyła się ojczyzna, słowa rzec nie śmiała,
I na wodze na swej drodze patrzala, czekała
Wyglądali starce biali przed progami chaty.
Rychło śmiały orzeł biały wzleci nad Karpaty.
Za Tatrami orzeł latał, nie wzleciał nad skały,
Aż spadł w ziemię, oj ty Bemie, oj ty orle biały...

Gdy zobaczył car moskiewski, że orzeł nie wzłata,
Zebrał wojsko niezliczone z wszystkich końców świata,
I ciągnęły czarne kruki przeciw orłu w pęcie,
Znowu zima, orla niema i po naszym święcie...

Po gościńcach ciągną tłumy baszkirów, kałmuków,
Nad krukami moskiewskimi ciągną stada kruków,
Dudnią działa, Polska cała żoldactwem pokryta,
Podeptane polskie zboże, pszenice i żyta.
Ciągnie moskał, za moskałem, by czarna żaloba,
Przez ojczyznę się przewłóczy nędza, głód, choroba,
Chaty one spustoszone, krzyk i pomsta boża;
Kruk moskiewski rozdarł gardło od morza do morza,
A w Krakowie, przed kościołem, gdzie świętości nasze,
Dziki moskał na polaków poostrza pałasze.

Ostrzą zbójcy szable swoje, lecz są między nimi,
Których moskał pozabierał od chaty, od ziemi.
Kto się wpatrzy w blade lica, których smutek strzeże,
Taki snadnie z lica zgadnie, co to za żołnierze.
Łzy ich mętne, oczy smętne, boleść nad powieką,
Niosąc brzemień, depcą ziemię, jak mary się wleką,
Pod moskiewskim karabinem pada jak pod krzyżem.
Zmówcież pacierz, polskie dzieci, za takim żołnierzem.
Nie będzie on po chałupach nieszczęścia roznosił,
Nie będzie on z ludźmi gadał, nie będzie on prosił,
Bo mu troska z biednych oczu wygląda żałośnie:
Gdy chleb polski weźmie w usta, to mu w ustach rośnie.

Nie pod każdym burym płaszczem siedzi dusza bura;
Spojrzyj ino jak łzy płyną, jak cięży ta skóra;
Zrzuciłby on ten karabin i ten płaszcz ze siebie,
Gdyby na nas miłosierny wejrzał Bóg na niebie.
Po niebiosach smutnym wzrokiem jak męczennik wodzi,
Jasne słońce codzień wschodzi, anioł nie przychodzi.

Krwawe życie, straszne życie, a kto je wypowie?
Ciężkiej doli, naszej doli nie wygada w słowie.
Ciężka dola, polska dola łzy poruszy w głazie,
Łzą posiane, krwią polane góry na Kaukazie.
Orzeł kuje ostrym dziobem na polskim czerepie,

Znam was groby usypane w orenburgskim stepie.
Czasem zda się świtać zorza śmierci naszych katów,
Gdy piekielne klątwy rykną pomarzętych żołdatów.
Wolno klątwy rzucić czerni nad wolnych ruiną,
Klną przekłęci niewolnicy i za cara giną. —

Przeszedł moskał przez Karpaty na węgierską stronę,
Plon rolnika z ziemi znika, w nocy widać łunę.
Cisza po tej gór połowie; lecz gdy wiatr powieje,
Słychać, jak tam gospodarzą moskiewscy złodzieje.
Lecą, lecą ciężkie dymy od węgierskich równi,
W galicyjskiem polu słychać zapach świeżych głowni.

W jedno rano rozkaz dano, wstrzymały się szyki,
Węgry stoją nad Dunajem: — Rabiata na sztyki! —
Leci złoty pulk konnicy, jak gradowa chmura,
Eljen! Węgry z jednej strony, z drugiej: hura! hura!
Świsły szable mężnych Węgrów, poszedł krzyk w niebiosy,
Stoczyły się łby moskiewskie jak pod kosą kłosa.
Odpadają jednym cięciem karki od tułowi,
Przelecieli dzielni węgry, lecą męże nowi;
Chorągiewki krasno-białe furknęły jak płacy,
Lica jasne, czapki krasne: polacy, polacy!
Ścisnęła się w czworoboki moskiewska piechota,
Zahuczały ciężkie działa, ziemia drży od grzmota.
Od węgierskich armat huczą straszne strzały celne,
W Moskwie lesie kula niesie wyręby piekielne.
Po szeregach krzyczą wodze: luzuj, luzuj skoro!
Zmarłych trupy wojsko depce, rannych w tyły biorą.
Ktoby spojrział chłodnem okiem, jak się biją wściekle,
Ktoby patrzył na moskali, myślałby że w piekle:
Taka wściekłość na ich twarzach albo trwoga blada.
Ten co strzelił, ledwie strzelił, chwieje się i pada.
Oczy zwierza sen śmiertelny, ręka ziemię chwyta,
Podnosi się by upadać, konający zgrzyta. —
W owym tłumie rozwścieklonym lub od trwogi drżącym
Czyżęć lica blask oświeca, jakby cudnem słońcem?
Nie poznajesz przyjaciela? spiesz się zajrzeć w oczy,
Nim te oczy tobie znane nagła śmierć zamroczy.
Spiesz się, spiesz się przyjacielu, spojrzuj jak się składa,
Nimżeś zoczył, sen go zmroczył, chwieje się i pada.

Uśmiech usta mu okrasił, padł karabin z ręki,
I nim wieczny sen go zgasił, krzyknął: Bogu dzięki!
A z tem słowem piękna dusza od ciała uciekła,
Zginał polak nieszczęśliwy, dusza wyszła z piekła.
Lećże teraz duszo polska, cicha duszo święta,
Anielskimi pióreczkami z ciała wyciągnięta.

Nad doliną zorza świeci, cisza wkoło senna,
Gdzieś ku polskiej stronie leci złota gwiazdka dzienna.
Gdzie nad wodą, ponad brzegiem stały wrogów szyki,
Stoją dzielnym tam szeregiem Węgier wojownicy.
Rozstawione w polu straże; widno z szarych łąnów:
Cichy wietrzyk z pola dmucha w proporce hulanów;
„Jeszcze Polska nie zginęła“, słychać pieśń na błoni,
Szczęsny, komu ta piosenka w wolnem polu dzwoni.
Szczęsny polak, co ją słyszy nad wrogów upadkiem,
Szczęsny, kto był takiej chwili choć raz w życiu świadkiem.
Od zagonu do zagonu hulani się włączą,
Przeglądając po tornistrach czem się wrogi juczą.
Leży żołnierz na zagonie, krew wyciekła z rany,
Obrazek mu Matki Boskiej widać z pod sukmany,
Na blasze się pozostała reszta złota blasku,
Oj poznali nasi bracia brata po obrazku.
Smutnem okiem spogląda dzielna wiara nasza,
Wyciągnęli mu ładunki bracia z patrontasza,
Wyciągnęli, popatrzyli na ładunki one,
Proch posypał się z papieru, kule odgryzione:
Znać ślepemi ładunkami do swych braci strzelał,
Zginał, zginał polak prawy, bratniej krwi nie przelał.
Żal serdeczny objął dzielną polską naszą wiarę,
Popatrzyli na żołnierza, na smutną ofiarę.
Chłodne czoło wietrzyk gładzi, szmat na piersiach wzrusza.
Zostało się polskie ciało, poszła polska dusza...

Któż to zdąża z poza wzgórza towarzysze mili?
Czyjaż się to postać biała nad trupami chyli?
Czyja postać od zagona zdąża do zagona,
Markietanka, czy kochanka, czy żołnierska żona?
Hej to nasza Halka młoda patrzy w trupie lica,
Zwiedta lica jej jagoda, włosy wiatr rozchwycą.
Przybliżyła się nieśmiało do polskich żołnierzy,

Gdzie jej miły Jan kochany cały we krwi leży.
Załamala białe dłonie i upadła krzyżem,
Nad polakiem nieszczęśliwym, moskiewskim żołnierzem:
Nieszczęśliważ moja dola, oj biednaż ja młoda,
Niech się zbliżę k'czystej wodzie, wyschnie czysta woda!

Komuż to tak smutno grają na trąbach trębacze?
Nad kimże to polska wiara lzy rzewnymi płacze?
Komuż, komuż postawili krzyż cierniem obwity?
Pod mogiłą leży w polu męczennik zabity;
Słońce wschodzi nad mogiłą, wiatr na groby leci,
Polskie serce się świeciło jak to słońce świeci;
Zginał polak nieszczęśliwy wśród wrogów bez chwały,
Białe słońce patrzy z góry, jakby anioł biały.
Skowroneczek wzłata w górę, nad mogiłą nuci!
Kędyż takie ludzkie serce, co się nie zasmuci!

Pochwyciła Halka ziemi, do nieba podniosła:
Jeśli ciebie ja zapomnę, bodajm w ziemię wrosła!
Poprzysięgła Halka młoda, Bóg przysięgi słucha...
Ponad głowy krzyż brzozy i mogiła głucha.

VI.

Przemijają szybko lata w szczęściu czy w niedoli,
Długo boli ludzkie serce, lecz w końcu przeboli;
Czasem zda się, że przeboli straszny palec boży,
Wiatr powieje od mogiły, rana się otworzy.
Oj nie śpiewaj smutna duszo, nie dowierzaj sobie,
W serce wryty ból ukryty skończy się aż w grobie. ---

Powróciła Halka młoda między swoich ludzi,
Cudne lice wzrok zachwyca, miłość w sercu budzi.
Przygarnęli biedną wdowę, chatę jej otwarli,
Nędzę biedy opatrzyli, z oczu lzy otarli.
To i jakże wdzięczne serce wdzięczność ma utracić,
To i jakże dobre serce sercem nie zapłacić?
Uśmiechnęła się Halina serce drgnęło żarem,
Związała się dusza cała jakby jakimś czarem,
Wyciągnęła k'szczęściu dłonie i w tejż samej dobie,
Jakby anioł ją uderzył siedzący na grobie,

Jakby jego skrzydło złote po duszy powiało,
Zapatrzyła się na ludzi twarzą skamieniałą;
Cudne światło w oczach zgasło, co świeciło we sny,
Tylko zarzy się na twarzy jej uśmiech bolesny,
Tylko jedno cichym głosem dniem i nocą woła:
Niegdyś żywa ja szczęśliwa kochałam anioła.
Na pytania dobrych ludzi wciąż im jedno gada:
Ja anioła pokochała, to biadaż mnie biada...
Tam daleko na mogile zgasło moje zorze,
Kto był szczęśny choć na chwilę, zapomnieć nie może. —
Kto wyciągnie do niej rękę, nie pomyka ręki,
I w nagrodę śpiewa młode dawnych lat piosenki:
Danaż moja dana dana... i piosenkę utnie,
I spogląda tak wesoło, a tak strasznie smutnie,
I wraz zlecą łzy rzesiste i ciężkie westchnienia,
A tak martwo, jak nie z piersi, jak gdyby z kamienia. —
Jednej nocy burza grzmiała, srogim gradem siekła,
Biedna Halka oszalała, od ludzi uciekła.
Próżno za nią rozeszali po gościńcach gońce,
Pustą izbę biednej wdowy oświeciło słońce.
W niepogodę słońce błysło, zgasło w niepogodę,
I przepadła sieroteńka jakby kamień w wodę.

Cichym krajem nad Dunajem stary lirnik kroczy,
W Dunaj lśniący, w strumień rwący wpatrzył smutne oczy.
Środkiem wody płynie dziewczę w sukieneczce białej,
Kalinowy liść z jej głowy fale oberwały,
Białe róże płyną za nią oderwane-falą,
Szare ptaszki nad umarłą w powietrzu się żalą,
Zimne oczy fala moczy w słonecznej pogodzie,
Popłynęło młode dziewczę jak listek po wodzie.

Niema Halki, niema Jana, szumi wróg po kraju,
Wietrzyk leci, słońce świeci po modrym Dunaju,
W polu piosnka smutna dzwoni od brzegu do brzegu,
Po pagórkach się rozbija, po wodzle rozlega:
„Oj pogonią ich, pogonią z powrozem na szyi,
Już im więcej nie zadzwonią dzwony Kołomyi“.

ZAKOŃCZENIE.

Staął lirnik mazowiecki na łomnickiej górze,
Rozwiała się siwa broda w owej siwej chmurze:
— A co po mnie, co po tobie liro mazowiecka,
Coś mi w życiu przygrywała od małego dziecka.
Liro moja, polskiej pieśni już ja nie zanucę,
Szumi Dunaj pod górami, już cię chyba rzucę.
Dziecko moje ukochane, idź już precz odemnie,
Nie pomogą twoje żale, daremnie, daremnie!
Niech cię aby raz ostatni do serca przygarnę,
Nim polecisz, liro moja, na te fale czarne. —

— „Hej ty dziadu”, — słychać głosy nad szarą Łomnicą.
Karpacki to krzyczy orzeł z karpacką orlicą,
Co po jasnym lecą niebie; cień od skrzydeł pada;
Zakrzyczały orły siwe na starego dziada:
— A czy wiesz ty przekleśniku, co się w sercach dzieje?
Ha, stracona twoja dusza, gdyś stracił nadzieję. —

— Polskie głosy, szumne głosy, — jęknął dziad ubogi,
Wkoło góry, skały, chmury i dalekie drogi...
Orły moje! nędze, znoje mnie już kończyć trzeba,
Latacie wy po niebiosach, dajcież kawał nieba...
Nie chcę chleba, nie chcę soli, ni żadnej jałmużny,
Jeno proszę o spoczynek ubogi podróżny. —
Nad szaremi Karpatami polskie orły kraczą:
— Nie zamkną się oczy twoje, aż Polskę zobaczą. —

Polska! Polska! miły Boże! oko we łzach staje,
Schyli ucho do lirenki, lira brzęk wydaje;
Złożył palce na klawiszach a karpackie skały
„Jeszcze Polska nie zginęła”, hucznie odebrzmiały.
Zaśpiewały niskie chaty w podkarpackiej kniei,
Niemaj żalu bez pociechy, życia bez nadziei;
Za młodziana, za dziewczynę westchnie lirnik z duszy,
I ojczystą lirę niesie pod szalas pastuszy.
Szumią świerki nad Dunajem, szumią nad szalasem
Została się polska lira z chłopem skotopasem.

OFIARY POLKI.

Miałam srebrne schowadelko,
W nim złote szydelko,
I naparstek szczerozłoty,
Przedziwnej roboty.

Kiedy przyszło dawać składki
Dla braci na życie,
Schowadelko ze szufladki
Wyciągnęłam skrycie,

I oddałam w ręce człeka
Co te składki zbierał;
Brodę miał białości mleka,
Kijem się podpierał.

— Bóg ci zapłaci gołąbeczko! —
Rzecz dziadek rzewnie...
A ja trzymam za słóweczko:
Bóg zapłaci pewnie. —

Miałam perły po babuni
Cztery białe sznurki,
Dla dziewuni, dla Ewuni,
Dla maminej córki.

Alem się w nie nie stroiła,
Nie miałam na sobie,
Odkąd matka mi mówiła,
Że ojczyzna w grobie,

I że Polce nie przystoi
Taki strój bogaty,
Pokąd kraj się nie przystroi
W narodowe szaty.

Przyszła potem druga składka,
Znów dziadek w podwórko;
Zawołała na mnie matka:
— A ty co dasz córko? —

A ja dziewczę jasnowłose
Moje perły niosę.
— Bóg ci zapłaci gołąbeczko! —
Rzecz dziadek rzewnie,
A ja trzymam za słóweczko:
Bóg zapłaci pewnie.

Miałam suknię atlasową,
Nietykaną, nową,
Suknię białą, szal pasowy,
Nietykany, nowy.

Przyszła wieść, że Polska wstaje.
Sztandar bierze w rękę,
Jaka taka wszystko daje:
Poprulam sukienkę.

Moja suknia z moim szalem
Zszyta we dwa bryty,
To ten sztandar przed moskalem
Na polu rozwity.

Srebrny orzeł z srebrnej lany
Com miała od mamy;
Matkę'm Boską haftowała
Jak mogła, umiała.

Całą nockę z matką szyję
Śpiewając piosenkę:
„Jak ojczyzna się wybije,
Pan Bóg da sukienkę“.

Pokochałam Jasia wcześniej,
Jeszcze jak był mały,
I marzyłam o nim we śnie,
Marzyłam dzień cały.

Przyszli nasi zawołali:
„Jasiu, na Moskali!“
I poleciał jakby ptaszę
Na te pola nasze.

Dawno już temu, — czas pędzi skoro —
Jak to niebieskie widać jezioro
I nad jeziorem wśród dębów cieni
Klasztorzek cichy z białych kamieni:
Święty Franciszek na eremicie,
Od dziecka ciche prowadził życie.

Dziwna tęsknota piersi mu parła;
Ziemia dla niego wcześniej umarła,
Na której jeszcze ostatni wierni
Żyli, jak ona owca wśród cierni,
Co gdzie się ruszy, gdzie się posunie,
Zostawia runo i krew na runie.

Na smutne czasy boża prawica
Zwykle płonąca świecę rozświeca,
I swoim światłem ciemność rozprasza.
Owo cudowna dziecina nasza,
Naga na polu i cery płowej.
Jako ów niegdyś Zacharjaszowy,
Od małości klęczała w kątku;
Dziwo, skąd taka mądrość w dzieciątku. —

Nieraz bywało matka się zdumieć:
Chce uczyć czego, a to już umie...

Raz, nie wyrzekłszy słowa nikomu,
Wyszedł z miłego rodziców domu
I w las się puścił, a krok za krokiem
Coraz to głuszej w boru głębokiem;
Drzewa się wiążą ramion plecionką,
Gdzie nigdzie tylko prześwieca słońko;
Ujrawszy tedy, że w boru zbłądził,
Żalować począł, że się porządził.

A wtem przy wodzie na mokrym lesie.
Co zielen brzegów i światło niesie,
Ujrzał przedziwną liliję białą.
W której się nieco wody zostało;
Więc się rozpatrzył i wnet radośnie
Rzekł: owo lilja bez ludzi rośnie...

Potem zobaczył ptaka na krzaku,
A pióra były barwne na ptaku,
Świetna koronka, ogon się mieni
Jaskrawym blaskiem drogich kamieni:
— Ha tak, pomyślał, będę rozpaczał?
Bóg, który ptaka w niebie umaczał.
To i mnie przecie zaginać nie da;
Co mi tam bieda, bieda nie bieda...

Lecz gdzie tu spocząć? aż wpośród cieni
Dwoje zobaczy śpiących jeleni,
Toż go ucieszy sen taki błogi;
Na igłach sosen krzaczyste rogi.

— Mogą jelenie to i ja mogę; —
I nie szukając, jak wyjść na drogę,
Im dalej idzie, tem coś go znęca.
Tymczasem weszła gwiazdka zwierzęca.
A z gwiazdką smutek... nie że w Paolo
Po drogach miejskie dzieci swawolą,
Lecz że pod wieczór światła i woni,
Dzwonek z kościoła słodko tam dzwoni.

A wtem, gdy słówka rzewliwe jąka,
Słyszysz wyraźne brząkanie dzwonka,
Był to źródł czystej wody niewielki,
Który powoli sączył kropelki.
Przy onym źródłu cicho a szczerze
Zmówił *Ojcie nasz. Zdrowaś i Wierzę*
I spał, jak żaden ze ziemskich króli:
Ptak szarym skrzydłem główkę otuli,
Lilja na zmroku wonny liść zwinie,
I dosyć oczy zmrużyć dziecinie...

Nazajutrz wcześniej zagłada słońce,
I cieszy kwiaty we łzach stojące.
A rozbudzone wszelkie stworzenie,
Woła do Boga o pożywienie —
Ptak po swojemu. zwierz po swojemu
A pan rozdaje temu i temu.
Wie On najlepiej. co komu trzeba:
Ptakowi ziarna, sierocie chleba,

A świętym ludziom o rannej dobie
Kruk polny niesie podpłomyk w dziobie.

I wszystko żyje i Boga chwali,
Lwy po pustyniach, ptaszkowie mali,
I bocian, który po łąkach brodzi,
Przepiórka małe w zboże wywodzi,
Niedźwiedź otwiera głodną paszczkę,
I wszystko patrzy na bożą rękę.

Pod Opatrzności bożej opieką,
Dnie na modlitwach świętemu cieką,
Dnie, lata całe; z białego lyka
Dobre okrycie dla pustelnika:
W drzewnej plecionce jak zwykła mata,
Okrywa nagość przed wichrem świata,
Ach! i przed ludźmi, bo w jakąż knieję
Człowiek nie zajdzie, wiatr nie zawieje?...

I ten i owy w pustynię spieszy,
A święty co dnia mówi do rzeszy:
— Porzućcie próżne języków sprzeczki,
A spokornijcie jako owieczki,
Boście owieczki Chrystusa paszy,
Miejscy, rycerze, panowie naszy. —

I od dnia do dnia do siebie wabi,
Zzutych z żelaza, z drogich jedwabi;
Coraz to jakąś duszę zachwyci,
Jako paciorki do jednej nici.

I tak postarzał w jarzmie kościoła,
Wynióslszy w niebo stu wieży czoła
W miejscach dalekich od świata waśni,
Gdzie ciała świeżej a duszy jaśniej,
Kędy nie dojdzie ludzka obłuda.
Przez święte ręce dzieją się cuda:
Jedno a drugie powtarza rzesza,
Jak chore leczy, umarłe wskrzesza,
Jak przed klasztorem jednego ranka
Obciągniętego wskrzesił baranka;
Jak raz braciszka święcie zadziwił,

Gdy mu w kuchence żółwia ożywił;
Jak czasem w chwili od pracy wolnej,
Rodzaj się k'niemu zlatuje polny:
Ptaki poleśne w radości błogiej,
Skaczą na jego habit, na nogi,
A otwierając skrzydła i dzioby,
Cześć mu na różne czynią sposoby.

Toż, spoglądając na starość świętą,
Zda się, że rajską bramę zamkniętą
Po długich wiekach anioł odmyka,
I że nie starca, nie pustelnika,
Lecz, gdy się jasna otworzy brama.
Widać pod drzewem ojca Adama,
I mnogość ptaków, różnego zwierza,
Które mu stwórca świata powierza.
Szczęśliwy, o kim nikt się nie dowie,
Nikt o nim złego słowa nie powie,
Ani przygany, ani pochwały,
Temu w spokoju przejdzie wiek cały.
Lecz o kim naród wiele rozgada,
Choćby najświętszy, biadaż mu biada!

Święty w pustynnem schronieniu żyje,
Ale że łaski bożej nie kryje.
Rychło się o nim powieść rozszerzy,
I król to słyszy, słysząc nie wierzy.
A rad świętego zobaczyć wielce,
Wpółśród zwierzyńca krzyknie na strzelce:
— Hej! wy łucznicy sprowadźcież go tu,
Rychło waszego czekam powrotu. —
A tak łucznicy, k'temu zwyczajni,
Najlepsze konie zabiorą z stajni,
Psy też ze sobą wezmą myśliwskie
I wnet się w bory zapuszczą bliskie.

Lasyż to lasy, dzikie gęstwiny,
Najprzeróżniejszej pełne zwierzyny.
Pomknęła sarna, pędzą za drugą
I lecą borem długo, tak długo.
Ażci nareszcie o słońca wschodzie
Ujrzą laniątko przy cichej wodzie:

Staw był szeroki, ocienion drzewy,
Po stronach rosły krzaczyste krzewy.

— Hop! hop! — nieboga spojrzę w tę stronę,
Widzi dwie paszcze zdala czerwone:
Przesadza klody drzew, co pogniły,
Skacze, ostatniej dobywa siły,
A coraz głośniejsz zgraja myśliwa
Na świeżych tropach gęściej zagrywa.

Kiedy tak pędzi, ujrzy pod skałą
Za żywopłotem kapliczkę małą,
I krzyż niewielki z dwóch okrągłaków
Z pomiędzy drobnych bieli się krzaków.
A pod tym krzyżem na świeżej łące,
Staruszek modli się na koronce.

Zwykle o białej zorzy porannej,
Modlił się święty do Marji Panny.
I właśnie kończył ofiarowanie,
Gdy psów łajanie i rogów granie,
I tętent koni zagrzmiał pod bokiem.
Zagrzmiał pod bokiem — i jednym skokiem
Wpada łaniątko z bojaźni drżące
I oczy zwraca nań blagające;
Zgina kolanka, do nóg mu pada,
I lebek wznosi, ledwie nie gada.

Tymczasem strzelce z psiarnią zziąjaną
Zdala świętego człeka przystaną;
Radzi o nowym obwieścić cudzie,
Patrzą się owi królewscy ludzie.
A zaś łaniątko, które ów głaszcze,
Spokojnie na psie spogląda paszczę,
Co wywiesiwszy po pas języki,
Leżą na brzuchach, jak rozbójniki.

O tej pogoni święty już wiedział,
Bo mu na modłach anioł powiedział:
Że przyjdą ludzie za tropem łani
Tacy i tacy i tak ubrani

I w jakiej myśli, w jakim zamiarze,
A nawet we śnie widział ich twarze.
Toż ich pozdrowi bardzo serdecznie,
I za opłatki poprosi grzecznie.
Wchodzą, siadają owi posłowie,
Święty się pyta o króla zdrowie.
— Ho! bardzo dobrze! także królowa.
I synek im się szczęśliwie chowa;
Pan to wspaniały, gdyby na chatki
Nie wkładał takie ciężkie podatki,
Gdyby... toż zresztą i dobre książę, —
A święty sobie supełek wiąże,
Nie przytakuje, nie odpowiada,
Aż się anioła swego zabada.
Wreszcie westchnawszy twarz wypogodzi:
— Droga daleka, panowie młodzi,
Toż się posiłek przyda jak na to. —
I na szerokim głazie przed chatą
Kładzie po gruszcze, po podplomyku,
I miarkę wody i jabłeczniku.
A gdzie się ruszy, łaniątko za nim;
Wielce go cieszy swoim bieganiem.
Na pracę idzie, czy na spoczynek,
Jakby przy matce malutki synek.

Kiedy przed jadłem, jako przystało,
Święty modlitwę odprawił małą
I ręką bożę przeżegnał dary,
Aż tu się stała rzecz nie do wiary:
W śnieżnych odzieniach, w modrych przepaskach,
Skądciś się wzięli anieli w blaskach!
Jeden w koszyku przyniósł dostatek
Jablek pachnących i małgorzatek,
Drugi młodzieniec przyniósł im chleba,
Przyniósł im chleba z samego nieba,
A trzeci miodu w suszu komórkach,
A czwarty lecąc na srebrnych piórkach,
Gdzie który siedział dworski młodzieniec,
Przed każdym złożył pleciony wieniec,
Niebieski bławat, nieśmiertelniki,
Polną ostróżkę, dzikie gwoździki,

I zaśpiewali w nucie powolnej:
„Jam lilja wodna i kwiatek polny!” —
A dworscy widząc swemi oczyma,
Że takiej służby i sam król nie ma,
Kiedy widokiem oczy napaśli,
I przeprosili, że świętych naszli,
Z poselstwa swego złożą się trwożnie.
Bardzo uczciwie, bardzo pobożnie:
— Jako król widzieć świętego żąda,
Jak niecierpliwie przyjścia wygląda. —
A gdy skończyli poselstwo oba,
Które się świętej duszy podoba,
Odrzeknie: — Dobrze, co żąda sprawię,
Niech tylko trzódkę pobłogosławię,
Boża to sprawa... —

Poranne słońce,
Poczęło wschodzić nad mgły stojące.
Kiedy mieszkańcy owi pustynni,
W pracy wytrwali, w sercu niewinni,
Istne chłopiątko, z tej z owej strony
Na dzień ruszyli na smug zielony:
A no, tak święty ręką krzyż kreśli,
Chwilkę się za nich pomodli w myśli,
A wzięwszy w rękę łaskę wysoką,
Z gałką toczoną jak gdyby oko,
W którą nabity gwóźdź krzywy duży
Do suchej tykwy na wodę służy:
Bogu oddając trzódkę ubogą,
Ruszył ku światu skalistą drogą.

Tymczasem króla ciekawość zdejma,
Co się to znaczy, że dworskich nie ma.
Siedzi za stołem, miód, wino pije,
Stalową ręką po stole bije.
Bije po stole, aż srebro złata,
We trzy warkocze brodę zaplata.

Na wieży strażnik przelekły srodze
Stoi, jak żóraw, na jednej nodze,
Stoi a patrzy... nie widać wcale.
Okreły płyną przez morskie fale,

Jako łabędzie płyną okręty,
Ale nie widać, żeby szedł święty.
Ażci na króla wystąpią poty...
O ziemię rzucił roztruchan złoty,
W oprawne okno pięścią uderzy,
Rękę podniesie i patrzy z wieży...

Na górnym zamku cóż się to dzieje?
Sto wyrabianych chorągwi wieje,
Idą posłowie z cudzego kraju,
I niosą dary podług zwyczaju.
Jednemu sokół siedzi na dłoni,
Siedzi na dłoni, dzwonkami dzwoni;
Drugi prowadzi konia w ubraniu,
We strusich piórach, w jedwabnym tkaniu;
Trzeci tarcz niesie jak obraz złoty,
A świat nie widział takiej roboty.

Stoją, czekają aż król zawoła:
A król się chmurzy u końca stoła;
Ale posłowie czekać nie mogą,
Każda godzina kosztuje drogo:
Przyszli, kłaniają, papier oddają,
Papier oddają, swego czekają.
A w tym papierze stały te słowa:
— „Królu mój bracie, niech ci Bóg chowa.
Otoć posyłam konia w ubraniu,
We strusich piórach, we złotym tkaniu;
I tarcz szeroką jak obraz złoty,
A świat nie widział takiej roboty;
I ulubieńca mego sokola,
Co na głos leci, gdy go się woła:
A prosić, gdy się podoba tobie,
Pomóż mi bracie w mojej chorobie.
Wiem, jako w twojej żyje krainie
Człek, co cudami wielkimi słynie,
Który u Boga sprawić to może,
Że wstanę zdrowy i wezmę łożę;
Owóz cię proszę, do mnie go przyszelej.
A jako prędzej już sam obmyślej”. —
I podpisano od dziecka gorzej:
„Ludwik Francuski, król z łaski Bożej”.

Był to król także swojego chowu. —
Przeto na wieżę posłano znowu,
Czy od pustyni święty nie kroczy,
Sto bitych srebrnych jeśli go zoczy.
Jakoż tą razą z za drzew co kwitną,
Od gór odzianych we mgłę błękitną,
Z wyrazem, co się opisać nie da,
W podartym płaszczu szła święta bieda.

A tak król szczęśny: — ot idzie — rzecze,
I srebrną zbroję na się nawlecze,
I z swą królową konno i dworno
Jedzie przed ową postać pokorną.
A w bramach ludu jak nabił wszędy,
Gromada tylko czeka którędy...
Dzieci z kwiatami w białych sukienkach,
Z wielkanocnymi palmami w rękach.
W powietrzu nuta brzmi nieustanna:
,Temu, co z Bogiem idzie: Hosanna!'

Bardzo królowi to nie do smaku,
Lecz nie okazał żadnego znaku,
Owszem ujrzawszy świętego w bramie,
Jednego z giermków uderzy w ramię,
I odda konia, sam pójdzie pieszo:
A dobrzy ludzie bardzo się cieszą.
— Kochany ludu, Bóg święty z tobą.
Cóż się tak moją cieszysz osobą?
Czym cię, jak Józef, obdarzył zbożem?
Czym cię, jak Mojżesz, prowadził morzem?
Czemu całujesz sukni mej rogi?
Ja tak ubogi, jak ty ubogi:
Widzisz, ot bosa, na nogach żyły.
I ręce w pracy się narobiły;
Zżółkła mi skóra przyschła do kości,
A żyję z pracy i z opatrności.
I z łaski nieba, z prawdy i z cudu,
Tak jako i ty, biedny mój ludu. —

Kiedy tak mówi, aźci pacholeć
Czepiając rączki po starca pole,
Jąkliwym głosem woła od ziemi:
— Święty Franciszku błogosław-że mi! —

Zatem staruszek powstrzyma kroki
I na ten błękit wejrzy wysoki,
Potem na stronę, na tę, na owę
Rozdziela znaki na każdą głowę.
Dopiero w zamku widzieć, co było,
Jak się to wszystko od złota lśniło!
One to helmy, one pancerze,
Które rycerstwo na siebie bierze!
Pazie królewscy wzdłuż przez pokoje
Trzymali w dzbanach słodkie napoje,
A przy królowej sto panien w rzędzie,
Sto panien w rzędzie, bogactwo wszędzie,
Lecz co najbardziej do dziwu wzrusza,
To na jej szyi brylant jak grusza.

Ale się święty nie zdziwi wcale;
Co mu tam perły, co mu korale!
Koral na głębi wielkiego morza,
Bardzo to piękna roślina boża,
Jeszcze piękniejsza róża o zniroku,
Jeszcze piękniejszy blask w żywym oku;
Ale i koral rozkruszy burza,
Zwiednie w jesieni sadowa róża,
I ludzkie oko mało, pomału,
Straci przedziwny urok zapachu.
Nic tu trwałego na naszym świecie,
Szybko przemija lato po lecie,
Wciąż krótsza radość, żalości sporsze,
Dni coraz suchsze i coraz gorsze...
Szczęsny, kto siwą oparłszy głowę,
Spokojną z życiem wie dzie rozmowę.
Rany oblicza na polach boju,
Zaznane szczęścia, owoce znoju.
Ni się o przyszłość dzieci kłopotce,
Patrząc na woły w polu robocze,
Na siche sady, na niskie chaty;
Bezpieczne widzi kraju powiaty,
Szacunek obcych, miłość u siebie:
Takiego życia dalszy ciąg w niebie.

Śliczna osoba królowa sama,
Jak ona Ewa żona Adama,

Ciągle się panu swojemu mili,
To się po jabłko królowi schyli,
To mu z uśmiechem poda na zwrocie
Czarę napoju wykutą w złocie;
A co się zniży, co się obróci,
Tysiąc promieni brylant rozrzuci,
Patrząc się na to Franciszek cichy,
Myślą wędruje pomiędzy mnichy.

Aż król zagada: — No cóż mój stary?
Kiedyć podanej odnawiasz czary,
Chciejże, jak wieści krążą wśród ludu,
W naszych tu oczach dokazać cudu. —

A święty milczy. Głowa schylona
Między zawiedłe spada ramiona,
Ani się zgorszy pocziwa dusza;
Oczy przymyka, ustami wzrusza,
Na lada słowo mówić nie skory,
Dogodnej sobie ugląda pory.

Aż w ciągu uczty, gdy coraz nowe
Znoszą a wnoszą statki stołowe,
A coraz inne półmiski srebrne,

— O! królu, rzecze, czy to potrzebne
Na jedną ucztę tyle krwi przelać,
Tyle skowronków w polu nastrzelać?
Proszę cię tedy wielmożny panie,
Byś mi ustąpił choć jedno danie. —
A jako prędko król go obdarzy,
Wstaje z przesłódką ciszą na twarzy,
Potem krzyż robi wierzchem półmiska,
Aż tu z półmiska ryba się ciska,
Żywym ogonem po stole miota;
Gołąbek się też dalej trzepota,
Kogutki stają na srebrnym blacie,
I pieją jakby pod strzechą w chacie.

Dopiero radość wkoło się szerzy,
Król ucieszony w dłonie uderzy,

— Co chcesz uczynię. — A święty na to
— Masz ty wielmożny królu za kratą
Uhogie więźnie okule w dyby,
Uwolnij ludzi jako ja ryby.
— Zrób jeszcze jedno, a klnę się tobie,
Że jakom żywy co zechcesz zrobić.

A święty sięgnie między puhary
Kędy pieniędzy stało dwie miary,
I wzięwszy one ważne dukaty
Potrząsie ręką na liłe szaty;
Jako z kropidła woda wytryska,
Tak mu z pod palców krew się wyciska,
Bujnemi deszczu leci strugami,
I zbroje plami, jedwabie plami.

— Cud! cud! — i wszystko co tylko żyje,
Zgina kolana, w piersi się bije.
A starzec święty: — Słuchajcie, — prawi, —
Patrzący na was serce się krwawi.
Co wy robicie trzodo bezbożna!
Krzywdzicie ludzi, a czy to można
Ostatni pieniądz wydzierać wdowie?
I czyliż o tem Bóg się nie dowie?
Za lada sprawę w więzieniu głodzić
I codzień w grzechu jak w sukni chodzić? —

Co prawda, prawda, nikt nie zaprzeczy
Na dworach takich nie mówią rzeczy...
Toż się sumienie w królu obudzi:
Radby przeproszał zabitych ludzi,
Radby powrócił wydarte mienie;
Na twarz mu żywe wyjdą płomienie,
I krew podchodzi pod same białka.
To znowu radby ukarał śmiałka,
Ale co spojrzy na brodę siwą,
„Widzi-Bóg” stoi niebieskie dziwo...
Ta nędza króla milczeń przymusza,
I poraz pierwszy stracha się dusza.
— Więźnie z ciemnego wywiodę lochu,
Lecz trudniej z tymi co leżą w prochu!... —

Wreszcie po długiej ze sobą walce,
Pochyli głowę, podniesie palce,
I rzecze: — Klnę się na cześć rycerza,
Że oddam biednym co do halerza,
Więźniom na zamku ucztę wyprawię,
Każdemu sukna dam po postawie,
I złoty łańcuch jeśli sławetny,
A zbroję srebrną, jeśli szlachetny;
Na przeblaganie za wszystkie winy,
Pociągnę boso do Palestyny. —
A święty ręce wznosząc nad głową:
— Bogdajby prawdę miało twe słowo,
Bogdajbyś królu na przyszłość baczył,
A co wymówisz dotrzymać raczył. —

Zatem nazajutrz już na okręty
Z górnego zamku wychodził święty,
Z jednym braciszkiem, a tłum tak samo
Kupił się w mieście, kupił za bramą;
Jak na gwałt biegli starzy i młodzi,
I w głos płakali, że już odchodzi.
Król był skruszony, łzawego lica,
Swojego przywiódł mu królewica
I padł na ziemię z całą rodziną,
Żeby go starzec przeżegnał ino.
I błogosławił święty, jak trzeba,
Naród i króla słowami z nieba;
Potem się w ręce oddawszy boże,
Ruszył do Francji za wielkie morze.

O bone Jesu, pastor bone, justos conserva,
peccatores justifica, et omnibus fidelibus vivas
et defunctis miserere...

(Ostatnie słowa św. Franciszka z Paola).

Płyną żeglarze, cicha pogoda,
Nad samo niebo niebiesza woda,
Na skraju morza ogromne skały
Pod noc się mgłami pookrywały,
Miesiąc też wyszedł i żywą smugą
Pod okręt drogę wyświecił długą,
Święty się modlił...

... Oj! czy wy wiecie,
Co to wędrować po wielkim świecie?
Lepiej na małej siedzieć zagrodzie,
Las mieć na wschodzie, las na zachodzie,
I wciąż na jedne patrzeć obrazy
Na staw szeroki, na brzeżne głązy,
Gdzie ludzie wodę wiadrami biorą,
Bydło poryka i chusty piorą,
I gdzie za płotem wieśne koniarki
W noc księżycową dma we fujarki.
A jeszcze w burzę!

Po stronie wschodniej,
Choć się zdawało jak najpogodniej,
Zobaczył sternik siedząc przy sterze,
Mały obłoczek jak lekkie pierze,
Jak się powoli wyniósł nad wały,
Jak kulka krągły, skupiony, biały,
Poczem wiatr morski zerwał się nagle,
Pękały liny, darły się żagle,
Pod chmurnem niebem morze ze wnętrza
W góry olbrzymie swe wody spiętrza,
Aż się w straszliwe porwą uściski
Morze z chmurami; przelotne błyski
Świecą bez przerwy jak przestrzeń długa,
Ani tak szybko żrenica mruga

Jak błysk po błysku niebo zapala,
Istnym się wrzałkiem przewraca fala.
Toż kiedy serca ogarnie trwoga,
— Ratuj nas święty! — krzyknie załoga.
A święty rzecze na głos do burzy:
— Przez miłość! burzo, nie szalej dłużej! —
I wraz się fale morskie uciszą,
Jeszcze się tylko nieco kołyszą.
I widać niebo zdarte na szmaty,
Lecz już łagodnej pełne oświaty,
Jak oko matki, kiedy po gniewie
Nad dzieckiem śmiać się czy płakać nie wie.

Po widnokreśgu smudze słonecznej,
Płynie gdzieś łódką rybak bezpieczny.
Owo i Francja cel długiej drogi;
Toż do wędrówek nawykłe nogi
Starzec pospiesznie idący stawia,
Kijem się wspiera, modły odmawia,
Przechodzi liczne wioski i grody; —
Naród pocziwy wdzięcznej urody,
Ale tak smutny jak żaden w świecie;
Kogo napotka, starca czy dziecię:
Lice wybladłe, oczy zapadłe...

Po drogach więzień w żelaza brzęka,
Ciężka ludowi królewska ręka,
Nad szubienicą kruk polny kracze;
Święty przwstanie, splacze się, splacze,
I ciągnie dalej... wreszcie z za góry
Zobaczy wieże wybiegłe w chmury,
Kędy w posępną niebiosów głębię
Wzlatają orły, szare jastrzębie:
Ej to tu będzie!... Jakoż niedługo
Zejdzie się w lesie z królewskim sługą.
Stary sokolnik z piórem u czoła,
Na krzywym berle trzymał sokola,
Patrząc na ptaka co w leśnej głuszy
Podlatał w górę jak na strzał z kuszy.
— Wracaj do zamku, wracaj niebawem,
A król ci pewnie będzie łaskawym,

Gdy mu opowiesz mnicha przybycie,
A już ptakowi podaruj życie. —

Przez czarne bramy, ciemne przedsienie,
Kędy lby wilcze, rogi jelenie,
Dziki, zwierzęta przerozmaite,
Jastrzęby stare na drzwiach rozbite
Przypominały myśliwską knieję,
Przez izby z których chłód ciągły wicje,
Gdzie okna w ołów całe oprawne
Pomalowali malarze sławne,
Tak że przez złote świętych figury
Słońce świeciło jakby przez chmury,
I na podłogi, na rzeźbne słupy,
Poroznaszało złote biskupy,
Twarze dziewicze i patryarsze,
W kwiecistych szatach, młodsze, to starsze:
Święty Franciszek wezwawszy Boga,
Do królewskiego zbliżał się proga.
Wreszcie w wysokiej z modrzewia sali,
Otoczon pany w srebrze, we stali,
Król wynędniały, z bojaźni drżący,
Zwrócił na starca wzrok błagający
Gdy stanął przed nim pobielon wiekiem,
Nie jak przed królem, lecz przed człowiekiem
Który ostatnią czuje godzinę
I wielką bojaźń za wielką winę.
Spojrzał błagalnie na sługę pana,
Poczem mu jęły giąć się kolana,
Aż podtrzymany lekko pod pachy,
Przez mężów jasnych od srebrnej blachy,
— Zdrowia! zawoła, powróć mi zdrowie! —
Ale Franciszek święty odpowie:
— Iżalim Bogiem, o miłościwy?
Odmień swe życie, a będziesz żywy.
Biedny zakonnik cóż ci dać mogę:
Miłość serdeczną, ludzką przestrozę;
Jeśli żyć poczniesz prawie a godnie,
Bóg ci przebaczy rozliczne zbrodnie.
Wstań możny królu, tak wielka chwała
Samemu tylko Bogu przystała. —

Na takie szczere, serdeczne słowo,
Król się uśmiechnął, potrząsnął głową;
Królewskie ucho prawda obraża,
Dobrych nie słucha, złych nie poważa.
Stał, długo patrzył, w mieszczańskie szubie:
Poczekaj mnichu! już ja cię zgubię;
Jeśli mi tylko próba się uda,
Porobię z tobą prawdziwe cuda. —

I naprzód salę wskaże mu złotą,
Po której ścianach rzeźby się plotą,
Esy, floresy przerozmaite,
W dębowem drzewie dźwiękiem wybite.
Tam liszka w gęstą przysiadła skrytkę,
Tu z krzewia widać wiewiórczą kitkę,
Indziej paw złoty na drzewko wchodzi,
A wszystko lśni się aż oczy razi.
Takiemiż cudy pokryte sprzęty,
Aż się z podziwu przeżegnał święty.
A kiedy przytem służba przydana,
W zbroje zakuta, w pióra ubrana,
Jacyś paziowie z bronią przy pasie,
Z pióry strusiemi, w drogim atlasie,
Drabów a strzelców przed nim się zbierze, —
Święty szatańskie poznał więcierze:
Spojrzał, odmówił rzecz przeciw czarom,
I owym ludziom jak zwodnym marom,
Taką odpowiedź odnieść poleci:
— Bogactwo świata krótko się świeci,
I dłużej biedy niżli wystawy;
Niechże z piór złotych szczytą się pawy,
Świetne rozwodząc pióra po kwiatach:
Cnota nie w szatach ani w komnatach.
Mamci ja wszystko co mi potrzeba:
Sakwę na suche okrawki chleba,
Krupkę drewnianą, z lipy wybraną,
Na całe życie jedno okrycie,
Na kroplę wody, tykwę pękłą;
Lada gdzie prześpię zima czy lato,
Czasem jak drzewo szron mnie opruszy,
Nic to nie szkodzi zbawieniu duszy.

Po łzach za grzechy, słowach podziękii,
Kamień pod głowę o jakże mięki;
Po co mi złota, gdy cichą nocą
Miesiąc a gwiazdy piękniej się złocą.
Po co te z drzewa robione dziwy,
Kiedy piękniejszy skowronek żywy.
Boże łaskawy!...

I dalej prawi:
Owoż rycerze gdyście łaskawi,
Tedy mi chatę uproście ona,
Która pod olchą stoi zieloną,
Opustoszałą chatę strażnika,
Nikt jej nie strzeże, nikt nie zamyka.
A dobra, cicha w leśnej ustroni;
Człowiek się prześpi i zwierz się schroni
Od wielkiej biedy...

Po odpowiedzi
Król w złotem krześle w zamyślach siedzi,
Czapkę nasunął, wyciągnął nogi:
Wbił że mi sęka ten dziad ubogi!
I wciąż do siebie powtarza z cicha;
Rzeczono w piśmie: pierwszy grzech pycha,
Drugi łakomstwo...

A miał zdobyczną,
Najświętszą pannę srebrną, prześliczną,
Jasną jak z nieba, z przedziwną twarzą,
A stała w skarbcu pod wielką strażą.
Toż układając sposoby w głowie:
— Już go też na to, rzecz, ułowię.
Wszak pożądańszej przynęty niema
W oczach niewiasty, w oczach pielgrzyma,
Jak pozłociste świętych osoby:
Zobaczym jeśli wyjdzie z tej próby. --
I wnet świsnąwszy w piszczałkę srebrną
Na nieodstępną gawieź służebną,
Posąg im z onej wyda skarbnicy,
Matki przeczystej Bogarodzicy,
I do pustelni leśnej wyprawi.
Posłuszna służba wiernie się stawii;

Na noszach cenną krytych makatą,
Owo i posąg świeci przed chatą,
A jeden w hełmie z ptakiem na czole
Głośno otrąbia królewską wolę.
Ale Franciszek znając zamiary,
Do czego mierzy monarcha stary,
Snycerską pracę wielce pochwali,
I prosi ludzi żeby oddali,
Że ma obrazek bez szkła, bez ramy,
Przytwardzon w górze dwoma świeczkami,
Który przed laty w ubiegłych czasach,
Raz na odpuszcie kupił na tasach,
Prosty obrazek Marji z koroną,
Pomalowany żółto, czerwono,
I z rzędem liter który wyraża:
Że wysłuchana prośba nędzarza...
Na cóż mu więcej...

Z pod brwi obfitej,
Słaby wzrok starca jak mchem pokryty,
Radziej lubuje wśród gęstej cieni
W rozgałęzionych dębów zieleni;
Czasem po całych dniach nie otworzy
Powiek zawartych na ten świat boży. - -

Po takich słowach, po odpowiedzi,
Król w wielkim krześle w zamysłach siedzi.
Pieniądz ma dziwną nad ludźmi siłę,
Złoto... a złoto komuż nie miłe?
To jeszcze pieniądz niech swoje czyni.
Co pomyślawszy pójdzie do skrzyni,
Od której klucze nasza przy boku,
Najpierwej zawsze mając na oku,
Klucze od skarbu, sztylet na pasku,
Łańcuch, na którym święty w obrazku
Ledwie dojrzany z perłowych ramek,
I psalterz spięty na srebrny zamek.
Poszedł, drżącemi dłońmi otwiera,
Brzęka, to słucha, to znów nabiera;
Nabrał, zawiązał, wieko zatrzasnął,
Wyjrzał za okna, zamek już zasnął.

Tylko wartowni przechodzą ganki,
I zbroje świecą pomiędzy blanki.
Spieszy król stary do drzwi Franciszka,
A ptak spłoszony, odpadła szyszka,
Włosy mu wznosi twardemi druty.
Dobrywa często sztylet okuty,
Na strony baczne posyła wzroki,
I dalej idzie prędszemi kroki.
Niebo spokojne na podorywce...
Oj! biedni, biedni świata szczęśliwce,
Co wam do nieba!...

I dalej kroczy.
Owoż i chata: przeciera oczy,
Bo mu się zdało że ponad mnichem,
Stał cień perłowy z złotym kielichem,
I gwiazdą w górze...

Ej! to się zdało,
Znać miesiąc głowę oświecił białą
Dziwnego starca, który w tej dobie,
Srogą pokutę zadawał sobie,
Ściągając pasek aż między żebra,
A bijąc głową jak bryłą z srebra,
O kamień chłodny...

Za cudze winy
Ciało padało od dyscypliny,
Aż strach przejmował, a słowa przy tem -
Zdały się z żywym spierać błękitem,
O czyjaś duszę...

— Ojczye litości!
Nie racz spoglądać na nasze złości,
Ani na grzeszne nasze rodzice, —
A krew bluzgała na włosiennicę...
Wąż pokuszenia wszędzie się wślizga,
Piekielnym jadem na dusze bryzga,
Na królów trony z pod baldachimu
Zieje kłębami czarnego dymu,
Obniża śliską zdradliwą paszczę,
Suwa się po nich, wrzekomo głaszcze,

A schlebia próżnej dumie człowieka,
Że aż się pana swego wyrzeka.
O królu panie na jasnym niebie,
Co tak w wielkości ukryłeś siebie,
A kiedyś zstąpił zmyć nasze grzechy,
To w najuboższej ukryciu strzechy,
Żeby nad wszystko podnieść pokorne,
Spojrzyj o Panie na rady zborne:
Na pany świeckie, duchowne pany,
Na wszystkie węzłem związane stany,
A niech twój anioł wzrok im przemyje! —
I znów upada i znów się bije...
Więc gdy król w progi wstępował mnicha,
Uczuł że dłoń go jakaś odpycha,
Chociaż nie było żadnej istoty,
Tylko po ścianie snuł się cień złoty
Z miejsca na miejsce.

Tak raz i drugi,

Aż Święty pacierz zakończył długi,
Powstał, i wodą z prostego dzbanu,
Co w kącie chaty stała źródłana,
Spieczone usta nieco opłukał;
Kaptur narzucił... wtem król zapukał,
I za próg chaty ciała połową,
Nieśmiałą nogą, ciekawą głową,
Wsunął się, lekko pochylił czoła,
Ubogą chatę przejrzał do koła,
Ażali z obcych niema nikogo;...
Jedyne zielisko między podłogą,
Wyrosło cicho nieprzeszkodzone,
Porozwijało pręty zielone,
I dalej wije... więc grzyby ściennie,
A zresztą wszystko Umarłe, senne,
Święty pod oknem odzian kapturem,
Zdał się nie człkiem ale marmurem.
Toż król zagada... — witamy radzi —
— Kogoż tak późno Bóg nam prowadzi —
— Hej! to my grzeszni, lecz w dobrej sprawie,
Chciejcie nas tylko słuchać łaskawie.

Oto świadomi jakości dbały
O rozszerzenie Chrystusa chwały,
Równie gorliwi o świętą wiarę,
Przynosim z sobą małą ofiarę. —
I wydobędzie z pod krótkiej szuby,
Worek pieniędzmi ładowny, gruby.

— Zachowaj skrycie skąd się to wzięło,
Boć to na kościół, na boskie dzieło,
To lepiej z tego nie robić pychy,
Proś tylko Boga za nasze grzechy;
A za nic wając ziemskie bogactwo,
Dorzucęć jeszcze jakie opactwo. —
Ale Franciszek rzecze z pokorą:
— Oddaj ubogim niech swe odbiorą,
A Bóg ma swoich kościołów dosyć,
By z cudzej krzywdy domy mu wznosić.
Za krzywdy ludzkie królu a panie,
Choćby jak, niewiem, kościół nie stanie,
Krew bo niewinna o pomstę woła,
Ani jej zgłuszą dzwony kościoła,
Ani złagodzą wdzięczne organy,
Jęk pójdzie mimo niepowstrzymany.
Choćby moc waszych mężów chwalebnych,
Dzień i noc grała na trąbach srebrnych. —
Przeto raz jeszcze z czartem pospołu,
Kusił go rybą z swojego stołu;
Aż zwyciężony wreszcie prostotą,
Raz pierwszy w życiu zszedłszy się z cnotą,
Zmiękł i spokorniał przed biednym mnichem;
On król potężny tak stał się cichym,
Że nic nie począł bez jego rady,
Łowy zacichły, znikły biesiady,
I dwór królewski jako był dworem,
Naraz się głuchym zrobił klasztorem.
Król się zamyślał przez całe doby
Nie chciał widywać żadnej osoby
Przed obrazami świętymi stawał
Jakby litości błagać się zdawał;
To udręczony duszy widziadłem,
Słuchał coś, słuchał z licem wybladłem;

A ile razy krzyk małych dzieci
Bywało uszu króla doleci,
Zrywa się z miejsca, bez związku gada,
I w najtajniejszym kącie przysiadą.
Tak było długo że król się smucił,
Aż raz na prawdę we łzach się rzucił
I zaręczoną zaczął pokutę;
Odprawił swoje rycerze lute,
Odprawił druha starego, kata,
Co tylu ludzi zgładził ze świata;
Wreszcie na biednej mnicha pościeli,
Skonał przykładnie w ubogiej celi.

Po śmierci jego w niedługim czasie,
Raz po zamkowym chodząc tarasie,
Dzieci królewskie, rycerze, damy,
W cieniach ogrodu, między dębami,
Na lekkiem zmierzchu ujrzą klęczącą
Postać staruszka od światła lśniąca.
Przeto się cały orszak zatrzyma,
Czyli jakiego złudzenia niema.
Lecz najwyraźniej z starca habitu,
Wychodzą blaski jak gdyby świtu.
Ręce wzniesione, głowa i broda,
Jak kiedy się kto na wolę poda.
Cały w pacierzu, cały na niebie,
Jakby za życia wyszedł ze siebie.
A kiedy naraz orszak spostrzegnę,
Że Święty klęczy a w górę biegnie,
I wciąż na drzewa spokojne liście
Blaski od niego biją srebrzyście:
Pochyla głowę, zegną kolana,
I uczczą sługę wiecznego Pana.
Klęczą i słyszą jakby rozmowę:
— Miłość i łaska na twoją głowę! - -
I znowu słyszą: — nie na innie panie!
Nawróconemu niechaj się stanie;
Każdemu który do ciebie wróci,
Niech anioł z duszy ciemności zrzuci

I serce wiary odświeży zdrojem,
Jako jelenia chłodnym napojem,
U stoku życia. —

Stąd pełni cześci
Po całym kraju roznieśli wieści.
I była wielka radość wśród ludu,
I dziękowanie za łaskę cudu,
I za świętego, co rychło potem
Z swym się doczesnym rozstał żywotem,
I przy którego śmiertelnej głowie
Zeszli się pańscy apostołowie,
Jan Chrzciciel z krzyżem związanym wstęgą,
Paweł apostoł z mieczem a księgą,
Marek i Łukasz ewangelisci,
Kryzstofor z drzewem wiszących liści.
W Chrystusa szatach każdy był święty
Mimo powagi brody zwiniętej,
Oczów wmyślonych w wieczność bezbrzeżną,
I białosc włosów przedziwnie śnieżną.
Nad nimi w górze powyżej łoża,
Stał sam Pan Jezus i Matka Boża,
Jakby czekając rychło już z łona
Wybiegnie dusza błogosławiona,
Rozpowinięta z swego powicia,
Równie dziecinna jak i za życia.

I tak to wszystko sztukmistrz chrześcijański
Ku dobru ludzi i chwale Pańskiej,
Nie czyniąc z pracy zaszczytu sobie
Wykuł foremnie na jego grobie,
Dodawszy wedle zwyczaju sztuki,
Czego nie było: słupki i łuki,
Jak sznurki złote w dwójkę skręcane,
Co miał wyrobić zwyczajną ścianę...
Czego mu przecie za złe nie biorą,
Bo grób wykował z wielką pokorą,
A jeśli jakiej zażył ozdoby
Toć i nie wadzi kwiatek na groby.

A z pieśni mojej nauka świata,
Że kto pomoże biednemu bratu,

Zabłąkanemu w świata manowce,
 Popędzi w niebo straconą owcę,
 Z błogosławieństwem wybranych wielu,
 Matki przeczystej i Zbawiciela,
 Którzy mu wieniec światłości włożą...
 Tak się pieśń kończy z pomocą bożą.

DZIECI NAZAREŃSKIE.

BOHOMAZEK NA ŚCIANE WIEJSKIEJ CHATY.

Zaprawdę powiadam wam: jeżeli się nie
 staniecie jako te dzieciątka, nie wejście
 do królestwa niebieskiego.

Gwiazdo, gwiazdeczko, gdzie Bóg prowadzi?
 Powiedzże, powiedz, bo i my radzi.
 — Moiście moi, daleka droga,
 Dzieciątka czeka Matka nieboga,
 Józef się patrzy z ciemnego kąta,
 Mały aniołek stajnię poprzęta,
 Osiołek chucha, wołek przeżuwa,
 A sam Bóg Ojciec na niebie czuwa.

Idą królowie, świata panowie,
 Złote korony mają na głowie,
 I płaszcze lite złotem naszyte.
 Za gwiazdą bieżą, drogi nie wiedzą,
 Na ich wielbłędach murzyny siedzą;
 Murzyny siedzą z drogami skrzynki,
 Z myrrą, kadzidłem dla tej dziecinki.
 Nad wodą stoją, na piaskach leżą,
 Perły, brylanty garściami mierzą.
 — Prędzej Grzegorzu, Jaśku i Staszku,
 Mój równienniku, mój szary płaszku.
 Owo Betleem pod modrą górą,
 Cztery drożyny niewiada którą.
 Prosto hej! prosto, a zajdziem dodnia,
 Za miasto idzie gwiazda przewodnia.

Mój miły Jaśku, trza było wcześniej,
 Zabrakło czasu dla naszej pieśni.
 Najświętsza dziecku otula nóżki

W krasne opaski, w jasne pieluszki,
Siwy osielek uszami strzyże,
Biedne zwierzątko niebardo chryże,
Czasem się uprze, czasem polecą,
A tu żołnierze szukają dzieci.
Idą już, idą, Józef na przedzie,
Kijem się wspiera, bydlątko wiedzie.
A przy dzieciątku i przy paniencie,
Widać przejasne liczka dziecięce,
Lecą, przelecą, w dole, to w górze,
Jakby się srebrne gonily róże.

O Matko Boża!...

Spieszmy się, spieszmy,
Panu naszemu drogę zabieźmy,
Plasterek miodu podać na szmatce,
Temu Dzieciątku, tej świętej Matce.
Dla naszej jednej w świecie pociechy,
Dzbaneczek mleka, leśne orzechy.
Bo to paniątka — a my cóż? — bieda...
Dzień nam się głodu we znaki nie da.

Już przejechali piaski i laski,
Góry nie góry, jakby obrazki,
Wszystko niebieskie jak woda w stawie,
A czasem złote jak piórko pawie.
Zmijom, padalcom paluszką groził,
Po smokach deptał, na lwie się woził,
O Jezu, Jezu!

Hejno studzienka!

Gdzie wodę brała Matka panienska,
Między drzewami zdroik przezroczy.
Weźmy-no wody, przemyjmy oczy,
A dojrzym prędzej gdzie się nam podział,
Niebem się okrył, obłokiem odział...
Widać go! widać...

Z za leśnej figi,

Święty paniczyk gada na migi,
Z temi główkami co się doń miecą.
Wietrzyki dzwonią, strumienie lecą,

Całemu światu Kwietnia niedziela;
Po ziemi liść się wdzięcznie rozściela,
Białemi dzwonki ciągną powoje. —
— A co tam robi paniątko moje? —
— Coś sobie wije, róże, lilije...
Bogać lilije — ciernie a głogi:
W onych jasnościach Zbawiciel drogi.
Józef staruszek, boży parobek,
Siekierką żłobi cisowy żłobek,
Modrą sukmanę coraz zarzuci,
To robi, robi, to nuci, nuci:
Kto się w opiekę...

Tymczasem z kraja
Obca dziecina to się przyczaja,
To raz przyklęknie by do pacierza,
To ręce składa, to je rozszerza,
A krzyżyk z trzciny w rękach dzieciny:
To Janek z puszczy. —

Za Jankiem jagnię,
Bieluchne jagnię do matki pragnie.
To się zatrzyma, to się zacięknie,
Na cierniach, głogach żałośnie beknie,
Jako jagniątko...

Witaj Jasiuchno!
Jużeś to z puszczy, już tak raniuchno.
Ledwie że słońce weszło nad bramą,
I takeś samo przyszło? — A samo —
Dla ciebie, Boże, gdy się położę,
Co oczy zamknę to je otworzę;
Świt, świt, skowronek budzi mnie wczesny,
Dzień, dzień mój biały śpiewa mi we sny.

I ja też wstaję z mchowej kolebki,
Nieraz pod wodą spią jeszcze rybki,
A ja już nie śpię...

W cichym Jordanie
Ledwie się mieni złote świtanie,
A ja już w drodze... bo mi do ciebie

Wiatrem po liściu, gwiazdą po niebie,
Myślą po głowie...

— Moja sieroto! —

Patrzcieno Stachu jak rączki plotą,
Aż mi coś w sercu z radości szlocha,
Dwoje dzieciątek na śmierć się kocha.

Więc Józef daje folgę siekierze,
I pacholátko na ręce bierze,
A ono z żywą liczka pogodą,
Bawi się z siwą staruszka brodą,
Jedną okrągłą trzyma się szyi,
Drugą słonecznej sięga lilii,
Co z Józefowej laski srebrzyście
Rozwija przed nim swe sześciołście.

— Puść mię staruszkę, pójdę na ziemię. —

Józef kochane uwalnia brzemię,

— A gdzie paniczku? —

— O! tam na wzgórek,

Gdzie się coś bieli jak kilka piórek,
— Oj to nie piórka, nie polne kwiaty,
Bielą ze wzgórką niewieście szaty,
A górą drzewo, a jeszcze dalej
Zamek królewski w gruzy się wali,
A niebo ciche...

Do miejskich dzieci,

Józef staruszek pomagać chce ci. —

— Nie, nie, zostańcie ojczyźnie. —

Z świętych się ramion ptaszkiem zesunie,

Z onym krzyżykiem, z onym barankiem.

I już na ziemi, już w drodze z Jankiem

Mały pustelnik pracuje szczerze,

Przed swoim Panem wyrzuca perze,

Wszelką postugę dzieciątka czyni;

Jeden jedyny głos na pustyni.

Więc kędy przejdą czyściuchna miedza

A pustelniczek ciągle poprzedza.

— To i my za nim z boku przystaniem. —

Górą, doliną, różą, kaliną,

Wyszły dzieciątka by owiec trzoda,
Pan Jezus idzie do tego luda,
A one patrzą; każde się garnie,
Jakby otworzył białe owczarnie
I sól pokazał. —

Dziwy, przedziwy,
Jako przy Panu każdy szczęśliwy.
Każde się czoło k'niemu podniosło,
Każdemu jakby serca przyrosło,
Samo po sobie spogląda mnóstwo,
— Jużciż ubóstwo, a nie ubóstwo. —
Ledwie ramiona białe otworzył,
Już jakby szczęścia ludziom przysporzył.
— Pójdźcie ubodzy, ja was zbogacę,
Pójdźcie, skrzywdzeni, ja wam zapłacę. —
To też siedzące niewiasty chyżo,
Z krzykiem radości k'niemu się zbliżą,
A jak się zbliżą, tak i przystaną,
Patrzą, popatrzą, zegną kolano,
— Nie, to nie nasze, to być nie może,
To takie piękne, że chyba bożc. —

Więc pokój z wami — od dzwonka cieniej
Perłowem słówkiem dziecię szepleni,
Między małemi pod drzewem siada,
I przepowiada i rozpowiada;
A te słuchają jak czego trzcba,
Onych powieści z czystego nieba.

Jak my szczęśliwi. —

Co Pan ożywi, to i wyżywi.
Przyszło południe, pora obiadu,
Lecą słowiki z wonnego sadu,
Lecą skowronki, ptaszki malusie,
I pelikany i wielkie strusie;
Wiewiórka z drzewa...

Zwolna nieśmiało,
Szybują ryby w wodnym kryształu;
Mienia się złote srebrne pancerze,

I lew przychodzi i wszelkie zwierze
Jakie na świecie...

I nic, i zgoda...
Panicz każdemu na rączce poda,
Każde pogłaszcze, pobłogosławi,
Z każdym pogada, potem odprawi:
— Idź, idź mój strusiu, idź lwie kudłaty,
Owiec mi nie bierz, nie chodź na czaty,
Z Bogiem już, z Bogiem...

Hej! na kolana,
Cała kraina wymalowana
Złotem, lazurem; cisza bezpieczna,
Nad światem myśli mądrość przedwieczna,
Słowo zakryte. — W sennej ustroni
Słychać jak drzewo pod cięciem dzwoni,
I jak przy studni około żłobu,
Ludzie się swarzą o ziarno bobu.
Wiatr drzewy chwieje — w głębi obszaru
Słońce zachodzi już i mniej skwaru.

Jezus dzieciątko jeszczeby długo
Bawił z dzieciną jedną i drugą,
Gdyby nie Józef co przyszedł po nie
By je do Matki odnieść na łonie.
Przyszedł staruszek, jak mleko broda,
— Szkoda nam ciebie, paniczu, szkoda,
Ale cóż począć gdy trzeba, trzeba...
Za to jak przyjdziem do twego nieba
To już paniczu nie zakryj twarzy
Przed tą gromadą polskich nędzarzy,
Co oto klęczą...

Hejno baczenie —
Ze wszystkich piersi poszło westchnienie.
Kiedy dzieciątko rączką białą,
Jedno po drugim dziecko żegnało,
Błogosławiło paluszka znakiem.
A potem cisza jak zasiał makiem;
Tylko od czasu do czasu jeszcze,
Słowik zaszłocha — liść zaszeleszcze...

Więc święty Józef niesie na łonie
One paniątko, choć nie w koronie,
Ale w jasności całe świecące.
Jak gdyby małe prześliczne słońce,
Do Matki Boskiej.

W górze nad głową
Coraz to gwiazdką zabłyśnie nową
Lazur wysoki, coraz to więcej,
Aniby zliczył wiele tysięcy
Tych gwiazd wychodzi, oczy jasnemi
Patrząc na Pana nieba i ziemi,
Jak mu wiatr czesze kręcone włosy,
Jak się przytula maleńki, bosy,
Do łona starca...

Z jasnego smuga,
Gdzie jeszcze zorza złoci się długa,
Słychać dalekie głosy pokorne,
One żalosne pieśni wieczorne:
Dobranoc kwiecie, kwiecie różany,
Dobranoc, Dziecię, Jezu kochany,

Dobranoc!

A przy wieczerzy Matka po prawej,
Józef po lewej na rogu ławy,
Dziecię po środku, bo w tym porządku
Milej rodzicom — lepiej dzieciątku.
Na stole wino i chleb na misie
Takiej białości, że w oczach lśni się
Toż dziecię boże nakreśli znamię,
W oczach Józefa bułkę rozłamię,
Rozdzieli wino Matce, starcowi,
W drobnych paluszkach chleb rozpolowi.
— Jedzcie i pijcie owoce Boże,
Jeszcze wam dodam, jeszcze dołożę.
I w ustach dzwonią słóweczka rączę:
— Choć krwi z paluszka, to wam usączę.
Czas do spoczynku.

Skłońmy się Panu,
Wedle możności kmiecego stanu

Złożmy u proga, cośmy przynieśli
 Dla pacholątka świętemu cieśli.
 Święty Józefie, przyjmijże dzbanek,
 Orzechów miarkę i grzybów wianek,
 A przyczyn słówko jako za wielą;
 Wszyscy się ludzie w świecie weselą.
 I myby radzi. —

Cicho już chłopcy,
 Żeby tych żalów nie słyszał obcy;
 Złóżcie kobiałki wasze z ramienia,
 Wedle miłości a przemożenia.
 — A tamci drudzy, co w kącie stoją,
 Co w kącie stoją, skrzypczki stroją?
 — To kobeźnicy i grajki nasi,
 Leśni lirnicy, górszy Juhasi,
 Ci by też chcieli zagrać na dudzie.
 — Ha! toć już wejdźcie poczciwi ludzie. —
 I drzwi otworzył — ale nie śmieli,
 Bo już dzieciątku grali anieli;
 Ten na skrzypczkach, ów na basetli,
 Ze skrzydełkami, a tacy świetli, —
 Ów nóżką tupta a znowu trzeci
 Służy dzieciątku i na wiatr leci,
 Przenajśliczniejszy. —

Czołem do ziemi,
 My najbiedniejsi między biednemi
 Prośmy pokornie świętą Dziecinę,
 Przez Przenajświętszej Matki przyczynę,
 O długie zdrowie, o miłą zgodę,
 O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę.

O szczęście w kraju
 O pobyt w raju,
 O królowanie
 Wraz z Tobą, Panie,
 Na wieki.

POGRZEB.

Jaka smętna a śmiejąca
Założone na pierś ręce,
Jaka cicha — jakby śpiąca
Panna moja w tej trumience.

Czy źle tobie było z nami?
Czy nie dosyć miałaś kwiatków,
Białych lilij i bławatków,
I powojów nad wodami?

Śmierć zabrała ciebie sroga,
Zwiedłaś jak kwiat nad twą główką.
Moja złota! moja droga!
Przemów słówko! aby słówko!

Och nie kładźcie jeszcze wieka,
Matka chce ją widzieć, matka!
I brat mały do ostatka
Jeszcze znaku życia czeka.

Próżno! próżno wzywa ciebie,
Nikt cię ze snu nie ocuci,
Kogo weźmie grób do siebie
Tego więcej nie powróci. —

Ach już słyhać pieśń pogrzebu,
Smętna nuta w niebo wzlata,
Aniol co ją wiódł do świata
Znowu wiedzie ją ku niebu.

Gasną gwiazdy, wędzną róże,
Jasny strumień schnie na piasku.
Dzień się kryje w nocy chmurze,
A noc w dniowym ginie blasku.

Zegnaj! zegnaj kwiecie młody!
Jako obłok na błękicie,
Jak na piasku strumień wody,
Wyszło, znikło twoje życie.

Cicho płyną lzy gorące,
Dym pochodni się rozwiewa.

Na zachodzie skrawe słońce
Przez świerkowe świeci drzewa.

Wciąż ta sama pieśń pogrzebu,
Smętną nutą w niebo wzłata,
Anioł co ją wiódł do świata
Znowu wiedzie ją ku niebu.

Na płacz matki, brata jęki.
Na przyjaciół prośby mnogie,
Oderwano wierzch trumienki
I odkryto zwłoki drogie.

Raz ostatni promień słońca
Na zsiniałe świeci lica:
Zdjęta wiecznym snem dziewica,
Wpół-płacząca, wpół-śmiejąca.

I spuścili w ziemię lekko,
Wiatr podwionął brzeg jej szaty,
Na jej trumny czarne wieko
Spadła ziemia, lzy i kwiaty.

Cisza jakby nic nie było:
Z za drzew księżyc patrzy błądy,
Tylko jeszcze nad mogiłą
Szepcą głuchy pacierz dziady.

DWIE ZORZE.

Hej! tam na górze stała cerkiewka,
Przy niej dzwonnica nowa;
— Wyjdziej dziewczyno, wyjdź czarnobrewka,
Jak miesiąc w las się schowa,

Wyjdziej dziewczyno przed słońca wschodem,
O najranniejszej zorzy. —
Porwie się dziewczę zbudzone chłodem,
Na ścieżaj drzwi otworzy.

— Zorza już weszła, szeroko, długo
Pooświecała góry;

Patrzę na jedną, patrzę na drugą,
Dziwić się nie wiem której.

Czy tej na niebie, całej we zlocie,
Co rzuca wciąż oświatę;
Czy tej na progu, mojej sierocie?
Patrzę na tę, to na tę.

Jasna zoreńka, Boża służeńka,
Niech sobie świeci Bogu!
A mnie niech kocha moja dziewczynka,
Tak ot, jak stoi w progu!

STARY JÓZEF SKRZYPKĘ STROI.

Pocieszcie się ludzie moi,
Stary Józef skrzypkę stroi.
Już ją chwycił, już ją trzyma,
Stają chłopcy przed oczyma;
Przytupują, kręcą głowy,
Dalej! dalej! ten i owy.
Starzy siedząc przy kwaterce,
Posilają sobie serce.
Młodym żalność nie przystoi:
Stary Józef skrzypkę stroi.

Spieszą wozy do gospody,
Zaśpiewajmyż pannie młodej:
— Panno młoda bądźże rada,
Nie wydali cię za dziada.
Jest-ci chłopiec jak należy;
I z wejrzenia i z odzieży;
I z odzieży i z wejrzenia,
Moskwę bije do imienia.

Do taneczka, do roboty,
Jest-ci chłopiec szczerzoty,
Nie rady się miesza w zwadę;
Aleć sobie daje radę.
Tego rączką, tego kołem,
Za to chodzi z śmiałem czołem.

A kiedy się w karczmie bawią,
Toć mu nogi niepodstawia.
I lubią go z tego znowu,
Ze jest Wawrzek swego chowu.

Mężów matka zła gadzina —
Jeno nie ta, nie Wawrzyna,
Ta ci wody nie zakłóci,
Ta ci życia nie zasmuci;
Z książką chadza do kościoła,
Co to wiedzą ludzie z siola.
I ostatek swego grosza
Dla sąsiada wypatrosza,
Chociaż będzie i przechera,
A kto daje nieodbiera.
I dziadowi, sieroteńce,
Także kapnie coś na ręce;
Boć to matka gospodyni.
Co każdemu dobrze czyni.
Stary ojciec nieboszczyczek,
Był staruszek czystych liczek,
Włosy nosił nie — postrzygał,
Odkąd polską kosę dźwigał.

Kosa biała pordzewiała,
Głowa czarna pobielała,
Za tą jedną — za przyczyną:
Ze Księciuszki czekał ino,
A Kościuszcze nikt nie sprostął,
Jak był jeden tak pozostał.

Latoś była wojna sroga,
Ale była krzywa droga;
Jak zaś będzie prosta droga,
Nie powinie nam się noga.

„Wiary, wiary, wiary, wiary!”
Tak powiadał Wawrzyn stary,
Do ostatniej gadał chwili,
Aż go w trumnę położyli.

Nie poznasz-ci co to smutki,
Bo są grosza trzy przegródki,
Na trzy spusty zamykane.
Same białe sztrychowane.
Jest ci w domu ślicznych rzeczy:
Od stajenki owca beczy,
Krówka ryczy niespokojna.
Owca kotna, krówka dojna!
A koniczek wytknął głowę,
By zobaczyć panią nową.
Lecz się do niej nie pośpieszy,
Bo go świeże sianko cieszy.
Z chaty bocian: kleku, kleku,
Ucieszy się swemu czleku,

A niemogąc ludzkim głosem,
Zaklekocze ptasim nosem.
Prosim, prosim, wszyscy swoi!
Stary Józef skrzypkę stroi.
Już nastroił kwintę, kwarę,
Toćto czleku czegoś warte.
Chłopcy idą od Siennicy,
Zasłyszeli brzęk skrzypicy.
Zaśpiewali kupką dużą,
A lasy im jeszcze wtórzają —
Sosna sośnie, dąb dęhowi.
Po gałęziach słówko powie.
I drózd drózd, i gil gil,
Jak na skrzypkach dylu dylu.
A czlek ucho w lasy puści,
Bo jużciż to piękne jużci.
Idą, idą nogą bosą,
Z pola idą, kosy niosą.
Słońce schodzi, blask na drzewie,
Gdzie wzrok podziąć człowiek nie wie.
Tu się w polach mgła rozsiada,
Tu na zboże rosa pada;
A tu nasi ludzie szczerzy,
A tu żrebak w łąkach leży.
Lud wesoly — kosy w dłoni,

Choć nic z serca nie uroni,
Lecz się śmiechem broni biedzie,
Bo żalością nie pojedzie.
Wiedzą oni co i komu,

I kto siedzi w czyim domu,
I gdzie pędzać onych ktosi.
Toż parobków dziatwa prosi:
Do gospody bośwa swoi,
Stary Józef skrzypkę stroi.

Idą, idą, pani z panem,
Idą, idą, polem, łąnem.
Hej panowie niebożęta!
Toć i nam też Polska święta:
I nam ubył ten i owy;
Niepoliczyć ludzkie głowy.
Przecież Polska nieprzepadnie.
Jak ten kamień w morzu na dnie.
Nie będzie tam stu talerzy,
Lecz nie posną bez wieczerzy
Nie będzie tam jelen, sarna,
Ale będzie juszka czarna;
Czysta woda śród ogrodu,
Kapka piwa, kapka miodu;
A kapusta i jarmuże,
Przeglądają na podwórze.
Nie smućciesz się Polaczyska,
Ręka Boska zawdy bliska.
Wy ubodzy, my ubodzy,
Kochajmy się państwo drodzy,
Wszakciśwa to wszyscy swoi: —
Stary Józef skrzypkę stroi.

KAPRYŚNA.

Bożeż, mój Boże co mnie się stało?
Wciąż takam smutna taka nieswoja,
Jakby co złego spotkać mnie miało,
Spokoju nie ma duszyczka moja.

Myślałam, że mi powiedły róże,
Wyjrzę na ogród, kwitną precudnie;
Myślałam rano, że przyjdą burze,
Tymczasem cicho przeszło południe.
Najczystszy błękit na całym niebie,
Ani jednego niema obłoczka;
Czego ja smutna, pytam się siebie?
O czym ja myślę i gubię oczka...
Siadam do grania, co wezmę w rękę,
To wszystko mi się zdaje nieładne:
Wezmę mazurka, wezmę piosenkę,
Przewracam, szukam, żadne a żadne —
Otwieram okno, powietrze świeże
Napelnia pokój wonią rezedy;
I to mnie smuci i żal mnie bierze,
Jakbym co złego zrobiła kiedy...

Gdyby to można... ej co ja roję?
Gdyby to można... jak ja dziecinna,
Gdyby to można... ach! aż się boję,
Myślę rzecz taką com nie powinna...
Gdyby to słońce nie tak świeciło,
Ale się błyszczy, że aż mnie mroczy,
A nie wiem komu dobrzeby było
Żeby mu padał blask w same oczy.
Dziewczyny idą zbierać maliny,
Wezmę dzbaneczek i pójdę z nimi;
Niech sobie idą wiejskie dziewczyny,
Ja się zostanę, tak jakoś źle mi.
„Co tobie duszko?” — ja nie wiem sama,
Suche mam oczy, a serce płacze,
Ja nieszczęśliwa, zobaczy mama,
Że ja miłego nic nie zobaczę;
Że ja zmarnuję śliczny wiek młody.
Albo się cała we łzach roztopię,
Puść mnie matuniu pójdę do wody...

„Czy się utopisz?”...

— nie — nie utopię. —

NIEWIASTA I ŚWIĘTE PIELGRZYM.

Białe gąski przez ogródek leciały,
O posag się Marysienki pytały:
„A cóż wam to białe gąski do tego,
Do miłego do posagu mojego?
Mój czerwony złoty
Ręce do roboty,
Nóżki do wstawiania,
Serce do kochania”.

Przepiórzyce przez pszenicę leciały.
O posag się Marysienki pytały:
„A cóż wam to przepiórzyce co moje,
W jakie ja się koraliki wystroję? —
Moje koraliny
Z czerwonej kaliny,
Przyodzievek lniany,
Wianeczek ruciany;
I pięknie mi w pasku
Z lipowego lyczka,
Noga do trzewiczka
Ze złotego piasku
Co go woda rosi,
Na pole roznosi,
Na pola na drogi,
Na dziewczęce nogi”.

Oj leciały trzy sokoły leciały,
O posag się Marysienki pytały. —
„A moja ozdoba
Wszystkim się spodoba,
Na żniwach się wije
Jak fryga na przedzie,
Na wojnie się bije
Na armacie jedzie.
Bębni na bębunku,
Na moskiewskim grzbiecie,
Strasznie mocna w rękę,
A dobra jak dziecię.
A gdy się zaśmieje,
Coś się w sercu dzieje.

Ząbki jak perełki,
Oczy jak ciareczki,
Ciągnęły węzelki
Na niego dziewczeczki".

Oj! leciały trzy gołąbki, leciały,
O rodzinę Marysieńki pytały.

„Moja matka miła
Złotem się okryła,
W złotym domu żyje
Gdzie wchodzą poczcwi,
Nikt nie je, nie pije,
A każdy się żywi. —
A braciszek przy niej
Swoją służbę czyni,
Skrzydłami obmiata
Wszystkie nędze świata. —
A ojciec wysoko
Siedzi na swym dworze,
Ma niebieskie oko,
Z dłoni sypie zboże,
Z okrutnej szczodroty;
I patrzy na pole
Na dolę niedolę,
Na wolę niewolę,
Na dzieci sieroty".

• Oj szły święte trzy pielgrzymy do Boga,
Pytały się Marysieńki u proga:
„Czego pragniesz Marysieńku dla siebie,
Jako idziem k'temu Panu co w niebie".

Po kraju w tej dobie
Nędza się przewlekła:
Niewiasta spojrziała,
Łzami się zalala,
Słówka nie wyrzekła...
Święci poszli sobie. —

GRAJKI WĘDROWNE.

U morza, u szerokiego,
U Dunaju głębokiego,
Oj! idą dwaj pastuszy,
Grają sobie od duszy.
Co odpoczną, zagrają,
I znów się w drogę mają:
Jaki taki dziwi się,
Co onym ludziom śni się.
O rajskiej wesołości,
O anielskiej miłości,
O miłosierdziu Bożem,
I tak idą nad morzem.
I zachodzą do dworu,
Do wysokiego domu,
I staną u jaworu,
Radzi zagrali komu.
Patrzą, patrzą o dziwa,
O miły Boże święty,
Nikt się im nie odzywa,
Bo to był dwór zaklęty.
Wiatr zaklęty nie szumiał,
Ptak nie śpiewał pod strzechą
Zaklęte było echo,
I nikt odrzec nie umiał.
Wstrzymała się rzeczulka,
Do morza nie leciała,
I zaklęta jaskółka
Nad rzeczulką siedziała. —
Narosło ziela tego
Żółtego, zielonego,
Ale ziola bez woni,
Niby rosna nie rosna,
Ni się mucha zagoni,
Więc im to jest żalosno.
Ludzkiej mowy zwyczajni
Jako naród ubogi,
Zamkowe miną progi
I wędrują do stajni,

Myśląc sobie ażaliż
Nie znajdzie się masztalerz,
Czy stajenny, koniuszy,
Czy niema żywej duszy.

Aż ci nowa dziwota,
Trzysta koni pod siodłem,
Pod nakryciem niepodłem,
W górze drabina złota.
Wojaków orszak senny,
Gdzie spojrzysz jedno wszędzie,
Pająk sieci nie przedzie,
Martwy kozioł stajenny,
Nad wiadro chyli szyję,
Stoi, wody nie pije.
Idą patrząc z podziwem
Po tym dworze nieżywym,
W progu brytany leżą.
Lecz się na nich nie jeżą.
Weszli, patrzą, lud mnogi,
Więc się skłonia do nogi.
Siedzą pany i panie,
Co pan jeden, to pani.
A srebra, złota na niej,
Suknia co sama stanie,
Tyle tam czaplich kitek,
A brylantów aż zbytek.

Nad orszakiem, nad cichym
Stoi jeden z kielichem,
Na wpół usta otworzył
I wieczny go sen zmorzył.

Podziwiał się pastuszy
Że to wszystko bez duszy;
W kościele też ksiądz z glazu,
Nie zagada ni razu,
Ani lud się pokłoni,
Świece świecą nie świecą,
Dymy lecą nie lecą,
Dzwonek dzwoni nie dzwoni.

Popatrzyli pastuszy,
Aż im się wzrok zapruszy,
Zapruszy się łzą rzewną,
Jako serce nie drewno.

I od dworu do chaty
Wędrowali dwa braty.
Wszystko perzem zarosło,
I piaskiem się zaniosło.

Dziwują się martwocie,
Jak we dworze tak w chacie,
Siedzą martwe postacie,
Martwy kurek na płocie
Jak do piania podskoczył,
Tak go ciężki sen zmroczył,
I z gardłem podniesionem
I z skrzydłem roztoczonem.
Jak się zapiać zamierzył,
Stoi jak gdyby nie żył.
Przed chałupą dziewczęta
Z kołeczkami odelna,
Dalej družba weselna
Stoi w kamień zakłęta.
Skrzypek z dudarzem stoją,
Co kompaniją wiodą,
Ten ma skrzypkę pod brodą,
Ów dzierży dudę swoją.
Już smyczek przyłożony,
Ale nie grają struny.

Patrzą, żalność ich bierze,
Stoją martwi żołnierze,
Z podniesioną wraz nogą,
I spuścić jej nie mogą.
Żal im tego narodu.
Zamarły w ustach słówka,
Spojrzą, aż idzie mrówka
Do królewskiego grodu,
Jak zarosła tam ścieżka,
Niosąc kąsek orzeszka.

Tak ci za nią grajkowie
Za tą mrówką szli małą,
Alboż tam się człek dowie,
Co się z tym ludem stało...

Wchodzą, zamek okrutny,
Żal im pocznie dopiekać,
Gród albowiem tak smutny
Że aż chyba uciekać.
Król z królową oboje,
I królewiat aż troje,
Nie ruszając się wcale
Siedzą jakoby lale.

Tak ci nie myśląc siła,
Już grajki u przelazu,
Jako to rzecz niemila
Patrzeć na ludzi z głazu.
Aż tu onym na razie
I mrówka na przełazie.
Tak jeden rzecze słówko:
„A gdzie to pani mrówko?”
A mróweczka pocieszka
Złoży kasek orzeszka,
Pyszczek obetrze sobie,
I odpowie na dobie:

„Wędruję do mrowiska,
A droga mi niebliska;
W głębokim czarnym lesie,
Co pustynią zowie się.
A w niej nikogo niema
Jako to kraj osobny,
Tylko dziadek podobny
Do świętego Zozyma,
Zarośnięty do pięty
Siedzi w kamień zaklęty.
Skorupkę trzyma z miodem
Dla pszczołek dziaduś biały,
By nie pomarły głodem,
Choć i pszczoły zmartwiały.

Bo w tym kraju od wieka -
Dziwnie jakoś się dzieje,
Ani pies nie zaszczeka,
Ani kogut zapieje".

„A no w takim przypadku
Prowadźże nas niebogo
Swoją mrówczaną drogą,
A powiadaj o dziadku". —

Idą po czarnym lesie,
Co pustynią zowie się,
A w niej nikogo niema,
Jako to świat osobny.
Tylko dziadek podobny
Do świętego Zozyma,
Złotą skorupkę trzyma.
A niebogie pszczółęta
Odnoszące robotę,
Na ręku siedzą złote,
Ale każda zakłęta,
Na onej miodnej misie,
Jako złoto świeci się. —

A tak naszy pastuszy
Siadłszy radzi przy ulu,
By się jako zbyć bólu.
W dudkę zadną od duszy
Historię znajomą,
Wszemu światu wiadomą:
Jak przyszedł Lech do kraju,
Zielonego Bugaju.
I wojewód dwanaście,
O Krakusie, o Piaście...

Grają, idzie im sporo,
Wejrzą: aż tu jezioro,
Pszczółka skrzydłami rusza.
W dziadka wstępuje dusza.
Patrzą: dziwy nad dziwy,
Kraj nieżywy — znów żywy,
Gościnność i ochota
Otacza ich do koła,

By niebios družba złota
Zasiadała u stoła.
We stajniach rzą rumaki,
Koło drabiny złotej
Zbudziły się wojaki,
Rycerskiej pełne cnoty.
Rzeka leci do morza,
Zioła wonią przecudnie,
Śmiga jaskółka hoża
Goniąc muszki w południe.
Pany piją na sali,
Wojsko idzie po drodze,
Dudy, skrzypki tną srodze,
I tak dalej i dalej
Aż do samego króla,
Co z swą królową hula,
A przy nim królewiety
Biją piętami w pięty.

Tak ci nasi grajkowie
W onej wesołej chwili,
Chociaż wina nie pili,
Czuja by zakręt w głowie,
Same nogi im skaczą,
Skaczą, na nic nie baczą.
Tną oberka na lewo
Aż się grzimoto o drzewo.
Zmiarkują się co czynią,
Spojrzą: aż tu znów głuza,
Oną głuchą pustynią
Żaden wiatr nie porusza.
Znów taż sama martwota,
Głos przepada bez echa.
Ludzka rzecz nie dziwota,
Skończyła się pociecha.
Jeno mrówka nieboga
Jak ta zielona ścieszka,
Co jej daleka droga.
Niesie kasek orzeszka.
— Mrówko, mrówko hej mrówko!
A toć nam rzeknij słówko,

A niechaj się człek dowie,
Jako się kraj ten zowie.
A mrówka nie omieszka,
Złoży kasek orzeszka
I odpowie im grzecznie,
Że nie wie dostatecznie.
Lecz że jej się raz śniło,
Że się zowie: „Tak było”.
Jak tedy zmiarkowali,
Grajkowie poszli dalej,
Bo co było, to nie jest,
Nie pisać tego w rejestr...

Idą krajem Dunaju
Do przedziwnego kraju,
Idą, idą daleko,
Aż ci za siódmą rzeką,
Za Dunajem, za Sawą,
Sawą. Drawą, Mołdawą,
Jakby srebrny stół pole,
I w pas zboża na stole.

Tu i owdzie chateńka,
Schłodna chociaż maleńka.
A przy chacie, przy onej,
Owdzie dąbek zielony,
Owdzie od wierzby starej
Suche szumią konary.

Gdzie człek zajdzie, zapuka,
Nikt go za to nie zfuca,
Bo naród dziwnie rzewny,
I łagodny jak zorze;
Dziewice jak królewne,
Albo piękniejsze może.
Oczy w ziemię spuszczone,
Jakoby święte one,
Złote. srebrne. jedyne;
Człekby życie położył,
By choć z taką rok pożył,
Choć rok, miesiąc, godzinę.

Mądrzy starzy ojcowie,
Bo dość starość pamięta,
A gdy ci słówko powie,
To ewangelja święta.
Matki koleczka kręca,
K'córkom się chłopcy nęca,
Jako pszczoły na zioła,
Co rzecz bardzo wesoła.

Porządki gospodarcze,
Stoją pługi a radła;
A tu się wieś rozsiadła,
I siedzą gdyby karcze,
Jakby leśne wyręby;
A chłopaki jak dęby
Zboże wożą het drogą,
Nawozić się nie mogą.

Po polach, po zagonach,
Po oddalonych stronach
Śpiewa dziewczę po rosie,
Zbierające pokłosie. —

Idą grajki pocziwi,
Jeden drugi się dziwi:
Hej kraju, kraju, kraju!
Świętego obyczaju. —
Kiedyć takie zagrody,
Jakież tu wojewody,
Więc się oto pokuszą,
Ze ich zobaczyć muszą. —

I zeszedł dzień i drugi,
Oblecieli świat długi,
Różne mieli przygody,
Aż nareszcie, nareszcie,
W jednym wysokiem mieście,
Zachodzą do gospody.

Gospoda była sroga,
Dziury, doły u proga,
A z komina aż miło
Na chałupę dymiło.

Lecz łakomi spoczynku
Zasiedli przy kominku
Godzinę zęby grzeli.
Nikt nie żądał kapeli,
I tak szczęście zasnęli.
W nocy coś ich rozbudzi;
Patrzą: czy wzrok nie łudzi
Z pod komina jak szczury,
Idą różne figury. —
Wojewoda ot tylki
Jako łebek od szpilki,
A wojewódzki sztabek
I bębniści, trębacze,
Jako gromada żabek
Za wojewodą skacze.
Myślą sobie: a to co? ...
Aż tu pałac z biczyka
Jedzie fernal z karocą
Złotą jakby z piernika,
A w karecie dygnitarz,
Nie odpowie choć pytasz;
Z pod komina po parze
Marszałkowie, pisarze,
Jako szczury wylażą,
Po izbie gospodarzą;
Mają też swoje dudki
One to krasnoludki.
Wyszła czereda cała,
Chodziła, bobrowała;
Sprawiali se bimbasy
One karzełki małe,
Wysokie po obcasy
Ale srodze zuchwałe. —
Grajkowie zasie na to
Patrzyli w nocy głuchej
Jak się patrzy na muchy
Maćkowy pies przed chatą,
Patrzyli się, naśmieli,
I znów sobie zdrzemnęli. —
Alić nazajutrz świta,
Gospodarz się zapyta:

Jakże się grajkom spalo?
Czy się co nie przydało? —
Tedy jeden i drugi
Powiada, przypomina,
— Jak wyszedł orszak długi
By szczury z pod komina,
Podobne do jasełek
Na Boże narodzenie:
Taki, tylki karzelek,
Na nim świetne odzienie,
Z zamaszystą szabelką,
Jak łasica z pod dachu,
Z kalwakatą dość wielką
Czynił wiele rejwachu.
Jak maluścy pisarze
Nosili kałamarze,
Jak drudzy po kolei,
Podobni do złodziei,
Wyciągali co żywo
Jako piasek grosiwo.
Jak po wielkim hałasie
Ciżba ta niedorosła
Przy samym ich obcasie
Pod komin się wyniosła. —
Gdy skończyli, gospodny:
„A ty rodzie wyrodny”
Zawoła na nich w gniewie,
„A któż na świecie nie wie
Że to są wielkie duchy,
A nie szczury piecuchy.
Chociaż wzrostem niesporzy,
Nasi to Senatorzy,
Pisarze, Wojewody,
Ozdoba tej gospody”. —

Tedy grajkwie nasi
Widząc że się nań kwasi,
Nie wdając się w rozprawy,
Zabrali dudy z ławy.
Lecz w sercu nieśli smutki
Patrząc za onym grodem,

Ze takie krasnoludki
Takim rządzą narodem.
Ramionami wzruszali
I dalej wędrowali,
Powtarzając: „hej kraju,
Dziwnego obyczaju“. --

Na łące niedaleko
U czystego strumyka
Stoi panna nad rzeką.
Jeśli panna nie dzika,
Niech nam powie nazwisko
Tego miasta ot blisko. —
A dziewczę im odpowie:
— A to „J e s t a k“ się zowie.
Tedy grajkowie nasi
Podziękowawszy Basi,
Co pstre i białe basie
Na mokrej łące pasie,
Szli pytając się wszędzie
To tego, to owego,
Bijąc o kamień nogą,
O nieznana o drogę
Do miasta prześlicznego,
Co się zowie: „J a k - b ę d z i e“.

Jeden słucha, spogląda,
Czego to chłopię żąda,
Bo odkąd się narodził
Nigdy człek tam nie chodził.
Spytają się pielgrzyma,
Pielgrzym szuka w pamięci,
Słucha a głową kręci,
Bo tego miasta niema
I rzecze naostatek:
Za dwieście. trzysta latek,
Wlóczący się po świecie,
To i może znajdziecie. —

Tedy grajki się puszcza
Niewiedzący co robią;
Może ich wilcy schruszcza,
Może kruki zadziobią,

Pierwej nim się zawleka,
Kiedyć to tak daleko. —

Jednak z dobrą nadzieją
To raz idą, to jada,
A ludzie się z nich śmieją
Aż się po drodze kładą.
Tak dzień jeden, tak dwa, trzy,
Grajek jeden a drugi,
Idąc po drodze długiej
Ledwie ócz nie wypatrzy,
Kraju dojrzeć nie może;
Przyszli nad jedno morze,
Pytają się rybaka:
Kędy kraina taka. —

Rybak po morzach pływał,
Różne wyspy widywał,
Lecz próżno na ziem siedzie,
Próżno w głowę się bije,
Tego kraju „Jak będzie“
Niewidział póki żyje.
Kraj cudny malowany,
Od srebra złota ściany,
Kędy się skarby mnożą,
Złoto im płynie rzeką,
Gdzie same pługi orzą,
Same się chleby pieką...

Przelecieli świat cały
Jako wielki wspaniały,
Zdarła im się sukmana
I nogi po kolana.

Wreszcie idąc po Tatrach
Wynędznieli na wiatrach,
Wychudli jak dwie trzaski,
Powrócili w obrzaski
Gdy pierwsze kury piały
Do swojej chaty małej. —
Jeden drugi pogładnie,
Jakoś czysto, porządnie;

Boża męka im nowa,
Nowa chata ojcowa,
I zboże na nowinie
Zielonem morzem płynie.

Patrzą na swoje płoty,
Na kościół gdyby złoty,
A' gdy wszystko zobaczą
W łzy się rzewne rozplaczą.
Zapukają do chaty

Zabłąkane dwa braty,
Aż ci matka o zorzy
Wrota onym otworzy;
A ci jej buch do nogi
Jako naród ubogi.
A jeden się ozowie:
„Toć my twoi synowie”.
A ta schyli się k'ziemi
Gdy jej własna krew bliska,
I rękami drżącemi
To raz tego przyciska,
To raz tego przyciska.

Kiedyc' wstaną, do koła
Ujrzą krewnych i braci,
Tyle miłych postaci,
Co się zeszli ze sioła,
Wszyscy w serdecznej zgodzie,
Bo zgoda' w tym narodzie:
Zgodą pług ziemię kroi,
Zgodą świat cały stoi.
Praca, trudy, kłopoty,
Znikają w zgodzie złotej.
Jeden drugimi nie gardzi,
Jeden z drugim się dzieli,
I jak w niebie anieli
Kochają się wciąż bardziej.

Toż się wejrzą na nowo
Na swą ziemię ojcową,

Po ojczystej po grzędzie,
Aż im się przypomina
Że ta szczęsna dolina
Nazywa się: „Jak-będzie...”

Widzą szczęście, wesele,
Jako słońce we stawie,
Bożą chwałę w kościele,
Dobrych ludzi we sławie.
Tak ci szczęśni nastroją
Zapomnianą gęśl swoją,
I na chwałę stokrotną
Wedle stoła złotego
Dla narodu wszystkiego
„Jeszcze Polska...” jak grzmotną,
Ile było tam gości
Poszaleli z radości.

Radość serca im chwyta,
Łza zasycha nad okiem,
Miód się leje połokiem,
Jadła było do syta.
I ja szczęście to śniłem,
I ja jadłem i pilem,
Po brodzie mi kapalo,
A w gębie nie pozostało. —

D Z W O N E K.

Oj dzwonkuż ty mój dzwonku,
Dzwoń mi o białym dzionku,
Dzwoń i na odwieczerzy,
Kiedy się świat uśmierzy,
I schodzi na Anioł pański
Na ten brzeg nadwiślański.

Na daleki głos dzwonka,
Uspokaja się łąka,
I dalekie przestrzenie,
Strumienie, nie strumienie,

Jak zasięgnie brzęk czysty,
Po dolinie rosistej.
Ubożuchnej sierocie,
Dobrze w takiej tęsknocie,
W tem dzwonienu i w złocie.
Słucha, patrzy na zorzę,
Żywe niebo tam gorze,
Nasłuchać się nie może...
Dzwonek dzwoni z kościoła,
I coś w duszy wciąż woła:
Zrobię z ciebie anioła.

Coś jej serce otwiera,
Coś jak na płacz się zbiera
Że dzień przestaje świecić,
Rade za słońcem lecieć
Za doliny, obszary,
Jak za światłem komary.
Chwila idzie po chwili,
W płacz się serce rozkwili,
I drży nuta kochana:
Oj! dana, dana, dana,
Wszystko, wszystko w tem d a n a.
Głodne ranki, wieczory,
Nędza kmiecej komory,
Świat do pociech nieskory.
Dana dana — w tem słowie,
Co wie wszystko wypowie,
Wyśpiewa to jak umie,
A Bóg święty zrozumie.

Świat się ściemnia. mniej jasno,
Rychło zorze pogasną,
Za to od gwiazd dość blasku.
A tyle ich co piasku.
I sierota nieboże
Przygarnie się gdzie może,

Czasem też i na dworze:
Łania sypia na wrzosach
Kuropatwa w pokosach,
Chmurami lecą szpaki,

Ptasi rodzaj wszelaki,
Na bagniska, na krzaki,
Cyranka równo płynie,
Aż się schowa we trzcinie,
O zachodniej godzinie.

Jak tylko dzwonek brzęknie,
Świat przed Bogiem pokłęknie,
Wszędzie czysto i pięknie.
Bo Anioł Pański zgania,
Bożą trzódkę do spania,
I już niema gadania.
Dziecko złoży w kolebce,
Pacierz nad niem poszepce,
Cichość robi w izdebce.
Potem w progu usiedzie,
I snów tyle naprzędzie,
Że z nocy na dzień zbędzie.

I sierocie się przyśni:
Ogródek pełny wiśni;
I ludzi dobrych siła;
Każda twarz Bogu miła
Słonkiem się rozświeciła;
Jeden je ręką gładzi,
Drugi przy sobie sadzi,
Nikt nie laje, nie bije,
Ani nie pyta: czyje?...
Jak w niebie sobie żyje.

Bocianowi we spiączki
Śnią się smaczne zajączki,
Co krok robi to dziobnie,
Bocianicy podobnie.
Rybie śni się zabawa,
Pod brzeg płynie ciekawa
Kędy raka zobaczy,
Co ją godnie uraczy.
A trzciniać się spodziewa
Że słowika prześpiewa,
Że mu przyzna świat cały,
Że ma głos doskonały.

Tymczasem jak potrzeba
Powraca słońko z nieba.
Lecz nim oko otworzy,
Doprasza się u zorzy
By obeszła świat Boży.
I też każe jutrzence
We złocistej sukience
Gasić gwiazdy zwierzęce.
Zaś potem na niebiosy
Wypuszcza złote kosy,
Aż się zaiskrzą rosy.
Wodę w rzece zrumieni
Od najpierwszych promieni,
I wyjrzy wszystko z cieni.

Ze mgły wychodzą gaje,
Dalekie świata kraje,
Cały Boży świat wstaje.
I widać kraj szeroki
I za krajem obłoki.
Wtedy z kaplicy dzwonek
Ogłasza nowy dzionek,
A kukulka mu z lasu
Odpowiada zawczasu,
Bydło rykiem wesołym,
A sioło całem siołem.
Dzwonki perełki trzęsą,
Stokrotka mruga rzęsą,
Przechwala się mak duży,
Ze piękniejszy od róży;
Lipa rozrzuca kwiatem
I woń przeciąga światem.

I znowu dana, dana,
Brzmi nuta zabłąkana
Od wieczora do rana.
Jeno nie ta sieroca,
Która nędzę ozłoca,
Ale tej co ją zową
W grze najpierwszą królową,
W chacie srebrem i złotem,
A w kochaniu nicpotem.

I u tej dana, dana,
To znaczy że kochana,
U matki wychowana.
Ze u niej krówka dojna,
Ze chata czysta, strojna,
Ze Boża ręka hojna.
Dana, dana, u Basi
Na konikach, na wronach,
Na siodelkach czerwonych.
Dana, dana, powtarza,
Ze pójdzie do ołtarza,
Nie za króla, cesarza,
Jeno za gospodarza,
Co się za nią zastawi,
I w zabawie zabawi,
Co go wszyscy ciekawi.

A w południe gdy dzwonią,
Ludzie w cienie się chronią,
Przeczyścieje przezrocze,
Konik w zbożu strzekocze,
Drzewna żabka się żali.
Ze słońce bardzo pali...
I powoli, powoli,
Coraz ciszej na roli,
Jak ten w polu kłos plenny,
Tak ten w zbożu człek senny.
Ludzkie szczęście, mój Boże,
Kiedy padnie we zboże,
I przy szumie tych kłosów,
Przy błękiecie niebiosów

Zmruży oko na chwilę,
Dobrze człeku i tyle.
Nad tem czołem spotniałem,
Nad tem ciałem zbiedniałem,
Nad tą nędzą odkrytą,
Nad ludzką łzą obfitą,
Szemrze jęczmień i żyto.
A wśród bujnych jęczmieni
Senna postać się mieni,
I oświeca te kości

Promieniami jasności,
Anioł Bożej miłości,
I jak gdyby z czem drogiem,
Chwali się z tem przed Bogiem.

Skwarne słońce dopieka,
Ciagną chmury z daleka,
Napływają obłoki,
Na ten błękit wysoki,
Białe, ciężkie, jak runo,
Pod błękitem się suną,
Tak, że się zdaje oku
Z tych obłoków natłoku,
Że potem przyjdzie w zgrozie
Święty Eljasz na wozie...
Że sądny dzień nadchodzi,
A to burza się rodzi.

Na obłoków pościeli,
Na tej przejasnej bicli,
Szara, brudna i sina,
Już się jawić poczyną.
Słońce z pod chmur odzieży
Raz jeszcze świat przemierzy
Dwoma smugi srebrnemi
Od nieba aż do ziemi;
A gdy zniknie w tej chwili
Każde drzewo się chyli,
Szumią liście, a zboże
Kołysze się jak morze.
I przez pola zagony
Pędzi wichher szalony,
I obnosząc wieść srogą,
Trwoży chatę ubogą.
Tymczasem dziećcie burza
Już czarny łeb wynurza,
Ręce rozwiesza sine
Nad przełękłą dolinę.
A kiedy się rozśmieję,
Ogniem ziemię obleje,
Ciemne rozświeci knieje.
A gdy słowo zagada

W proch się ziemia rozpada,
Rzeki w łożyskach wzbiorą,
Bokami dęby gora,
I świat tonie w powodzi,
Tak to burza się rodzi.
Wtedy naraz wśród grzmotu,
Starych dębów łomotu,
Gdy wichher ziemię kąsa,
A piorun światem wstrząsa,
Nasz dzwon srebrny uderzy
I to piekło uśmierzy;
Jak dwa skrzydła anioła,
Wygóruje nad sioła,
I cudnym dźwiękiem zgody
Porozrywa te wody
Aż do czystej pogody.
I dzwoni: pozdrowiona,
O Panno nad pannami,
O ty błogosławiona
Pomiędzy niewiastami
I owoc twego łona.
Święta Panno i Matko,
Odwróć nieszczęścia rzekę,
I nad rolnika chatką
Rozciągnij swą opiekę.
I tak o każdej porze,
Czy to o wschodniej zorze:
Czy o zachodniej zorze,
Dzwonek dzwoni na wieży,
Co się nad wioską jeży,
I pou którejto ścianą
Pacierz mówi co rano
Dziadek z brodą kościaną.
Śmierć młode kwiatki ścina
A o nim zapomina,
Więc narzeka dziadzina.
Oj dzwonie ty mój dzwonie,
Dzwoniłeś ty mej żonie,
Dzwoniłeś ty córeńce,
W siódmym roku dzieweńce.
Położyli to w trumnie,

Zagościła śmierć u mnie.
Rok nie minął, pamiętasz,
Ja znów z trumną na cmentarz,
Nieszczęśliwa godzina,
Pochowałem i syna.
Od tej pory, mój dzwonku,
Zaszły cienie na słonku.
I coś jęknął nad zmarłym,
Ja za włosy się darłem.
Ogarniała mnie trwoga,
I wołałem: dla Boga!
I bywało że stoję
I dzwonienia się boję,
Chociem stracił już moje.
Lecz powoli, powoli,
To i śmierć się przeboli.
Znów przywykłem do dzwona,
Ktoś tam kona, ha! kona —
Skonałać moja żona.
Po niej w czasie nie długim
Dziecko jedno po drugim.
A co braci, przyjaciół,
A ja jeden się zaciął,
I jak żyję tak żyję,
Za swe grzechy nie czyje.
Tam grób ojca, tam kuma,
I dziad duma a duma...
Ręka spadnie bezwładnie,
Głowa na pierś opadnie,
Wiatr mu włosy rozwichrzy,
I dziad coraz to cichszy.
Co nań przyjdzie to znosi,
I już o nic nie prosi,
Śpi, powiada głos ktosi.

Śpi jak gdyby bez duszy,
A przy nim kij pastuszy,
Laska krzywa a długa,
Jaki pan taki sługa...
Nim wstać przyjdzie dziadzinie,
Dużo wody upłynie,

Wszystka woda upłynie.
Nim czas jego dośpieje,
Dużo wiatru przewieje;
Wszystkie wichry przeleca,
Wszystkie gwiazdy prześwieca.
Już on dobił do domu,
Łzę zapłacił od promu,
I dzwon w cichej ustroni:
Już dom, dzwoni, dom, dzwoni,
Dom, dom, w koło powtarza,
Tak samo dla nędzarza,
Jak dla króla, cesarza.

I tak na zorzy złotej,
To dzwonek dla sieroty,
Rajskie szczere tęsknoty.
A w poranku dla Basi,
Co śpiewa jadą nasi,
I dla gromady ptasiej.
W południe na dożynku
Dzwoni anioł spoczynku:
Z pola rolniku, z pola,
Boć to godzina twoja,
Oj dola, dola, dola,
Oj moja, moja, moja.
A choć to nuta jedna,
A choć to nuta biedna,
A choć taka powszedna,
Przecie aż się coś dzieje,
Jako chleb się nie przeje,
Jak Wisła nie przeleje;
I gdzie się człowiek ruszy,
To bez niej jak bez duszy,
Nasze śliczności wieśne,
Na ziemi kwiaty wczesne,
Krzyże, pieśni boleśne.

A ma też i to w sobie,
Że gdy o pewnej dobie,
Huknie sercem na grobie,
Wszystkie prochy po świecie,

Onych ludzi co wiecie,
Jeden wichler znów zmiecie.
I z tych prochów się złoży,
Coś jak gdyby gniew Boży,
Pył do pyłu przystanie,
I lud wstanie na łanie,
I przebrzmiały ich głosy,
W żywe hukną niebiosy:
Witaj dawna starszyczno!
Witaj matko ojczyzno!

Na brzęk dzwona w przestworze
Lud się sypnie jak zboże,
Jak po deszczu we wiośnie,
Z matki ziemi wyrośnie.
A gdzież ziaren tych niema,
Gdzie powiedziesz oczyma,
Wszędzie ciche żaloby;
Wszędzie groby i groby,
Więc gdy dzwon ten z kościoła
Resurrexit! zawoła,
Odrzucimy proch z czoła,
I radośnie dłoń w dłoń,
Po ojczystej po bloni,
Zmartwychwstały lud dzielny,
Pójdzie w taniec śmiertelny.
Przeszły krwawych dni czasy,
Długie z śmiercią zapasy,
Gdy nas wrogi deptały;
Za kraj świata pędzały,
Prochy z prochów powstały,
Kości z kości wyrosły,
Matce wolność przyniosły.
A ty stary nasz dzwonie,
Jakoś dzwonił po zgonie
Gdy człek łzami się rosił,
Jakoś wodził na groby,
Jakoś nosił żaloby,
Czas byś wolność roznosił...

KOŁYSANKA.

Od wieczora do poranka,
Od poranka aż do zmroku,
Niech mi dzwoni kołysanka,
Aż usiądzie sen na oku.

Słodkie dźwięki wiejskiej nuty,
Jak szemrzącej potok wody,
Jako pereł sznur rozsuty,
Na kolanach panny młodej.

Nawołana z brzegów Buga,
Prześcignęła ptaki w locie,
I snuje się srebrna, długa,
Jak dziecinny sen po płocie.

„Co przynosisz mi z oddali?”
„Nie maliny, nie orzechy,
Nie sznur pereł, ni korali,
Lecz westchnienia i uśmiechy.

Szum żywicznej polskiej sosny,
Świeżość ojczystego chleba,
I z pod piersi coś żalosnej,
I coś z wiosny i coś z nieba”.

„Jakże ja cię ptasze wieszczę
Piosnko płocha przyłaskawię?
Gdzie najlepiej cię pomieszczę?
Czem najlepiej cię zabawię?”
„Gdzie chcesz... dla mnie wszystko jedno,
Mnie piastunka twa przysyła,
Żebym, gdy ci lica zbledną,
Rumieńcem je pokrasila.
I mówiła mi piastuna,
Polska twoja matka droga:
Weź ze sobą do bieguna
Miłość ludzi z wiarą w Boga;
Niech z modlitwą oczy zwierza,
A śmieje się, gdy otwiera”.

Wiezorami, gdy blask słońca
Pooświeca szare ściany,

Odezwiej się tęskna, drżąca,
Głosem siostry zapomnianej:
Niech oparłszy się na rękę
Zasłucha się w twoim brzęku.

Ja podówczas z Karpat śniegiem,
Z dwu morzami, z cieniem borów,
Z rzek oczystych płowym brzegiem,
Z obfitością moich zbiorów,
Z ludy, z trzody, z ptastwem w jarze,
I z grobami się pokażę.

Poodslaniam mu przed okiem
Zmarłych, śpiących snem głębokim,
Po kościołach w murów cieniu,
Przy bijącym nań promieniu,
Z górnych okien, gdzie prześwieca
Przez obrazy tarcz księżycą,
I na piersi śpiących zniża
Przenajświętsze znamię krzyża.

O żorawiach, orlich piórach,
Przeprowadzę dziady mężne,
I aniołów jak na chórach,
W długie trąby grzmiać mosiężne,
Chór błękitną mgłą owiany,
Biało-srebrny jak organy.

Za anielską nutą cichą.
Wyjdzie ojciec piast z Rzepichą,
Z nad jeziora, z pod jawora,
Co zasępia się w błękicie,
Nago-piersi w lnianej świcie
Za obuwie z lipy kora.
Postrzyżony w krąg na czole,
Obyczajem swego rodu,
Białe chleby, plastry miodu,
W zakasanej niesie pole;
Za nim szczęsne swemu rado
Pobrzękuje boże stado,
Moc narodu, a w spokoju,
Jako pszczoły na wyroju.

Potem święta pieśń Wojciecha,
Rozlegnie się w długie echa,
I w perłami dzianej szacie
W modrzewiowej gdzieś komnacie,
Gdy powietrzny chór zaśpiewa,
W gronie mężów stanie dziewa,
Aby wieczna była zgoda,
Nie lubemu rękę poda,
I z mężami skrzydlatymi,
Nie tykając prawie ziemi,
Zasłuchana w hymn godowy,
Pocznie taniec dwuwiekowy.

Potem ciężki dzwon Zygmuntów
Podniesiony aż ku niebu,
Zawrze w sobie jęk pogrzebu,
I straszliwe hasło buntów;
I wystąpią cienie Wazów,
Jakieś nieme jakby z głązów. —
Przy powolnym tańca zwrocie,
Ujrzy miecze, orle strzepy,
Ale stary miecz przytępy,
Orle skrzydła na odlocie.

Potem jakby od kolebki
Dźwięk roztrąci wiatru fale,
Kosa błysnie w dłoni krzepkiej
I mąż wyjdzie w samodziale,
I rozpoczną dawne tany,
Same świty i sukmany.

Potem zgluchnie pieśń rodzima,
Cienie znikną przed oczyma,
I ustami jakby kwiecia,
Co się barwnie w polach wije,
Odezwie się myśl stulecia,
Jeszcze żyje, jeszcze żyje.
I miecz żaden jej nie zgładzi,
Lecz kto taniec poprowadzi?

Czy skrzydlaty? czy sukmany?
Wierny sługa Marji Panny?

Pacholátko co zasłuży
 Na niebiańskiej łaskę róży.
 Że z uśmiechem mu dozwoli
 Wziąć na ręce zbawcę ludu,
 Jakiś kłosek z polskiej roli,
 Szczere dziecię jego trudu;
 Co i samo nie wie o tem:
 Ile wyda pod omlotem. —

.

A jeżeli się zaszlocha,
 W świat uderzy bezprzytomnie,
 To znak będzie, że mnie kocha,
 Że pamięta jeszcze o mnie.
 Wtedy wierna moja słuго
 Idź za każdym dziecka krokiem,
 I śpiewaj mu długo, długo,
 Jak sierota nad potokiem.
 Biedny będzie, czy bogaty,
 Znany w świecie, czy nieznany,
 Czy za kratą, czy bez kraty,
 Czy kochany, niekochany...
 Nieś mu codzien z swej oddali,
 Nie sznur pereł, ni koralu,
 Ale zapach polskiej sosny,
 Świeżość ojczystego chleba,
 I z pod piersi coś żalosnej,
 I coś z wiosny i coś z nieba.

Niech przy gminnej pieśni strunach,
 Gdy niewiernych otchnie trwoga,
 Kołysze się na biegunach,
 Na dwu skrzydłach, Polski — Boga.
 Niech mu gorycz będzie błoga,
 Chmura jasność ma szafiru,
 Aż dłoń brata, czy dłoń wroga
 W ciemny grób mu sypnie żwiru.

Kolysanka już nie śpiewa,
 Choć nie śpiewa, słyszć przecie,
 Jak w ojczyźnie szumią drzewa,
 Jak usypia matka dziecię,

Jak jaskółka u przedsieni
Srebrny pacierz swój szepleni,
Jak tajemnie na uboczu
Łza upada z jasnych oczu.

D Z W O N Y.

Bierzcie chłopcy za sznury,
Niech dzwony huczą z góry,
Bijcie sercem w hoki
Na wieży wysokiej;
I te czarne chmurzyska,
Co w nich świszczy i błyska,
Rozpędźcie, rozgońcie.
Dzwońcie chłopcy, dzwońcie!
Rola w zboże obfita,
Ma być gradem pobita
Całą pracą Mazura,
Dalej chłopcy do sznura!
Alboż wam to nowina?
Wszak ojciec uczy syna,
Że nie można z chmurami,
Jeno walić dzwonami,
Albo z harmaty palić,
Albo we dzwony walić,
Gdyby grady pobiły,
A pioruny spaliły,
Cóżby nam zostało?
Wszystkoby zgorzało,
Zgorzałyby i one,
Nasze lipy zielone,
Jenoby z doliny
Sterczały kominy,
Więćże do pracy
Zwawo chłopacy.
Miejwa nadzieję,
W te dobrodzieje,
Co żelazne serca mają,
Czarne chmury rozpędzają,

Co na wesele
Dzwonią w kościele,
Co zmarłym śpiewają
Kiedy w grób chowają,
Co je ucho niesie
Po wodzie, po lesie,
Po górze, po dole,
Przez ojcowskie pole.

Z WYGNANIA.

Daleko, daleko
Te wody już wieka,
Przy których widziałem,
Co tu wyśpiewałem.

I wierzby spróchniały,
Co przy drodze stały,
Pod których konary
Siadał dudarz stary,
Co się po wsiach włóczył,
I piosenek uczył.
Ale w myśli mojej
Wszystko żywo stoi.

Sosna rosochata,
I na łące strużka,
Gdzie lata skrzydłata
Jaskółeczka družka.
Nad rosy perliste,
Nad wody przeczyste.

Latała, biegła
Dokolusieneczka,
Moja ptaszka mała
Czarna jaskółeczka.
Jak moja myśl lata,
Do tego tam świata.

Cichy łąn zielony
Ciepłą parą bucha,

Z oddalonej strony
Czerni puszcza głucha.
Wyskakują drzewa,
Co je mgła zasiewa...

Polska chata mała
Z pod mgły się wynurza.
Gdzie w oknie siadała
Józia biała róża,
Jak dzionek w okienko,
Z robótką, z piosenką...

Biedna Józia złota
Już w oknie nie siada;
Piosenek nie składa;
Czarowna istota.
Złotą nić wyprzędła,
Pobladła, powiędła,
Tylko pamięć o niej
Polną różą woni,
Tęskną piosnką dzwoni..
Ach w niebie kraj taki
Jak polskie równiny;
Ciagnę w znane szlaki
Kraju mój jedyny!

Gdzie rodzinna rzeka
Do morza ucieka,
I niesie za morze
Mazowieckie zboże,
Ach Boże, mój Boże!

A gdy z ciepłą wiosną
Pszenice porosną,
Szumi świat rumiany
Pszenicznemi lany.
Pełno szumu, woni,
Fala falę goni,
To dołem, to w górę,
Jako wilki bure.

Wiem ja co potrzeba
Do naszego nieba;

Za czem młodzian wzdycha,
O czem starzec gada,
I mogiła cicha,
I krzyż, co nań pada.
Czego sercu trzeba
I sercu i głowie,
Tę kochankę z nieba
Ach któż nam przyzowie...

Potraciłem lata
U cudzego świata,
Wszystko na nic Boże,
Nie wschodziło zboże.
Wieje wietrzyk, wieje,
Ciepły wietrzyk maju,
Na śmierć zatęsknięję
Po ojczystym kraju.

Po dworach, po strzechach,
Po wiślanych echach,
Po gwiazdce wieczora,
Co mruga z nad bora.
Po głosach od niwy,
I po pieśni tkliwej,
Po konikach w trawie,
Źródle, co tam dyszy,
I po dziennej wrzawie,
I po nocnej ciszy.

ZROZPACZONA.

Chodzi dziewczę po ogródku
Wydeptaną drogą,
Lecz w ogródku pełno smutku,
Bo niema nikogo.

Bez turecki pachnie miło,
Słówek śpiewa w gaju,
Tylko krzyżyk nad mogiłą
Czerni się na skraju. —

Czemu świecisz słońce Boże,
Czemu pachniesz krzaku,
Czemu śpiewasz piosnki hoże
Uprzykrzony ptaku?

Spojrzę w jedną, w drugą stronę,
Serce mi zaszłocha,
Grządki moje spustoszone,
A serce wciąż kocha.

Wczora tańczyć mi kazali,
A ja myślę sobie:
Ja tańczę w pięknej sali,
A wietrzyk na grobie. —

Do północy skoczne tany,
Skoń w różanym wianku,
Do północy gwar pijany,
A płacz do poranku.

Nauczała matka stara,
Że należy wierzyć,
Dobra wiara, słodka wiara,
Ale lepiej nie żyć.

Żal poniosę do mogiły,
Serca anioł strzeże,
Na cierpienie dość mam siły,
A w szczęście nie wierzę...

Opuszczone moje krosna,
I życie się dłuży,
Nowe róże wzbudza wiosna,
Ja nie kończę róży...

Złote nici poplątane
W połowie roboty,
Gdzieś słoneczko me wiośniane.
Gdzie mój promień złoty?

Próżno czeka smutna dusza
Na miłego przyjście,
Po drożynach wietrzyk wzrusza
Przeszloroczne liście...

I u fali cichej rzeki
Jak pierwwej nie spoczną...
Odptynęły w świat daleki
Fale przeszloroczne...

Z jego okna wiatr odmiata
Żalobną zasłonę...
Biedne serce wciąż kolata
Co spojrzę w tę stronę...

KOŁODZIEJ.

„Hej Macieju! kołodzieju!
Zróbcieno mi koła:
Bo dziewczuchę, dobrodzieju,
Wiozę do kościoła.
Jeno tam nie bardzo drogo,
Bo dziewczkę ubogą”.

„Wiem ci ja, żeś niebogaty,
Ona niebogata.
Żebyście nie mieli straty,
Zapłacisz dukata”.

„Oj Macieju, kołodzieju,
Zwiodłem cię nieboże.
Toć ja ojca rodzzonego
Na cmentarz wywożę.
A wyście go majstrze znali,
Boście się kumali”.

„Oj chłopaku, nieboraku,
Wielka bieda tobie.
To już koła ci biedaku
Za talarka zrobię:
Jeno co drzewo kosztuje,
Pracy nie rachuję”.

„Kołodzieju! czleku złoty!
Weź się do roboty,
A dostaniesz trzy dukaty,
Bo wiozę armaty:

Widzisz, Francuz tam zdaleka
Na te koła czeka".

„Dosyć chłopcze tej swawoli!
Nie masz u mnie wiary”.
Rozgniewał się, lecz powoli
Drzwi uchylił stary.
I przed chatą ujrzał swoją,
Ze Francuzi stoją.

„A toć prawda, a niechżeci
Matka Boska świeci;
Nie chcę ja tam brać zapłaty!”
I na chłopców woła:
„Bierzcie drzewo na warsztaty,
Robić mocne koła;
Jeno żywo, nie niedbale,
Bo zemkną Moskale”.

„A ty chłopcze idź wesolo
Do swoich żołnierzy,
I powiedz im, że za kolo
Nic się nie należy.
Powiedz im, że już zaczęło
I że rychło będą mieli;
I dam jeszcze na mszę świętą,
By Moskali djabli wzięli!...”

WSTĘP DO STARYCH ZBROIC.

Wszystkoż stracone aż do dźwięku mowy?
Językiem łowców nie brzmią już dąbrowy,
Ani z hetmańska dzisiejsza ogłada
Szczytnemi słowy ojców nie zagada.
Onże sejmowy język nasz sławiony,
W pergaminowych trumnach pogrzebiony.
W nieokurzonem dogłucha gdzieś pyle.
Wszystko z staremi odleciało laty...
Jedna świadomość niepowrotnej straty;
Po ojcach naszych tylkoż dziś nam tyle?...

O! polskie słowo, życiodajna roso,
Polskiego serca ostatnia pociecho,
Kędyż cię wierni synowie poniosą?
Chyba w twe progi pochyłona strzecho,
Kędy ojczysta dziatwa zubożona
Nie bacząc dzikich zakazów cesarzy,
U matki padłszy rozżalanej łona,
Języka starych uczy się pieśniarzy;
W każdego słowa rozgląda się krasie,
Urokiem poi chętne serca młode,
W minionem słowie i w minionym czasie
Wita straconą miłość i swobodę.
O czarodziejska ojców mowo droga,
Rycerska, twarda i jak stal chropawa,
Jak anioł jasna, jak naród uboga,
A miła sercu jak rodzinna sława;
Ty ukochana od lirników rodu,
A od półwieka brzmiąca z strun metalu,
Lej się nie słowy niemieckiego żalu,
A wielkim rytmem zbrojnego pochodu.

Wróg cię wytępia, to stawże się zbrojna,
Ojców żelazną okryta kolczugą,
Jak orzeł lotna, jak mędrzec spokojna,
Życia narodu poważna zasługą.
Nieprzystrojona w fantazyjne pióra,
Złudnych barw tęczy mienionych kolorów,
Prosta a piękna, jako boża córą,
I córą naszych gór i rzek i borów.
Nie na to dana, by cię łamać, skręcać,
Twarz ci nadawać ludzącą, to szydną,
Lecz by, jak trąby w pochodzie zachęcać
Znużone męża w tę noc mało widną.
Jam cię ukochał i znam twoje czary,
U serca ludu jam cię ssał jak mleko,
Wzrokiem ze zbroi wciągałem cię starej,
I ojców trumny dźwigający wieko.
Karpackich orłów przeraźliwe świsty,
Jaskółek lotnych perłowe szczybioty,
Mowy mnie ludu nauczyły czystej,
Z którą wędruję pod ojczyste wroty.

Bo choć lotrzyków pustują tam gwary,
I niepojęta w sercach zawierucha,
Jeszcze dla pieśni kąt się znajdzie starej,
Wchodzącej wzorem domowego ducha,
Co złym przeszkadza, jedno nie przeszkodzi
W braterskie węzły wiążącej się młodzi;
Dla tych z mej pieśni w szczęśliwej godzinie
Może myśl dobra w dobre serce spłynie.

PO DRODZE MYŚLI.

Świecaż nam, świecą Piastów dzieje!
Kędy się zwrócę, gdzie podzieję,
Z każdego grobu, z każdej strony,
Nie podnieść oczu na błask ony.
Jaki tam orszak czysto-licy,
Wiankami ciągnie od Kruszwicy,
Pod cnej Dąbrówki czestną wodzą,
Jakoby słońca prawe wschodzą.

Jadwiga ona pani mężna,
Co na się wdziała nędzy worek;
Nasza wrocławska, święta księżna,
A u niej złoty więc klasztorzek,
Na ręku świeci z serca strony,
Gdy u nóg syn zatopion we sny,
Henryk za Polskę ubodzony,
Ozdoba matki tej bolesnej,
Która za syna śmierć chwalebną
Zanosi chwałę w jasne nieba,
Rzekąca: jedna ta potrzebna,
A mnie w Trzebnice nic nie trzeba.
I rycerz Henryk odzian stałą,
Na smoku stopę z żelaz składa,
I coraz w cichszy sen zapada,
A wieki jego męstwo chwałą.
Przy nich tam druga nasza święta,
Ona to świeci Jakulenta.
Szata uboga ich odzienie,
Za pożywienie im chleb suchy,
Ze stołu biednych sióstr okruchy,

Czem się pożywia biedne szczenię;
A wszystko, by tej Polsce milej
Chrześcijańskie serce wymodliły.
Onaż to Kinga święta nasza
Jak ta nam Boże łaski sprasza.
Bez srebra, złota, drogiej szaty,
Wyżyje lud przy łasce nieba,
Lecz dla najlichszej kmiecej chaty
Tę soli trzeba, tego chleba.
Pszenicę daje Bóg na roli,
Że pięknie zbożem kraj porasta,
Rolnictwo, praca ojca Piasta,
Skarb Kingi cudna szyba soli.
To z każdą łyżką biednej strawy,
Z kruszyną soli, co w nią miota,
W oczach nam staje Piast łaskawy,
I ta przedziwna Kinga złota.

Jako człek czyni, tak Bóg darzy,
Jużci cmentarzem Lechia staje,
Już grody wstają ze cmentarzy,
Już wkoło szumią zboża gaje.
Wczora napadli, w pień wycięli,
Nie przepuścili nawet dziadu,
A dziś już nowy gród się bieli.
I znaku niema od napadu.
Bogactwa, srebra choć mierz miarą,
Łaskawy Bóg nad Lechią starą.
Niewiast a mężów jakie rady,
Jakie czystości, jakie chwały,
On Henryk Brodacz. Leszek Biały,
Istne powieści na przykłady.

O jakże ja was widzę żywo,
Jędrzeju święty, święty Iwo,
I was na Rusi naszej niebie,
Święty Aleksy, święty Chlebie.
I ciebie Jacku, Pawle wtóry,
Gdzieś apostolską łaskę stawił,
Cudne wstawały wraz klasztory,
A ile dusz ty ludzkich zbawił;

Już książąt mocnych waśni uśmierza,
Już u Daniela, Włodzimierza...
Więc gdy się wmyślę w tej drużynie,
To mi na oczy łza popłynie.
Kędy po Polsce oko zwrócę,
Gdzie się po dziejach myślą rzućę,
Tam w lasach wnet się z okiem zetka
Ony maluchny cień Łokietka.
Miecz jeno krótki mu po stronie,
Po ziemi własnej tulacz prawy;
Za nim po lasach mkną pogonie
I jak na dziki zwierz obławy.
Dziedzictwo jego wróg obsiada,
Koronę jego wróg wykrada.
I tylko kmieć, co sprawia rolę,
I tylko ptak, co gniazdo ścieli,
Co się z tym małym królem dzieli,
Ten chatą, skalą ów sokolą.
Z jakich ten wież po węzłach sznurów,
Z jakich nie zbiegał starych murów,
A Polski dzierżał się macierzy;
Głód a chłód króla szernił lica,
A chaty ojców nie odbieży,
I dzierży się jej jak lasica.
Już tu, już owdzie, wszędy ścigan,
Jakoby dusza nieschwycony,
Rycerski niesie wciąż luzdygan,
Ładysław nasz, Łokietek ony.
Już mocnym mieczem z pod swej strzechy
One zdradliwe pędza Czechy;
Już mi się mocne zamki zdadzą.
Już cała Polska mu pod władzą;
Rozdarta wrogiem a niezgoda,
A on granice onej ściaga,
Aż się te srebrne rzeki zwioda,
Aż się ten łańcuch gór posprząga.
I król maluchny w błogą porę,
Jak dziad Bolesław w szczęsne laty,
Na progu stanie polskiej chaty
I sam założy jej zaworę.

A kto w dziedzinę przyjdzie z Bogiem,
Tego chleb czeka przed tym progiem;
A kto tu zbrojną gawieź zwleka,
Tego od króla i śmierć czeka.

Niepróżnoż deptał te manowce,
Miecza ni duszy tej nie złomiesz,
Więc Czechu sprawi on Sandomierz,
A zdrajcy Niemcu sprawi Płowce.
Grody pobierze i oprawi,
I z pól a z murów sam się stawia.
I pójdą podeń Lesie kraje,
Kmiecie do jego przyjdą znaków,
Jemu się Prusy, Mazowsz здаje,
A na śmierć Pan ten zjedzie w Kraków.
I tam na zamku czystym grodzie
Pielgrzym odpocznie w grobów chłodzie,
Przed jego głazem, co tam szary
Czerni się w ścianach świętej Fary,
Przed tą postacią drobną w sobie,
W najcięższej Polak stanie dobie,
Ułagać rady jaką drogą
Stargane szaty zszyć się mogą,
Badać się tej postaci szarej,
W onej zbroicze w cieniach fary.

Hej ty Kaźmierzu, kmieciu wdaly,
Pomiędzy ludem posiwiały,
Czemuś ty wielki, czem nie inny,
Królu ty kmieci, królu gmirny?
Aniś ty świata nie ołynął,
Ani ty mieczem nie zasłynął,
I żyłeś jeno jak kmić prawy,
Wciąż dobrotliwy, wciąż laskawy.
Ot cała twoja wielkość na tem,
Żeś był ubogich ludzi bratem.
Oj! ty nie Nemrod zwierząt lowca,
Lecz patrjarcha w swoim rodzie;
Okrycie tobie daje owca.
A gród to namiot gdzieś przy wodzie;
I ty nie ziemi pan zdobycznych,
Lecz król rolników i trzód licznych.

I w całym życiu twojem długiem
Tyś nierad ścigał miecza k'biodry,
Tylkoś się chylił po nad pługiem,
I łaskaw byłeś nam i szczodry.
Kto inny mieczem ziemię sprawiał,
A tyś ją sądził po zakonie,
I mury wznosił, wieże stawiał,
I jak kmieć w pracę włożył dłonie.
Toż i korona, coć przez wieki
W królewskiej trumnie czoła strzeże,
To niby wkoło srebrne rzeki,
A nad rzekami srebrne wieże.
I nie w pancerzu w ogniu kutym,
Lecz pod swych leżysz praw statutem,
Co na twej piersi rozpostarty
Złotemi je otacza karty.

Z twojego pluga, z twoego prawa,
Ponoć nic Ojciec nie zostawa
Krom sławy, której czas nie szkodzi,
A ta by kwiat co wiosna wschodzi;
Chłopiek ubogi tam chudzina
Dobrego króla przypomina.

Coś nam zostawił. coś zbudował,
To czas zepsował, wróg zepsował,
Który z wichrami w Polsce wichrzy;
Z Kaźmierzowego niegdyś grodu,
U onej modrej Wisły brodu,
Gruz jeno z białych został spichrzy.
A wieża co tam dniem a nocą
Strzegła żeglarskie zbóż komiegi,
Dziś nad samotne sterczy brzegi,
Wrzкомо badając się: a po co?

Z Janowca więc kościotrup wtóry,
Zamek co wzniosły cne Firleje,
Swych kości resztę kryje w bory,
A brzegiem Wisły wicher wieje,
I po dalekiej pustki kresie
Tumany piasku w odal niesie;

I tak co świetną brzmiało sławą,
 Płochego wichru dziś zabawą.
 Wiara a pługi w poniewierce,
 Rycerskie wróg wytępia plemię,
 A gdy od żalu pęka serce,
 To jeno rolnik schylon w ziemię
 Odpowie tobie, że ta wieża,
 Co w nocie czerni się najcichsze,
 To cień królewski Kazimierza,
 Co na swe w gruzach patrzy spichrze,
 Na swe kościoły, grody, pługi,
 I mierzy czas, jak jeszcze długi...

O lutnio moja, na twe strony,
 Po ojcach Piastach dziś w żalobie,
 Złote przychodzą Jagielony
 I orzeł chwały leci k'tobie.
 Jeśliżby zwiększyć żal serdeczny
 Garnie się rodzaj k'nam słoneczny?

Salve! o salve! wielcy wodze,
 By życia płacić was okupem,
 Pod nogi wasze padam trupem,
 Przejdźcież ojcowie po tej drodze.

W A N D A.

HISTORJA O SMOKU.

Powieść wam niosę na tę noc szarą,
 Powieść słyszaną od ojców, starą.
 Baśń moja wdzięczna do nóg się kłoni,
 Wiejska prostaczka z wrzecionem w dłoni
 To moja szczerą mazurką złotą,
 Z wody a z wiatru cudów namota,
 Co nieprawdziwe pięknie ułoży,
 A im mniej prawdy, tem ciągnie sporzej.

Lecz bywa czasem, bo i tak bywa,
 Że, gdy snuć pocznie dziwa na dziwa,
 I silnej głowie dumania zada,
 Kiedy nad dziwy dziwy powiada;

A w kim do boju drży dusza młoda,
Temu i w rękę miecz silny poda,
Zdradliwa dziewczka, co ma dwa lica,
Jednym zakrwawia, drugim zachwyca...

Dawnemi czasy nad pustym jarem
Gród się wynurzył dziwem a czarem.
Dziady ciągnące, gdzie boży Chram
W noc księżycową zeszły się tam;
Z Chrobacji całej, z polańskich niw,
Nad Białą wodę spieszył kto żyw;
Lira przez plecy a w rękę kij,
A las poszumiał, zielony stryj...
Co ich pognało? A Bógże powie!
Rzecz wielka wschodzi nie w jednej głowie,
Lecz gdy ma stać się, poruszy wielu,
Upoi jakby napojem z chmielu.
Daremnie badasz co i jak było?...
Coś przystąpiło, coś przemówiło:
Tyle ci tylko odrzekną prości:
To cóż wam bracia po ciekawości?...

Ściagli, zasiedli kamienie płowe,
Chmura się garnie na siwą głowę;
Duma poważne czoło przysiada,
A gdy się z dobrem sercem rozgada,
I miesiąc zajdzie w las kalinowy,
A ta wciąż siwej czepia się głowy;
I dawne dzieje mętne, splątane,
Rybacką siecią wiesza nad duszą!
Złote, srebrzyste, mgłami zawiane,
Ojczyste dzieje serce porusza.
I wraz się brzękiem odezwą struny,
Od tego koła leśnych grzywaczy
Naród posłucha, co Bóg przeznaczy,
Niechajże prawią luteń piastuny.

Noc, cisza senna i po cóż, po co
Nad brzegiem Wisły zasiedli nocą?
Ciekawa olcha drży niecierpliwa,
Z wodą szepleni wierzba płaczliwa;
Bożego wichru szumne prawice
Na dęby lecą, na sosny świece;

Gałąź sosnowa przy nogach pada,
I siwa głowa najstarsza dziada
Wnet się podniesie z wieszczej zadumy:
„Coś tu się święci, coś tu się święci”,
Zbrojne dalekie mącą się tłumy,
A krzywda kwili w ludzkiej pamięci.
Jakaż tu siłę stawić na wstręcie?
Jakim tu walem opasać kraj?
Na dnia nowego, na rozpoczęcie,
Dumo ojczysta słówkoż nam daj,
Uderzmy w struny, w lasy, rozłogi,
Niechaj pobudzą drzemiące bogi...

Zabrmiały liry aż krucy z chmur
Zakraczą dziadom w krzykliwy chór,
Rozedrą gardła straszliwym krzykiem,
Odezwą dziadom krwawym językiem:
Wzgórze to skalne gdzie w a s t a k w i e l u
Wnukowie mianem nazwą W a w e l u,
A na wieszczb naszych wieczysty znak,
Gród co tu stanie nazwie się K r a k.
A przy tym grodzie i po tej wodzie
Flisak wypuści lipowe łodzie,
Jako jelenie płowe po lesie,
I żywność wszemu światu poniesie;
I w tym tu grodzie i przy tej wodzie,
Jak mąka, gdy ją rozczynią młodzie,
Świat się Chrobacki rozrośnie boży,
Wiatrem się rzuci, skałą poloży.

Więc kto piastuje lirę przesławną,
W czym ta ręką wyrabia cuda,
Niech ją na rolę pieśnią uprawną
Rażno poloży, a gród się uda.
Wedle tej liry złożą się skały.
Skała na skałę na ten gród biały:
Gdzie ręka leży tam bramy staną,
A zamek — kędy struny wiązano.

Zacichły głosy świat się spokoi,
Każdy po lirze spogląda swojej,
I tylko jeden wieszcz słowo-władcy
Wybiegł na czoło białej gromady.

I lirę wielką złoży na głazie,
Niechże po bogów zagra rozkazie.
Opuścił dłonie — a ta jak żywa
Tysiącem głosów wraz się rozgrywa.
I lud ubogi z grodków na palach,
Co jako ule biela się pszczole,
Przy uroczyskach, jeziorach, żalach,
Rody Jastrzębie, rody Sokole,
Przyciąga, wabi, do pracy nęci;
Rojem się złoty ludek zakręci,
Gdy czarownicy, czarolirnicy,
Porządek piękny we środku wiodą,
I sznury ciągną jako miernicy,
Foremnie łącząc kłodę ze kłodą.
I tak gród — lira, cudo wszech lir,
Złym na zagładę, dobrym na mir,
Staje w pośrodku chrobackich łąnów,
Chrobat Górali, Chrobat Polanów.

I budowali, tak Boże daj,
Miasto potężne na lesi kraj,
Długo tak, długo, krągłych sto lat;
Aż z wszystkich jeden pozostał dziad,
Co gdy do bogów odejść już miał,
Rycerzu Kraku robotę zdał;
Na barki męża na boje, trudy,
Wkładając klątwy czary i cudy.
A gdy wygadał duszę swą całą,
Grób mu otwarła ziemia pod skałą,
I runął lirnik jak stary mur,
Gdzie wieszczej braci czekał go chór,
U stóp Wawelu w mogiłach sławnych,
Z szeroką pieśnią o czasach dawnych.

Dawnemi laty kiedy z mokrzydeł
Smok wodny ciężkich poruszył skrzydeł,
Dość było przyzwać starca znachora,
Wieszcza o siwej wiszącej brodzie,
Niech wezmie dudkę, wejrzy po wodzie,
A wnet się z oną bestją upora.
Tylko głos puści, a klątwę włoży,
Wnet mu się potwór u nóg położy.

Lecz gdy ostatni z wieszczego rodu
Ziemią się okrył pod ścianą grodu,
Pod grodem Woja smok się nad smoki
Wynurzył z wnętrza jamy głębokiej,
Żelaznym grzbietem ścianę wyłobił,
We skale drogę do Wisły zrobił,
Językiem, jakby szlabą stalową,
Widny wylizał otwór nad głową,
I dyszał w jamie, pletwy pod siebie,
Czekając rychło stanie na niebie
Dwunasty księżyc w pełni czerwonej,
Wtedy na brzegi dziwo straszliwe
Wlokło się strosząc sterczącą grzywę,
I szczeń wiszącej brody złoconej,
I wysuwając ócz dyamenty,
I chwost żelazny w siedem kół gięty.
A powiślańska dolina cała
Milczeniem głuchła, bojaźnią drżała...

Ubogi naród przeciw potworze
Krzykiem się bronił: gorze! lej gorze!
Wreszcie po krzyku zdał się na wolę,
I rok do roku srogiemu smoku,
U Wisły brzegu, u wzgórza stoku,
Darmo biadając na swoją dołę,
Co najpiękniejszą z chrobackich dziew
Ofiarę ciągnął — swą własną krew...
I rozłożyło prawo na lata
Z Krakowa smoczą ofiarę krwawą,
Dzisiaj ta chata, jutro ta chata.
A każdy musi gdy stanie prawo.

Bohater grodu, rycerz doznany,
Wychował dziewczę, cud niewidziany,
Rosła mu w grodzie jak szczęście boże,
Wieść o jej wdziękach przeszła za morze
I poruszyła serca rycerzy,
O! bo w te czasy kto dziś uwierzy
Inaczej były serca pod stałą,
Dziś się miłością dusze nie pałą.
I młódź się stała, ot taka młódź...
Ani ją pieśnią ojczystą zbudź,

Ani ją wzrokiem piękności wzrusz,
Serca bez serca, dusze bez dusz.
Lecz wtedy ręce do miecza drżały,
Temu na Wawel ścigał świat cały,
I każdy kłął się, że smoka zsiecze.
Siodłali konie, ostrzyli miecze,
Wstrząsali kopie z hartownej stali,
I wyzywali — i upadali...

Na niefortunny nawdziana bój
Bieli się w słońcu pocięta zhrój;
Bielą się w słońcu u wód wybrzeży
Niepogrzebane kości rycerzy,
Na które patrząc krakowskie dziewy
Wpół ucinają poczęte śpiewy,
Patrzą, wzdychają, schylają skronie —
Któż się tu przyjdzie upomnieć o nie?

Na widok onych kości u wody
Smutek nie schodził z lic wojewody;
Jak rodzic przyszłość dziewy swej czuł,
Próżno przemyślał, zamiary snuł,
Zabrakło dawnych zaklęcia słów,
I smok go budził ze złotych snów.
Znał on te słowa, lecz tyle żył,
Że je w starości z pamięci zbył.
Zbyt długo oręż piastował w ręku,
Słowa potracił w oręża szczękę;
Znał tajemnicę żelaza samą;
Lecz na rozwarte skrzydle pod bramą,
Co jak huk młotów u grodu skały
Na ranne słońce się otwierały.
I miecz i drzewce straciły władzę
I powtarzały — nic nie poradzę.

Jednego ranku, przed wschodem słońca
Wpadła do zamku niedola drżąca,
I szare plachty, włos rozczochrany
Między świetlane rozniosła ściany,
Belkocąc słowa wargą pobladłą:
— „Ostatnie twoje słońce zapadło,

Waży się wyrok dla ciebie młoda,
Jutro cię rodzic smokowi poda;
Nim w las się księżyc czerwony stoczy
Zagasną twoje błękitne oczy..."
A jak wróżyła tak wywróżyła,
Panna się biała z ojcem żegnała,
I raz mówiła i raz nuciła:
— „Otóż ja zorzy się doczekała!
Nie żał mi życia choć piękne życie,
Gwiazda jutrzeńka, słońko o świcie,
Nie żał mi życia choć piękne życie,
Lecz mi żał ojca rycerza grodu:
Kto mu do czaszy naleje miodu?
Kto mu od boku oręż odpasze?
Czoło obetrze, w dłoń poda czaszę?
Kto piękny ogień w zimie nanieci?
Kto mu ogarnie sierotki dzieci?
Żał mi niebodze, żem nic nie знаła,
Żem co pięknego nie pokochała,
I tylko znałam smutek od mała.
We snach schodzili moi obrońce,
Noc ich rodziła, morzyło słońce.
Hej! dobre Bogi, Bogi łaskawe!
Na co te nogi do skoków zwawe?
Na co te oczy nieba ciekawe?
Na co to serce kochania chciwe?
Na co to życie, to nieszczęśliwe?
Oto mnie młodą, mnie niedorosłą,
Do jamy spieszne popycha wiosło". —

Tak się żaliła nieszczęsna ona
Na krwawą pastwę smoku niesiona,
Aż głązy szare słysząc dziewoję
Poczęły pękać na dwoje troje.
Aż się Bóg jasny na niebie wzruszył,
Powiał nadzieją i łzy osuszył,
I złotym palcem na męża skinął,
Skinął — i śliczny młodzian podpłynął
Pięknie się skłonił rycerskiej córce,

Łódką zawinął po wód lazurze
I kazał wracać do zamku łodzi:
— Niech mi ta gwiazda z nieba nie schodzi.

Na jego łódce, przy jego sterze,
Baranek leżał, zakłute zwierzę,
Po śnieżnym runie słońko igrało
I wietrzyk igrał z tą wełną białą.
— Wracaj do ojca dziewczeczko, rzeczce,
Co nie zdołały kopje a miecze,
To ten baranek martwy podola . . .
Przybiła łódka, prysnęły koła,
I młodzian złożył smoku ofiarę,
Co już na brzegi toczył się szare;
Pewny, że panna biała tam leży,
Smok nienasyte gardło rozszerzy
I skłute zwierzę pochłonie chciwy.
Aż tu po chwili zlociste grzywy
Wstrząsą się na nim jak las przed burzą,
Aż się po chwili nogi przedłużą,
I stalne boki ogień prześwieci,
Aż ci zeń płomień w górę wyleci,
I jak żelazo w pośród płomieni
Smok się rozpala, bieli, czerwieni,
A gdy wciąż żaru wewnątrz przybywa,
Rzeką żelaza w krąg się rozplywa,
Z ziemią się miesza, w wód nurtach syka,
Kurczy się, zniża, płaszczy — i znika.
I tak w ten dziejów naszych poranek,
Ojczystą pannę zbawił baranek.

Ludzkie radości i ktoś wypowie,
Takiego cudu niema we słowie!
Na to być trzeba płakiem w błękicie,
Szczęście — to niebo, — to życie.
Tak z wielkiej burzy lunął deszcz mały,
Starzy śpiewali, panny śpiewały,
I świat się zrobił czysty jak wprzód;
Młodzieniec pannie skłonił się młodej
I poprowadził w dwór wojewody.

A w dworze radość rzewna i szczerą,
Usty się śmieje, łzami nabiera,
Jako za Bogów potężnych sprawą
Najżywsza radość spogląda łzawo,
Największy smutek uśmiech okrasza,
Taka tu częśćka na świecie nasza.

Starzec w radości zapomniał słów,
To się pogląda, to płacze znów,
I rzecze: woju przemyślny mój,
Jakoż nagrodzę czyn piękny twój? —
Ale nasz Krakus w dziewiczym wzroku
Szczęścia swojego szukał wyroku.
Niedługo czekał, dłoń śnieżną, białą,
To cudo świata doń wyciągało,
I szczęśny Krakus z dziewczeczką oną,
Jakoby liry strona ze stroną,
Na grodzie został długi wiek cały,
Szczęśliwe wiatry wciąż na nich wiały
A gdy dobiegli setnych lat dwoje,
W zmarłych odeszli ciche pokoje.

A z ich potomstwa rycerz wiekowy,
Krakus jak ony, głowa nad głowy,
Sprawiał tę ziemię i lud ochoczy,
A miał też córę z boskimi oczy
Co serca brała jednym spojrzeniem,
Że kto ją ujrzał gorzał płomieniem,
I w całym kraju, po świecie wszędy
Wieść się rozniosła o wdziękach Wendy,
Tak ją flisaki wodne przewali,
Że brała serca jak rybki z fali.

Wróciły czasy cudów na ziemi,
Szczęście poczęło wiązać się z niemi
I złote wianki niteczką wić,
Bogdaj to, bogdaj szczęśliwie żyć.

Siedem lat dziewięć, pogoda trwała,
Sama swoboda miód rozlewała,
I przechylona nad ludzkie głowy
Szeptiała duszy wesole słowy;

Śmiech płochym skrzydłem po świecie latał,
A w czyje ręce smutek kołatał,
Wnet go życzliwe rycerzu bogi
Gonily zgodnie jak psa za progi.
A już o smoku nikt się nie badał,
Nikt nie wspominał, nikt nie powiadał, —
Tylko czasami przy węglach w zimie
Wieść o nim rosła w wieśniaczym dymie,
I małe dziatki i dziewic grono
Zwracały w baja twarz zadziwioną.
Kółka się białe zdzierzały w biegu,
A kiedy wichry zawieją śniegu,
W szerokiem polu luczaly, wyly,
Chata się trzęsła, dymy się wily,
Strach z niejednego wyglądał oka:
Czy to nie skrzydło żelazne smoka?
Czasami tylko wśród gromów, burzy,
Gdy piorun grzmotnie, dąb się zakurzy,
Ubogie chłopie wsłuchane w gromy
Słyszy huk straszny, głos nieznajomy,
Przelatujący w błyskawic krasie:
- - Czas mnie pochłonał, wrócę po czasie!
I znów mi ziemia ofiarę splaci,
Wrócę ja, wrócę w innej postaci! —
Ale te głosy przeczucia, trwogi,
Spokoju dobre głuszyły bogi
Ptaków śpiewaniem po mokrym lesie
I biegiem wody co perły niesie
I rzuca niemi rozrzutna pani
Na płowe brzegi, brzegi kochane.
O śliczne brzegi, kto wam przygani,
Śpiewak wiślaną zbiera wciąż pianę,
Krótkie uśmiechy dawnej swobody,
Szczęścia nadzieje... perełki z wody.

Krakowski zamek z wieżycą w górze,
We skałę wrosły wyzywał burzę,
I z każdej burzy wynosił z sławą,
Jak buhaj w polu skroń kędzierzawą

Rogami wieżyc czerniąc z daleka,
I grożąc temu kto się zacieka.
A piękna Wanda pod jego schroną
Snuła swą młodość z kwiatów plecioną.

PSIE POLE.

Hej! hej polem lasem,
Hej, hej z trąb hałasem
Ciagną Lachy w sprawnym szyku,
Strach, strach po Henryku,
 W zbroję zbroja,
 Woj we woja,
Koncerz, topór, młot.

Wczas, wczas, rannym świtem:
Grzmi las pod kopytem.
Pierwsi ciagną w bój Pobogi,
Od podkowiec tętnią drogi.
 Gończa sfora,
 K'łowom skora,
Wichrem chwyta w lot.

W ślad, w ślad za Pobogi,
W bój, w bój, Koźle-rogi.
Z hełmów stali na dwie strony
Sterczy kozieł rozsadzony,
 Gieźło z druta,
 Pawęż kuta,
Las żelaznych drzew.

Hej! hej! grzmią Godzięby,
Dąb w dąb, męże dęby.
Łuskowanych prawic drzewa
Proporczyki wicher rozwiewa,
 Junosz szałna,
 Ręka ważna.
Staroslawa krew.

W bój, w bój sto pokoleń:
Znin, Prus, Złoto-goleń,

Role, Gryfy, za Kościeszą,
Kopytami krzemień krzeszą.
 Lechja stawa,
 Sława, sława!
Grzmot bronzowych kotł.

Wrzasł, wrzasł róg bawoli,
Wraz, wraz wróg na roli;
Owóż tobie stanąć w sprawie,
Żyj, bij władzy Bolesławie,
 Głos by grzmota,
 Buław złota,
Wzrok-by w ziemię gniótl.

Hej! hej! zwrą się drzewy,
Hej! hej! z prawej, z lewej,
Mężę z mężmi, z końmi konie,
Ztrą się, zwrą się zbroje, bronie,
 Gdzie glew szczeka,
 Krew osięka,
Wrzask rogów a trąb...

Hej! hej! Niemców plemię,
Wwłaszcz w paszcz polską ziemię!
Grube knechty nam po drodze,
A cesarskie legły wodze;
 Mężu władzy,
 W gady rady,
Koniem w krwię te wstąp...

Hej! hej! cesarz złoty,
Siągl, ściągl swe namioty
I co krótszą drogę bierze;
Bolesławów sterczą wieże,
 Ziemia grząska,
 Śliska Śląska,
Psiem ją polem zów...

Z chmur, piór barwy piekła,
Z chmur, z gór wrzask rozwlekła
Czarna kruków, wron gromada
I o ścierw się z psy zajada;

Niemców groby
Kruków dzioby
A paszcz krwawa psów.

SŁÓWKO O PIOTRZE DUŃCZYKU.

Na dworze Bolesławów z Danii przybyły
Był podówczas Piotr Duńczyk rycerz doznany,
A jako był samemu królowi miły
Wierę iż go szacował nad swe dworzany.
I z nim pijał, z nim jadał, rady się badał,
Na nim rękę łuskowaną bezpiecznie składał.
I onego Duńczyka przyjmował gościnnie,
I obdarzyć go raczył Grabstwem na Skrzynnie.
A niedosyć ono pięknie oprawne Skrzynno,
Lecz i ruską dał mu księżnę, swoją powiną;
A co odeń posłyszał chował w pamięci,
I tak mieszkał Piotr Duńczyk do lat dziesięci.
A po latach dziesięci wdziawszy cne zbroje,
Poprowadził Bolesława we strony swoje.

Polska była bez kościołów albo coś mało,
A tam złoto Duńczykowe w skrzyniach leżało,
K'temu zwarli z tym Duńczykiem taką umowę:
Że królowi na kościoły odda połowę,
Jeśli skarby tyranowi odejmie z mocy,
Co nad niemi by smok leży i dnie i nocy,
I ojca mu Świętosława we wieży morzy,
I może mu zdrowie psowa, może co gorzej...
Zaduma się Krzywousty gdy męża słucha,
Król żelazny a odważny wielkiego ducha,
I prawda weń jak we ziemię rozprzała wsiąka,
A pobije wpierw nim słowo jedno wyjąka.
A że król miał do pływania wielką zaprawę,
K'temu sobie a rycerzu zgotował nawę;
Jedną nawę, drugą nawę, męże pancerne,
I pływali dwaj przez wody morskie niezmierne.
U Norwegów święty Olaw pogrzebion gruby,
Olawowi się pokłonić uczynią śluby.

Jakie przeszli ci na morzu znaczne przygody,
O kęs co nie pogięli od morskiej wody.
I złe duchy pomagały, okrutne czarty,
Mało odeń nasz Bolesław nie był rozdarty.
Lecz król stoi w stalnej zbroi a Piotr we smoczej,
A mrugają ku Duńczykom w splukane oczy.
Pomóż, pomóż święty Olaw przeciw złej wodzie,
A wszak i my na tureckim bywali wschodzie.
Jeślić miecza dobywałeś i my nie gorzej,
Ani Bogu wymawiając ni Matce Bożej.
Ode wieże podciągniętej mocnemi glazy,
Godziliśma w Saraceny słusznemi razy.
A wszak nasze poczynanie wiadome światu,
Wzdy cię proszę święty Olaw pomóż jak bratu.

Święty Olaw w grobie leży pobok z Kanutem,
Co się rady przyodziwał przedzonym drutem.
Rozbudzi się Kanut stary, po mieczu plaśnie,
Po słupach się kęs popatrzy, westchnie i zaśnie.
Obudzi się święty Olaw, słucha a duma,
Skoczy z grobu święty Olaw z złotego tuma:
Idęć, idęć, dobrej myśli bywaj mi bracie,
Obajśma to żywot cały na krucyacie. —
Jedną nogę na ląd stawił, na morze drugą.
Z nieczystemi się duchami nie bawił długo.
One smoki co już nawę żarły, już żarły,
Porozcinał precz na boki święty umarły;
One grzbiety najeżone pian złotych sierci,
Porozpraszał, poroznaszał, pociął na ćwierci.
I za drzewo jednym palcem jąwszy by pierze
Na niebieskiej cichej wodzie ustawił w mierze.
Potem wiatru sprosił z nieba, by w nawę dmuchał,
Tak to głosu Bolesława Olaw wysłuchał.

A gdy czarci zuciekali ażć nowa bieda,
Na morzu im przegrodziły mocne Norwegi.
Mieczmi sieką, strzały wleką, lecz się król nieda,
I wysadzi swe żelazne Lachy na brzegi.
I wywiedli Świętosława z wieżyce onej,
Gdzie Piotrowy ojciec pędził żywot mierzony.
I wywiedli Świętosława do swych korabel,
Czemu się przeciw Niemógł ów zły król Abel.

Na rycerskich go ponieśli rękach miast łoże,
Wiedząc jako słab staruszek iść nic nie może.
Gdy się stawiał król ze swymi w rękach szerszuny,
Z pancernymi zbrój do ziemi, zchwiały się Duny.
Bo też było patrzeć na co a dziwu zażyć,
Młot królewski roztluk wieżę, musiałć dość ważyć;
Lita zbroja okrywała oną moc męża,
Trzech siłaczy nie sprostalo ruszyć pawężą.
Przy nim, za nim też urody stoi Lach w Lacha.
A rumaki piany sieką, złoci się blacha.

Ony starzec wybawiony przyjrzy się słońcu,
A tu morze a tu zorze po świata końcu.
A tu jego skarby niosą stu męży pono,
A co dwoje to ze skrzynią ciągnie złoconą;
A co dwoje srebrne zbroje, aż słońce lata,
Ode skrzynie jedwabnista buja makata.
Jak Duńczyki zobaczyły, że król mur tłucze,
Znieśli mu na złotogłowie od grodu klucze,
Berło białe wyrabiane starce na czole,
I stolice gdy na duńskim raczy sieść stole.
Nasz Bolesław spuścił miodu w gardło spragnione,
Rzucił czaszę, starcom zsunął berło, koronę.
Ciężyć krajom tym dalekim wszem się nie zdało:
Niech Duńczyka Duńczyk sprawia, tytemci chwałą. —
I klucze im odda złote, grać sobie każe,
Więc mu grali do okrętu starcy arfiarze.
Kto się patrzył od wieżyce z brzegu, kto z dachu,
Biegła nawa, pieśń i sława o mocnym Lachu.
Siedzi starzec na okręcie szczęśny przy synie,
Pod nim, za nim, w koło niego złociste skrzynie.

I po czystej po głębinie nawa het płynie,
Matka Boża, gwiazda morza wiedzie przez morze.
Wszakć na ładzie szatan psoci królu nieboże:
Nie mógł nawy pozatapiać on duch nieczysty,
To po ziemi z paszczy puścił płomień ognisty.
Zgorzały tam nasze chaty, przecie nie wiele;
A tymczasem już się kończą morskie topiele,
Skaczą wały na brzeg biały, gdzie sosna krzywa,
Dziwują się ludzie z brzegu i morskie dziwa.

Kiedy ściągnął on Piotr Duńczyk złota komiegi,
 Jak się jeno okręt otarł o polskie brzegi,
 Wnetże Panu kościół stawia w Chełmnie, w Babinie,
 W Strzebnie, w Skrzynnie i w Chlewiskach, w Rudzie, w Koninie,

Już do Tyńca, do Pajęczna, już do Sieradza,
 Ciężko w kawały marmur biały wolni sprowadza.

A kiedy mu złośliwi Niemcy oczy wybrali,
 Duńczyka się Panna święta w niebie uzali.
 I dwa oczy przegradobne, — Goplana woda,
 Marja weźmie oczy swoje, Piotrowi poda.

I dwaj oni z Bolesławem w pamięci człeczej
 Jeden sływie od kościołów, drugi od mieczy.
 Tego zwaćby ręką Bożą z mieczem w zamachu,
 Tego oczkiem Matki Boskiej nazwałś Lachu.

Gdzieżeś, gdzieżeś Bolesławie, gdzie Piotrze miły?
 Nie kościoły, grody, sioły, gruz, mogiły,

Jeno z zieli u topieli gęsto wynika
 Ona niezapominajka, oczko Duńczyka
 A po królu Bolesławie w dalekim jarze,
 Oracz znajdzie grosik czasem przy wolów parze.
 Świeci grosik odłożony z ziemią oraną,
 Przystanieć tam człowiek ony, woli przystaną.
 Niewyraźne tam litery stoją w okolo,
 Na nieznane patrzeć lice zbieży się siolo.
 Anj liter nie wyczyta, ni pozna lice,
 Jak nie dźwignie Bolesławów ciężką zbroicę.

H A B D A N K.

Na wysokim zasiadł tronie,
 O poręczach z białej kości,
 Dumny Henryk w słusznym gronie
 Swej cesarskiej wielmożności.
 Toż gdy miejsca wzięli swoje
 I biskupy i pisarze,
 Posel Lacki im pościąga
 Te niemieckie butne twarze:

Acz z pokojem w progi wchodzi,
Dumnym wzrokiem orszak zmierzy,
Szabli imąc się — łuskową
Rękawicę w dłoni dzierży,
A na palcu drogi pierścień,
Aż się oczy Niemcomi żarzą;
I już liczą wagę złota,
Na łakomstwa wagach ważą. —
Pokój z tym, kto trzyma zgodę,
Kto braterskie przyjmie ramię,
Z tym nietylko bój powściągnie,
Lecz się chlebem Lach rozłamie.
A kto nie, kto złości chowa,
Kto się jedna z jego wrogów,
Rękawicę mu łuskową
Rzuci rycerz Lach pod nogi. —
Tak spełniwszy swe poselstwo
Rycerz polski wpośród stanie,
I położy dłoń na zbroję,
Wzrok w niemieckim utkwii panie.
Cesarz zasię przewielmożny,
Zakręciwszy w koltun brodę,
Rzecz dumnie: nie na pokój,
A na wojnę mężę wiodę.
Od Hercyńskich ciemnych lasów,
Po błękitny brzeg Italji,
Henryk cesarz, pan Germanów,
Znaczą liczbę swych wasali.
Dziś a jutro lackie łęgi,
Ziemię widną szumnych łanów,
Po rzemieńne w krwi popręgi,
Deptać będzie koń Germanów. —
I dorzuci słowo wzgardy,
I na knechty zbrojne skinie:
Oto moje w krąg namioty,
A to moje złota skrzynie. —
Rzekł i w lot barczyste chłopcy
Podnaszają skarbów wieka;
Aleć próżno podziwienia
Krzyku z ust wolnego czeka.

Posel polski nie rzekł słowa,
Jeno gdy mu wróg urąga,
Łuskowaną swą rycerską
Rękawicę szybko ściąga
Prawiąc: Panie ty niemiecki,
Co wyrzekłeś, dość mi na tem;
Pokąd ziemi, pokąd słońca.
Lach nie będzie Niemcu bratem;
Oto Niemcy wam wyzwanie. —
Rękawica z brzękiem padła,
Aż połowie cnych Germanów
Z trwogi w sercu krew się zsiadła.
Poczem poseł dłoń podniesie,
I do skrzyni pierścień miota
Rzekąc godnie: niechże złoto
Domieszywa się do złota;
Co zbyteczne Lechji starej,
Chciwość wasza niech zabierze,
Wolnym niech z ojczystych żelaz
Ukowają miecz platnerze. —

DZWON ZYGMUNTOWSKI.

Zamek, co skalę obsiadł smoczą,
Pod niebo czarną wyniósł wieżę,
Podeń się miejskie domy tłoczą,
A ów, by ojciec dziatwy strzeże.
U nóg mu polska rzeka sławna,
Poszumna Wisła zbożopławna;
A fale onej, ni to kmiecie,
Garną się pod tę zamku skalę,
Modre, to siwe, to raz białe,
I w dal wesoło rwą po świecie;
A słonko boże świat weseli,
I śnieg od skrajnych Tatr się bieli.
A w mieście naszym gwar nielada,
Świeciła niemczyk swe rozkłada.
To serb pod bramą gdy zasiędzie,
Na onych wdzięcznych gęślach gędzie.
Tam miodu kipi wonny wrzątek,

Gdzie orszak wiedzie się swadziebny,
Tam jedno piątek czyli świątek,
Naród się garnie na targ chlebny,
Jako to szczyry skarb lechicki:
Ta sól wielicka, chleb prądnicki.
Tu pański kozak oczajdusza,
Na Ukrainę z listem rusza.
Tam kędy żaki a doktory
I trybunalska stawa rzesza,
Stańczyk swój kubrak różnowzory
A swoje sceptrum śmiechu wmiesza;
Temu i temu coś przymówi,
Co choćby rad człek nie odpowie.
Nawet i króla Ichmość gładko
Obdarzy swoją kratką, łatką;
Jako to w Polsce wolne słowo,
Byś jeno sam nie podrwił głową;
A k'temu żeć już w błaznów cechm,
Żeby dworować a do śmiechu.
To Włoszech wdzięczną brzęknie mową,
W weneckim stroju kawka szczera,
Co go weneckim djabłem zową,
A kmieć nań z trwogą się obziera.
Niemieckie mieszczan krasne stroje,
Wymyślne wierę, dziwne szaty,
To żółte łaty, czarne łaty,
I ni to czepce, ni zawoje.
A w mięsopustnej tej czeredzie,
Co się na rynek gwarnie tłoczy,
Skrzydlaty wpośród husarz jedzie,
Zbroica łni aż razi oczy;
I tak we srkzydlach na gród zmierza:
Pół orla wrzkomo, pół rycerza.

Nad miastem zamek siadł Wawelski,
Gdzie gospodarzy król tej ziemi.
A w rynku Pani dom anielskiej,
Pomiędzy dziećmi stanął swemi.
Marjacka wieża w środku miasta
Jakoby dolin kwiat wyrasta;

A pod jej boki za jej kraty
Kamienne legły antenaty.

Z kościelnych wieżyc na świat cały
Co ranek wdzięczne brzmia hejnały,
I świat to jakiś taki naszy,
Taki serdeczny, taki laszy,
Taki rodzimej pełen woni,
Że w nim jaskółką serce goni.

I błoga ci ta bloń rumiana,
I błoga ci ta woń węglana.
I takbyś wiatru w piersi chwycił,
I tak ci Polska w serce wchodzi,
Żebyś tych starych z głazów pytał.
Jako pocziwym żyć się godzi.

A król w te czasy gdzie się dziewa?
Do kuźnic chadza, do płatnerskich,
Doziera mocnych zbrój rycerskich,
Żelazne smoki więc odlewa,

I nad graniczne wody, góry,
Nieprzełomione stawia mury.
Bo choć kraj na to ma urzędy,
Jednak król Zygmunt wejrzy wszędy.

Gwarkowie czarne łamią skały,
Huki a szczęki w górach młota,
W rękach aż pali się robota,
W oczach się szumne wznoszą wały.
A zboża w pas, bo wróg nie grabi,
A skrzynie pełne, spichrze pełne,
Wszystko od złota, od jedwabi,
I najuboższy odzian w wełnę.
Niewiadasty w szubach, w drogich łamach,
Po murach zacne malowidła,
I jagiełłoński orzeł w bramach
Swe pozłociste rozpiął skrzydła.

Starego króla to zabawa,
Nocy nie dośpi, do dnia wstawa.

Zanim na jutrznię brzękną dzwony,
Już król w kaplicy swej zamkowej;
Złoty mu czepiec świeci z głowy,
Bogdaj papieski dar ceniony.

To jeszcze będzie dobrze szaro,
A ona służba wierna, boża,
Już widzi króla głowę starą,
Jak się tam Bogu upokorza,
Jak schodzi stary pan okryty
Z krążganków z lampką przedeświty.

K'temu to straszna jest powaga,
Kiedy król taki Boga błaga.
Więc różne myśli przejdą człeka,
Bo to tam sądów naród czeka.
A kto chcesz wiedzieć, gdzie w tej dobie
Król Jego Miłość gościć raczy,
Ku grodzkiej bramie daj czas sobie,
A pewnie pana tam zobaczy...

Wrą tam żelaza w ogniacli piecy,
Ognistą się staczają rzeką,
Kędy gisery kruszce wleką,
Nieczułe obnażywszy plecy.

I owo Lechji król łaskawy,
Ojczyców cnoty dziedzic prawy,
Nie wielomowny, krótki w rzeczy,
Lecz gdy chcesz doznać wagi słowa,
To byś brał próbę starych mieczy,
Którym dziś równych nikt nie kowa.

Więc w dymach co z tych pieców dymią,
U cnej giserskiej tam roboty
Zobaczysz ojca czepiec złoty,
I najpierw cię się strachy imią...
Alić gdy wzrok się z onym spotka,
Synowsko serce się rozczula,
I wdzięczna myśl przybywa słodka,
Ze nam Bóg zdarzył tego króla.

Więc i otucha wnet cię bierze
Że ten poważny pan spokojny;
Czasu pokoju, czasu wojny,
Ciebie i twoje działki strzeże.
I k'mieczu żwawo schylišz czoła,
Gotowość znając gdy zawoła.

Przy królu biskup kanclerz stawa,
Rada i króla ręka prawa.
Ostrogskie książe, Jan z Tarnowa,
I drugie męże kolem staną;
Rotmistrze, które król chowa,
We zbrój przywdziane szmelcowaną;
A pióra wielkie im zórawie
Po dwakroć hełm przechodzą prawie;
Oprawne skrzydła z bark srebrzeją,
A z oczu chuć im skrzy marsowa.

I owoc dzwonu forma nowa,
A w nią gisery brzozy leją.
Więc każdy k'większej chwale bożej
Do onej pracy się przyłoży,
Gdy król te godne słowa rzecze:
We dzwonie tym niech wiek mój gada! —
I pancerz srebrny z piersi zwlecze,
I ony pancerz w ogień wpada,
Co dłutowanym swym obrazem
Na tej szerokiej piersi srogiej,
Nim król uderzył wręcz żelazem,
Chmurą lecące płoszył wrogi;
Pancerz, na który patrząc z chlubą,
Lud prawił: Oto Lechia w zbroi;
A kto tę złamie zbroję grubą?
A kto nas bracia gdyśwa swoi?...
Takiego świadka spraw pół wieka
Z rycerskiej piersi Zygmunt zwleka,
I w płomień pieców tam czerwony
Zapada srebrny pancerz ony.
A kiedy w rzecę ognia spłynął
W przejaskne się rozchodząc smugi,

Hetman, co w radzie króla słynał
Przez cały wiek Zygmunta długi,
Do boju miecz, do rady głowa,
A w pracy pola nie zależał,
A w bitwach to mu kark się zjeżał,
Jakoby lew nie Jan z Tarnowa,
Człek niewściągnionej w boju ręki,
Ale po boju dziwnie miękki —
Jan, na wieczystą rzeczy sławę
Do ognia wmiotał swą buławę.
Ostrogskie zaś to orle nasze,
Jak stał we zbrojej hecowanej.
Od bioder ciężki miecz odpasze
Licznemi karby karbowany;
A każdy szczerb to pękła zbroja,
To triumf Polski, sława twoja,
To krew Moskala i Tatara,
To męża tego moc wiara;
Miecz co na Moskwie trwogi wznieca,
I hordy pędzi w smycz zuchwale,
Ten ciężki miecz, żelazo białe,
Ostrogski rzuci w żary pieca.

Więc biskup kanclerz wmiótł pastorał,
A kmieć ubogi z polskiej roli
Królowi panu swemu k'woli
To radło, którem kraj oborał.
I wyszedł z formy dzwon nad dzwony,
I był na imię króla chrzcony;
I herb też na się wziął koronny,
Który wywiesza król tej Laszy:
Orla co wszelkie plectwo straszy,
I w zbrojej mąż litewski konny.

A gdy uderzył król weń młotem,
Doświadczyć rady bronzu głosów,
Alić mu dzwon odpowie grzmotem,
I aniołami od niebiosów.
Więc się zadumał starzec złoty;
A jeśliś wiedzieć rad powodu,

Owoc, że taki głos miał z młodu,
Gdy po granicach wodził roty
I w bój je puszczał dzierżąc w mierze,
W czuwaniu dobrze, w noc, we dni,
By lew co gruby zwierz sam bierze,
A dziatki swe szczwa na pośledni.

I rzekł zwracając twarz rzewliwą
Tej naszej Polski cny gospodarz:
Panie, my szli na twoje żniwo,
A teraz Ojciec cóż nam podasz?...
I patrzył wzwyż z hetmany swemi,
Z poważnem wielkich mężów gronem;
Kmieć jeno chudy padł do ziemi,
Czołem w nią bijąc uniżonem,
I zdał się wołać jękiem szlochu!...
Ty rzucasz w proch i wznosisz z prochu.
I na świątnicy zamku wierzę,
Która stolica pańskiej strzeże,

Kazał król setce swych pacholków
Aby ruszyła dzwonu z gruntów;
I założono sto par wołów,
I podniesiono dzwon Zygmunów.
A kiedy biskup ręką skinie,
Żelazne serce się rozhula,
I huknie dzwon jak serce króla,
I pieśnią w niebie się rozplynie.
I lecą głosy na Tatr grzbiety,
Na Czarne morze, Bałtyk siny;
A kto dziś śpiewa wielkie czyny.
Zygmuncie, królu nasz, gdy nie ty?...
Tyś nad krakowskim swoim grodem,
Gdy na kraj zlecał się morderce,
Po wiek nad wiernym swym narodem
Żelazne swe zawiesił serce.

A kto w tej dzwonu złotej dumie
Zygmuntów wiek wysłuchać umie,
A kto zrozumie, czem król stary
Swe imię lał złotem i głoski,

Czem nawołuje wciąż do wiary
Od czterech wieków dzwon krakowski:
Taki i pokój będzie chował,
I ojcom hołd synowski złoży,
I ziemię będzie swą miłował,
I dom ojcowski i dom boży.
Ten ojców dróg się dowie z dzwonu,
Tchnienie go boże przejdzie wskrośnie,
Duch się w nim wzmoże i rozrośnie,
I będzie wierny aż do zgonu,
Żyw chodzić będzie po zakonie;
Taka jest cnota w starym dzwonie.

O! Janie, ojcie polskiej pieśni,
Jakież to czasy dusza nie śni!
To gdy się serce k'nim dostroi
W tej czarnoleskich lip ustroni,
Może cień ujrzę skroni twojej,
Jak tam opiera się na dłoni.
I może uśmiech twój dopatrzę,
Ze wiek Zygmunta, wiek bogaty,
W takie oblekam, proste szaty...
Cóż, kiedy niestać na bogatsze.

I ja z mą pieśnią idę w lasy
A serce bije jak we młoty,
Lecz takie pieśni jakie czasy:
Tyś widział wiek Zygmunatów złoty.

WIERSZ DO POEZJI.

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej!
Nikt się nie oprze, gdyś jest walcząca,
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukażesz, gdy hełm przywdziejesz,
Białoramienna dziewico!
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,

Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie pochwycą.

Uchwycą tarcze, miecze ostrzone
Wstrząsną w żyłastych prawicach;
Z krzykiem rozpaczę rzucają się w stronę,
Gdzie im ukażesz grody zniszczone, —
Na który widok, zapłomienione
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znijdziesz, w szacie anioła
I wieniec chwały włożysz na skronie, —
Zwycięstwo będziesz śpiewać przy zgonie
I śmierć mu przejdzie wesola.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód lodów;
Ty jedna cudem ludy ocalasz,
Niewyciężone tłumy obalasz,
Poezjo, matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata
Rozpiętym w bólach śmiertelnych,
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata
Do Boskich krain weselnych!

Ty im, czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłodów,
Za życie męczarni, światłość bez końca
Ukażesz zdala w promieniach słońca,
Poezjo! wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie
Stanie się niebo na ziemi,
Dzikiej niezgody zgasną płomienie,
Na twej czarownej palmy skinienie
Ludzie się staną świętymi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki;

W imieniu twojem serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy.
Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,
Poezjo! — prawdo narodów!

APOSTOŁOWIE.

FRAGMENT.

Przez ciąg żywota przez dół szereg cały
Jakież to jakie lzy nie upadaly...
Przez jakie cienie, przez jakie obłedy,
A duch wolał wolał tedy, to znów tedy,
A serce biegło za ciszą i gromem
Z jednaką wiarą, że w końcu podróży
Nad Polską naszą i sam los się znuży,
I gwiazda piękna błysnęła nad tym domem.
O! przyjacielu...

(Z listu do A. C.)

I tak ci, którzy się byli zeszli, pytali Go, mówiąc: Panie, azali w tym czasie przywrócisz królestwo Izraelowi? a On im odpowiedział: nie wasza rzecz jest znać czasy i chwile, które Ojciec w swej władzy położył.

Dzieje Ap. rozdz. I.

Po śmierci Pana Judea cała
W nieprzedzierzgnione mgły się owiała,
Przestały padać deszcze ożywne,
Poschły do szczętu gaje oliwne;
W gruzach miasteczek co się zapadły,
Bociany czarne gniazda pokładły,
Na brzegach jezior, na zeschłej trawie,
W cieniach cyprysów czaple, żórawie,
Wąż pełzający te wody chleptał,
A szakał puste ulice deptał.

Po nad bramami Jerozolimy,
Gdzie nieustannie tłukły się dymy,

Po nocach jęk się rozchodził głuchy,
Jakby pobitych proroków duchy,
Niosąc swe wielkie księgi otwarte,
Śpiewały straszną zniszczenia kartę. —

Falszywi sędzie, faryzeusze,
Którym szatany targały dusze,
Pod jedwabistym, pysznem okryciem,
Senni straszili przeciągłem wyciem,
I rozdzierali drogie kotary,
Ścigając wzrokiem płomienne mary.

Bydło rogate złożywszy głowy
Na wypalonej roli jałowej,
Ryk wypuszczało ciężki, podziemny,
A dzień był każdy szary — wpółciemny.
Na jedną tylko nadmorską chatę
Słońce łagodną lało oświatę,
Na jedną tylko wśród nocy mrocznej,
Upadał promień gwiazdy przezrocznej,
I na ten promień ubogiej chatki,
Rybacy swoje zwracali statki. —
Bo owa strzecha w porze ówczesnej
Mieszkaniem była Matki bolesnej,
Która od czasu, jak syn jej miły
Skinieniem rozbił grobowe bryły,
I owian w świetny proporzec biały,
Podniósł się w błękit na łono chwały,
Uspokojona niewiasta cicha,
Jak lilja kiedy zwolna usycha,
Nim woniejący swój kielich zwiże,
Nim ją z lodygi wietrzyk odbije,
W oczekiwaniu śmierci szczęśliwej,
Pędziła żywot łzawo-tęskliwy.

Tam przed złośliwą strażą pretora,
Ukryci w mgliste cienie wieczora,
Powłoczystemi odziani szaty,
Uczniowie pana szli do jej chaty,
I rozważali w wielkiej pokorze,
Jako się słowo spełniło Boże.

Po wszystkich kątach, po wszystkich ławach,
Na zamyślonych starców postawach,
Czy na niewieściej twarzy w pół skrytej,
Znać było Bożej łaski prześwity.
W jednym dniu może, w jednej godzinie
Jasny gołąbek nad nimi spłynie,
I tym lęklwym doda otuchy,
I tym nieukom da wielkie duchy,
I tym prostakom da stery ludu,
I tym najmniejszym da siłę cudu

Jednego ranka, gdy niespodzianie
Słońce nad morskie wstało otchłanie,
I rozjaśniło modre sklepienia,
Jak niegdyś w pierwszej chwili stworzenia,
Na chwałę Panu za dzień pogodny,
Zabrzmiały trąby i organ wodny,
I do bożnicy lud ciągnął tłumny,
Lud najdumniejszy, bo wiarą dumny.
A szedł tak gęsto jak mgła ku niebu.
Jak czasów starych na głos z Horebu.
Aż pretor łaczny a niespokojny,
Pchnął środkiem miasta swój legion zbrojny,
Bo nie dowierzał Pontjus otyły
By taka rzesza nie miała siły;
I przeciągały wśród ludu fali,
Co chwila nowe rotty Itali,
Na ciężkich koniach, zbrojni w połowie,
Z urągowskiem — jako panowie;
I najeżdżali z dzidą wzniesioną,
Na pierzchające pacholąt grono,
Na starce, które niewiasty wiodły,
Wrzeszcząc na naród: roju ty podły!
A Herod, książę, jakby na zgodę
Uśmiechał usta i głaskał brodę.

Na jednej z ulic w ciemnym zaułku
Leżał ubogi lud bez przytułku,
Pomiędzy którym starzec się chylał,
Co ich codziennie rybą zasilął.
Codzień przychodził o jednej porze,
Z mnóstwem ryb drobnych w siecianym worze,

I karmił głodne, spragnione poił,
I chore leczył i smutne koil.
Przy nim niewiasta z włosem jak złoto,
Z nieopisaną oczu tęsknotą,
Niemej boleści poddana cała.
W zblakłej purpurze idąc się chwiała.

Tam w czasie rzymskiej rotty przechodu
Zabiegła liczna zgraja narodu,
A ochłonięta z chwilowej trwogi,
Jęła wskazywać na lud ubogi,
I na tych ludzi co w wilgnej dali
Pod murem nawpół zwałonym stali;
I głuchy poszept krążył nawrotem,
Na co on karmi, co jemu potem?
Jeden co z sukni wielce się puszył,
Rzekł: żeby lepiej płaszcz sobie uszył.
A drugi w starca patrząc przenikłe:
W kieszeni srebrne rachował sykle,
I marne słowa wlokły się chwilę,
Aż rudobrody stojący w tyle,
Któremu z szaty wpół przewiązanej
Wyglądał stary miecz przełamany,
Syknął wężowym do gminu sykiem:
— On był z Jezusem Galilejczykiem!
To on co w uszy motłochu gada,
Że już miecz Judy rany nie zada,
Że te Rzymiany walczyć potrzeba
Nie mieczem ziemi, lecz mieczem nieba,
I że się cały Rzym w ziemię schowa
Od jakiejś ciszy, jakiegoś słowa...
Niewiernym taki wielce przydatny,
A ja wam klnę się, że on i płatny! —

Więc się wrzaskliwe podniosły głosy,
A każde słowo jak żądło osy.
Wśród zawieruchy niewiasta blada
Z zawijką co jej od piersi spada,
Możniejsza między innymi postać,
Jęła złośliwym językiem chłostać:
— Czyście poślepli! toż owa pani,
Co perły drogie świeciły na niej,

Ostatki cennych lecą jedwabi,
I już uśmiechem słodkim nie wabi.
A gdzie jej złoto, gdzie dyadema,
Z tego bogactwa czy już nic nie ma?
Gdzie jej olejki szpikanardowe,
Czy już olejkiem nie maści głowę?
Szkoda balsamu, taki był drogi,
I wszystek zlał się na jego nogi.

Tu się wrzaskliwe podniosły głosy,
A każde słowo iak żądło osy;
I małe dzieci rączki drobnemi,
Poczęły zbierać kamienie z ziemi. —
Uczniowie Pana wśród tego wrzasku
Stali spokojnie jak łódź na piasku.
Jan tylko jeden do góry nagle
Podniósł w niebiosa ręce jak żagle.

Wtedy pachole mdłe, kędzierzawe,
Co nań zwracało oczy ciekawe,
Cudne dzieciątko ze zgrai miejskiej
Podniosło rączkę: Ty nazarejski! ..
I wypuściło ostrą pecynę,
Z drobnych rąk kamień, z drobnych ust ślinę,
Ruszone zgraje dziecka przykładem,
Poczęły rzucać kamienie gradem,
A piśmiennicy wśród tego gminu,
Podpomagali śmiechem do czynu.

Biedna niewiasta krwią własną złana,
Na błagające padła kolana,
I zapłakała niewinnie bita,
Jasnemi tylko włosy okryta. —
Piotr stał poważny by skała brzeźna,
Co na niebiosach głowa jej śnieżna,
A stopy twarde masy ścisłemi
Gdzieś przesiegają do środka ziemi.
Jan jako orzeł gdy w słońce goni.
Nie zniżył w górę wzniesionych dłoni;
I tak czekali pełni nadzieje.
Ze wicher Boży te fale zwieje.

Jakoż po chwili z końca ulicy,
Rozległ się tętent rzymskiej konnicy,
I cała zgraja szatańska, wściekła,
Jakby przed wichrem piasek uciekła.

Z tętentem koni i brzękiem stali
Przejechał hufiec dumnych Itali.
I nie spojrzeli pyszne żoldaki,
Niosący orły, cesarów znaki,
Na ów ubogi rodzaj znikomy,
Brzemienney wielkiej zniszczeniem Romy.

Z ściśniętym sercem, ze lzą zapiekłą,
Kilkoro ludzi drogą się wlekło,
Pewni gotowej zawsze pociechy,
Do owej Maryi nadmorskiej strzechy.
Dzień był pogodny, niebios powłoka
Tak przezroczysta była dla oka,
Żadnym obłokiem niepochmurzona,
A wyciągnięta jak złota struna.
Palmy pod jasnem wiszące słońcem,
Zdały się nurzać w niebie gorącym,
A po wyżynach miasteczka senne,
Białe jak niskie groby kamienne,
Pocieniane cyprysem, sosną,
Co po judejskich pagórkach rosna,
Roznosząc wokół gęsty cień szczodry,
Wychylały się z podemgły modrej.

I mówił Jakób: o! jakże błoga
Ta ziemia Judy, dziedzictwo Boga,
Góry Syonu, góry Libanu,
Z których woń wiała przyjemna Panu!
Ani dziewica, gdy w harfę dzwoni,
W uroku wiosen podobna do niej,
Ani Cherubin skrzydło-wichrowy
Nie jest piękniejszy od ziem królowej,
Z której ust płyną mleka i miody,
A z włosów wieją cedrowe chłody...
A przecież bracia, jak zajrzeć drogą,
Z wiernego ludu niema nikogo,

Gdy konny żoldak w świecącej blasze
Rwie kopytami obszary nasze.
Ciężko nam Panie w uopuście grozy,
Ranią nam Panie szyję powrozy,
Kości nam poschły i skóra cała
Jak od padalca się popadała;
I cierpię w nocy i w blasku słońca,
Jako niewiasta cierpi rodząca.
I kiedyż Panie, co sprawiasz ludy,
Przywrócisz berło wydarte Judy?
Jeśli my winni, co w nich odkryjesz?
Czemu ich chowasz? czemu nas bijesz?...

I Piotr raniony ludu kamieniem,
Westchnął do nieba strasznem westchniciem,
Bo już zapomniał że rana boli,
Kiedy usłyszał jęki z niewoli:
Gniew Twój jak morze gdy się rozhuka,
Zamienił miasta w mieszkanie kruka,
Zmarszczyłeś czoło i znikła siła,
Ziemia Izrael jak figa zgnila —
I jako gęsi lecące rżęzą,
Kiedy znużone ku ziemi ciężą,
A spaść nie mogą, bo strzelce chciwie
Śmiertelną ciągną na nie cięciwę:
W jęk uderzyli, a coraz głośniej,
Coraz żarliwiej, coraz donośniej;
I nagle scichli i w Boże strony
Niepoliczone chwilei poklony.

Minęli Gazę pod zachód słońca.
Ziemia pod stopą jak piec gorąca.
P zechłódła nieco wiatru przewiewem;
Jakób chciał spocząć pod palmy drzewem,
Gdy Jan rzucając wzrokiem na morze,
Na to niebiesko-złote przestworze
Podbiegl z wesółem licem ku braci:
— Zacz nie widzicie jasnej postaci,
Gdzie stąpa morska woda złocistsza,
Nie poznajecie oblicza mistrza? —
Lecz oni próżno patrząc w tę stronę,
Widzieli tylko słońce zniżone,

I blask zachodu na falach wielki,
I nieruchomych statków żagielki.

I byli tęskni myśli tęsknymi
Że mistrz oblicze zakrył przed nimi,
Że dobrotliwe serce Wszech-pana
Umiłowało nad wszystkich Jana,
I myśl przez głowy przeszła im płocha:
Że Bóg przez jedno serce świat kocha.

Dokoła cisza, pustka bezludna,
Idą powoli, bo droga trudna:
W nizinie stary namiot wygląda,
Pastuch u źródła poi wielbłąda,
Zdała od morza słyhać fal bicie,
I pierwsza gwiazdka już na błękicie.

Wreszcie ujrzeni cel swej podróży
Błogosławioną chatę wśród wzgórz,
Lecz jakże widna, jak w dzień sabatu
Kiedy zapłonie blask Stwórcy świata.

Wiedzieli uczniowie, że Maryi chata
Miewała gości innego świata,
Że do stęsknionej w bezsenne noce
Schodziły w blasku niebieskie moce;
Więc pewni byli z owej jasności,
Że Marya miała anielskich gości.
I chwilieli sobą czy głowy zniżyć,
Czy paść na modły, czy się przybliżyć,
Aż słowo Piotra ciszę przerwało:
— Pochwalmy Pana i idźmy śmiało.
Pochwalmy Pana a zniknie trwoga,
Ujrzym co ujrzym, chociażby Boga;
A kto niepewny wśród duszy swojej,
Tę Pańskiej twarzy niechaj się boi. —
I jakże wielce byli zdziwieni,
Gdy po modlitwie wszedłszy do sieni
Zamiast promiennych niebieskich duchów,
Ujrzeni w kozich skórach pastuchów,
Których w gromadkę zbite baranki
Stały spokojnie u wrót lepianki.

A w otworzystej cichej świetlicy,
Obok przeczystej Bogarodzicy,
Na której czoło modra zasłona
Jakby na niebo w fałdach zwieszona,
Rzuciła cienie, że się zdawało,
Że to już tylko dusza nie ciało.
Szymon i Stefan przy długim stole
Siedzieli palce mając na czole.

Gdy od wchodzących zabrzmiało: chwała!
Jak struna dźwięcznie izba odbrzmiała,
Siedzące męże i lud pastuszy
Głos jeden wydał jak z jednej duszy.
Więc Piotr i Jakób i Jan, we troje
Za stołem miejsce zasiedli swoje,
A Magdalena, troską pobladła,
U nóg Przeczystej cicho przypadła. —
I była mowa o miejskiej sprawie,
Nie o tych ranach, co ciekły krwawie,
Lecz o pogańskiej pysze niezmiernej,
I o niewoli na naród wierny.

I rzekła jedna z niewiast przyściennych,
Jedna z tych bladych istot codziennych,
Co owinięte nędzną odzieżą,
Z dziećmi pod murem przydrożnym leżą:
— Gdybym ja miała perel tak wiele,
Ilem wylała łez, na popiele
Po mężu siedząc na dniach pokutnych,
A tyle groszy co westchnień smutnych,
Toby już można zakupić świata,
Od Tyrskich brzegów aż do Eufratu.
A kto go zabił jak nie niewierny?
A on był cichy i miłosierny,
I przed niewiernym nawet nie skłamał,
A Pan mu w ręku mocny miecz złamał.

I mówił starzec z głową bezwłosą:
— Nowe dni nowe nieszczęścia niosą,
Pan wziął mi trzody, wszystkie wydechły,
Dzieci mi okrył w śmiertelne czechły,

Spalił mi zbożem ładowne spichrze,
A usta miałem coraz to cichsze.
Lecz dziś ja na głos wołam za Jobem:
Izrael w więzach, a ja nad grobem.
I oczy moje te wyplakane,
Patrząc przez domu wypadłą ścianę
Nie widzą tylko pogańskie syny,
Wierne w rozproszce i miast ruiny. —

I uczniu w Pańskie wierzący słowo
Z czasu do czasu wstrząsali głową,
Jakby czekając rychło się zjawi
Mesyas, co naród z więzów wybawi...
A nie widzieli przed łyzy bujnemi,
Że obiecany dawno był z nimi,
On siedział cichy po matki stronie,
A krwią mu zaszły pokłute skronie.
Na wiotkich nogach, na dłoni białej,
Na nowo rany pozaciekały,
Jakby się chciały odezwać żywo:
Że cierpiał za tę rzeszę tęskliwą.

Kiedy Piotr Pańską przypomniał mowę,
Znikła zeń żalność, wzniósł w górę głowę,
I padł przed mistrzem, co nań z wysoka
Spoglądał całą miłością oka.
Jak gdyby mówił: czy i ty starcze
Nie ufasz, że ja za wszystkich starczę,
Czy i ty skało w gruncie się chwiejesz?
I ty opoko we łyzy topniejesz?...

Piotr najwierniejszy kamiennie wierzył,
On niczem innem nie dychał, nie żył;
Od czasu jak swe sieci porzucił,
I wierne kroki za mistrzem zwrócił,
Ziemia dla niego była namiotem,
Ciało okryciem, a Pan żywotem.
Przecież zacierpiał, acz chwilę nikłą,
A z chwilą wszystko patrząc w twarz Pana,
Że go bolało życie jak rana.
— I cóż chcesz Piotrze? — a on nic nie wie,
Starzec śmiejący po łez ulewie.

Myśli, i myśli zebrać nie może:
Ciebie mi trzeba było mój Boże!...
I niby słyszy: — tobie poruczę,
Wiarę i miłość, niebieskie klucze. —

Lecz byli inni na duchu słabi,
Ci zawołali płaczliwie: Rabbi!
Rychło powrócisz Judę na państwo?
Rychło się skończy rzymskie poddaństwo? —
I usłyszeli jak szmer daleki:
Nie wam to dane przeglądać wieki,
Ani znać czasy k'płoczej potrzebie,
Które zachował ojciec dla siebie.
Idźcie i czyńcie, w niedługiej chwili
Duch się nad wami w przepaściach schyli. —
Zabrzmiały słowa jak nuta słodka,
I w wietrze Jezus zniknął z pośrodką.

Jako żołnierze pod wodza wodzą
Wedle rozkazu stają i chodzą,
A nikt się wodza badać nie kusi,
Wiedząc, iż rozkaz dobrym być musi,
Tak i uczniowie za mistrza słowem,
Życiem ufności odżyli nowem.
Członki ich wątłe, zgarbione ciała,
Wiara i miłość wyprostowała. —
I znaczną była na nich potęga,
Co w przyszłość silnem ramieniem sięga,
A troską czasu nie schwiana wcale,
Za sobą słabe zostawia żale.
Wrzaski, potwarze, kamieniobicia,
Jak ziarno w zimie pewne ożycia.

I było widzieć jak rybak stary
Rozmógł na trudy bronzowe bary,
Jak się uciszył tą świętą ciszą,
W której wybrani głos Boga słyszą.
Już teraz Roma w piekle zagrzęzła,
Nie przetnie mieczem świętego węzła,
Ciało obali, lecz on nie ciałem,
A duchem idzie w blask przebiełym.

Na twarzy Jana wielkie natchnienie
Poprzebijało jasne promienie.
Z pośółklej smutkiem codziennym skóry,
Znać było światło lecące z góry,
Jak je triumfem Pana rozczynia,
Jak prześwitywa ciało świątynia. —

Marja jak zawsze jedna ta sama,
Tęcza przymierza, niebieska brama,
Czy to nad grobem, czy w domu cieśli,
Jakby anieli w niebo ją nieśli,
Siekąc skrzydłami lazur szeroki,
Patrzała w świtu białe obłoki.

A Magdalena, ta postać złota,
Długoż ma czekać chwały żywota?
Czy aż do czasu kiedy na globie,
Czystą miłością zapłoną k'sobie,
W której nie będzie nic z ziemskiej chuci,
Tak Pan namiętność ziemską z nich zrzuci,
Tak znamię grzechu Adama zetrze,
Że będą jako ranne powietrze,
W którym woń tylko i jasna zorza,
I słońce wielkie jakby twarz boża,
A z grzechem startą będzie śmierć sama,
Śmierć, to następstwo grzechu Adama. —
Jej droga krótsza pod stalaktyty,
Na mech wilgotny, na skalne płyty.
Gdzie bujnorosła zieloność bluszcza,
Księżyczny promień słabo przepuszcza.
Tam ona ujrzy pod krzyżem zgięta,
Czarowną jasność swojego święta;
Tam na przedskalu w wonne zaranie,
Wiecznie pogodne jej słońce stanie,
Jej ukochany zbliży się do niej,
I do nóg wiewnych przypaść nie wzbroni,
Jak nie zabronił, kiedy schylona
Płakała przy nich w domu-Szymona.
— Pójdź Magdaleno! i pójdźże rąco,
Tam gdzie się wszystkie cierpienia kończą,
Słońcu zostawi ciało leżące,
By nań patrzalo przez liście drżące,

I podziwiało lica pokutne,
 Usta śmiejące, powieki smutne,
 Jak wyciągnięta pod krzyżem leży,
 A strumień czasu u nóg jej bieży.

Pogodny ranek błękit obzorza,
 Rybacy gwarzą na brzegu morza,
 Tu owdzie widać sieci moknące,
 Na skraju wody czerwone słońce
 Wstaje i wielki świat rozwesela,
 Na dwa lazury blaski rozdziela,
 I rzuca promień pośrodkiem drogi,
 Jak wóz ognisty pod uczniów nogi,
 Co idą w góry jak w niebo z ziemi,
 A ich uczynki ciągną za nimi,
 Tworząc perłowe baszty budowy,
 Jeruzalemy ojczyzny nowej,
 W którą wiekami ziemia się garnie
 Przez nieskończone łąy i męczarnie.

Hoofleur. 1855.

DO MŁODYCH POETÓW.

Słowo jest wazystkiem, strzeżcie się dawać
 czemubądź pierwezeństwo przed słowem...

List do A. M.

O bracia młodzi, w tej straszliwej burzy
 Wiecież wy, jaka górę weźmie strona?
 Śród huku armat prędko słuch się nuży,
 Głos się zapiera i odwaga kona.
 Dział huku piersi nie przeniosą grzmoty,
 Upatrzcież bracia swoją dobrą chwilę
 Na jedno słowo czarownej prostoty,
 A w pieśni wasze włóżcie tylko tyle,
 Ile ptak wkłada, któremu potrzeba
 Opiewać ciszę i wzlatać pod nieba:
 Przeciwno burzy stawcie towarzysze
 Najstraszliwszego przeciwnika... c i s z ę.

Tylko ta cisza niech nie będzie grobu,
 Zatruta ciała martwego rozkładem;

Ani rozpaczy, co nie zna sposobu
Wzniesienia tarczy przed pocisków gradem;
Ani obecnej chwili zapomnienia,
I wesołością bezmyślną i marną;
Ani szukajcie pod skrzydłem milczenia
Przeżyć noc dziejów burzliwą i czarną...
Nie — w każdym czasie brać wam miejsce w chórach,
I nie wyłączać się z harmonii świata,
Wam, aniołowie o strzelistych piórach,
Poetów braci rodzinie skrzydlata
Nie wierzcie śmieszkom, że was nie wezwano,
Że was opuścił ten, co wszystko trzyma:
Ojczyzna nasza z wciąż ciekącą raną
W was się wpatruje tkliwemi oczyma
I czeka głosu, co, jak powiew błogi.
Wzniesie jej ducha a przez ducha ciało;
Życia narodu nie skończone drogi.
Spójrzcie po dziejach, jak my przeszli mało...
Tysiące wieków przyszłości nas czeka,
Niechże was wrogów nie przeraża horda;
Przeleci burza, co się w górze wścieka,
Więc jak w ofierze, wołam *s u r s u m c o r d a*!!
Podnieście serca i najwyższej nuty
Życiem narodu — nie narodu zgonem
Waszych harf złotych niech zabrząkną druty,
Najwyższym z serca najczystsze go tonem.

Śpiewajcie ciszę w chwili, kiedy młoty
Zrzucają skały Prometeja siłą,
Patrząc na straszne Tytanów roboty,
Co, zda się, ziemi podrzucają bryłą
I urabiają, jak wosk w palcach miękkiej;
Rozdział mórz wielkich zbliżają i kończą,
Siecią żelaza, jak palcami ręki
Z ludami ludy poznają i łączą;
Patrząc na niebo śledzą gwiazd pochodu,
I słońce niebieskich, do jakich sfer lecą,
Ku czemu ciężą i jakiego rodzaju
W drodze im nowe zjawiska zaświecą,
Nim się podsuną z słońca systematem
Do treści życia, która rządzi światem,

Na nici złotej miłości bez końca
Wijąc przez przestrzeń milionowe słońca.

Religja, bracia, tam tylko, gdzie praca,
Prawda, gdzie płyną harmonijne kola,
A ranek życia najpierwsze ozlaca
Olbrzymie góry i wyniosłe czoła ...

Niech wam nie burzy pokoju myśl dumna,
Że was do ruin nie wezwał pan globu,
Nieczynność chwili to jeszcze nie trumna,
Narodu Stwórcą nie składa do grobu,
Tylko jak hetman ustawia szwadrony,
Tych trzyma w tyłach, drugich puszcza pierwej,
Rozbijając ziemię wypuszcza demony,
A do posiewu chowa swe rezerwy ...
Lecz ducha każe pilnować całości,
Spokojem darzy co się nad czas wznasza.
Aż z chwilą zagra jak w organy w kości,
I na rezerwy zagrzmi: teraz w a s z a.

Strzeżcie się, bracia, sądzić Boże plany,
Albo w grób schodzić zgnily i obrzydły,
By nie zasmucić niebieskie hetmany
Stojące przy was z posłuszeństwa skrzydły.

Na całość patrzcie i co w górze czynią,
Jak ukochaną wolność doskonałą,
Jak ją tęczą i jak ją kryształą,
Aż z płoczej dziewczki stanie się mistrzynią.
Ani się wznosicie proroctwy nad gminem
Po co proroctwa, gdzie wzrok widzi jasno?
Za każdym wielkim wracajmy się czynem
Z wiarą, że gwiazdy mienia się, nie gasną.
Tylko duch podły sam wątpiąc o sobie
W nicości szuka ciszy której niema,
I w grób zapada i śmieje się w grobie
Zakrywszy oczy rękami obiema.
A pieśń najczystsza ogarnia go szaleń;
Jak opętany wściekle pijany miota;
Tak nieprzyjazne ciało walczy z ciałem,
I demoniczna z anielską istota

Ale wy kroki nieście w dół spokojne,
Nie baczając na te gardła psów potrójne.
Wielki czas zawsze. I dziś wszechogromny,

I dziś Bóg widny, i dziś nie zakryty,
Wszędzie obecny i wszędzie przytomny,
I gdzie noc głuchnie i gdzie biją świty.
Przed waszym okiem jeszcze nie u kresu
Ośmnaście wieków wystrzelilo kwiatem,
Aloes pęka a kwiat aloesu
Jest w samym sobie zakończonym światem.
Stój i błogosław ręce, co rozwija
Kwiat stuwiekowy, co łodygę dźwiga,
Że się aż w niebo gwieździste wybija;
Kwiat pęknie, spadnie chwilowa łodyga,
A z ruin wstanie nowy kwiat lilija,
Którą Pan odział w blaski tak wspaniałe,
Że zbladł Salomon w całej swojej chwale.

Jest tam ukryte w tej księdze żywota,
Której pieczęci wiek po wieku kruszy,
Na całą wieczność natchnienie dla duszy.
To kiedy wolność zawoła nas złota,
I my oderwiem jedną z tych pieczęci,
Z chorągwią polską, którą Bóg wciąż święci.
Święci wylaną krwią i wciąż ciekącą.
Święci tęsknotą, święci łzą gorącą,
Święci rozprószką i wrogów przemocą,
I najstraszniejszą wątpliwości nocą.
A ducha budzi który do was woła:
Gdy nędza serce przygniata okrutna,
Mdłości święta. w górę, w górę czoła!
Strzeżcie się bogów z kamienia i z płótna!

Słowo jest wszystkim i instrument słowa,
Do poświęceń pierś gotowa.



Spis rzeczy.

	Str.
Teofil Lenartowicz	III
O pieśniach gminnych	1
Dwa dęby	7
Coś tam o kurpiach	7
Mazur za wołami	11
Jagoda	14
Duch sieroty	20
Jak to na Mazowszu	21
Dziewczyna	22
Złoty kubek	24
Wiochna	25
Wiecznie to samo	30
Chłopak	33
Najpiękniejsza	34
Do mojego grajka	35
Mgły poranne	39
Jaskółka	39
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus	41
Niech będzie pochwalony	43
Kalina	48
Dwie dusze	48
Zachwycenie	50
Błogosławiona	60
Święta praca	70
Wezwanie	78
Dumka wygnańca	79
Matko moja! Matko!	80
Jaskółka	81
Za aniołem	82
Orzeł Polski	83
Nowy nastrój	85
Kurpie	87
Złota hramota	89
Wojciech pocziwy	101

	Str.
Zagrodowa	104
Hanka Zabuzanka	107
Krakowiak	108
Tam daleko	110
Hej tam na górze	110
Duch zabitego	113
Kochanka, siostra i matka	114
Mazur	116
Nasza dziewczyna	118
Bitwa Raclawicka	120
Spowiedź w cytadeli	149
Ubory	157
Wczora i dziś	161
Wiersz na cześć 25 lutego 1861 r. w Warszawie	161
Branka	163
Zakończenie	191
Ofiary Polki	192
Święty Franciszek z Paolo	194
Dzieci Nazareńskie	219
Pogrzeb	227
Dwie zorze	228
Stary Józef skrzypkę stroi	229
Kapryśna	232
Niewiasta i święte pielgrzymy	234
Grajki wędrowne	236
Dzwonek	249
Kołysanka	259
Dzwony	263
Z wygnania	264
Zrozpaczona	266
Kołodziej	268
Wstęp do starych zbroic	269
Po drodze myśli	271
Wanda, historia o smoku	276
Psie pole	286
Słówko o Piotrze Duńczyku	288
Habdank	291
Dzwon Zygmuntowski	293
Wiersz do poezji	300
Apostolowie	302
Do młodych Poetów	314

45.-

455607/176/70



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

4018 S



001-004018-00-0

